

36 LAT POLSKI LUDOWEJ

20 LIPCA 1980 R.

ROK XXXV

CENA 6 ZŁ

ŻYCIE

NR 29

GOSPODARCZE

OSADNICY

ŚLAWOMIR LIPIŃSKI

SPOŁDZIELNIA nazywa się „Zwyciestwo” i w Urzędzie Gminy ktoś mówi, że to dlatego, iż założyli ją wojskowi osadnicy, którzy przeciw wojnę wygrali, gospodarza tu, nad Nysą, więc tą nazwą chcieli jakby upamiętnić swoją historię. Ktoś inny dodaje, że zakładając spółdzielnię Łazowianie przeszli do wyższej formy gospodarowania, co trochę sugeruje, że do tej formy jakby dojrzeli sami w sobie, przyjęli ją z zapalem równym temu, z jakim spółdzielnię stawiali opór przed prawie trzydziestoma laty. Ale tak naprawdę, to i spółdzielnia i jej nazwa wzięły się z przyczyn bardziej prozaicznych.

Sołtys Łazowa, Jan Kłos, powiada, że kiedy trzy lata temu zakładali spółdzielnię, to we wsi utworzyli się dwie partie, które chciały zagarnąć w niej etaty i już zawiadywać.

Tak się akurat złożyło, że z grubszą biorąc w jednej znaleźli się „frontowe chłopaki”, osadnicy rodem z dawnych kresów, w drugiej zaś ci, co przybyli tu z Poznańskiego, mniej pracowali na roli, a więcej w zakładach i stamtąd mają teraz renty. Kiedyś bowiem społeczność wsi tak się właśnie we własnych oczach dzieliła. Byli przez to różne niesnaski i ci drudzy tych nierwyszch nazywali „zabugolami”. Sołtys od razu zauważył, że ściśle biorąc to przeważnie nie było uzasadnione, bo oni byli z lwowskiego i tarnopolskiego, a więc z Sanu co najwyżej.

— *Dziś ludzie już się tak nie dzielą — dodaje — i tylko czasem ktoś w żartach, kiedy, na przykład, piją sobie w sklepie razem piwo, wypomni drugiemu jego miejsce urodzenia.* I na zebraniu założycielskim nie grały żadnej roli te resentymenty, a po prostu interesy. Zebranie było burzliwe, wybory wygrał wojskowi osadnicy i wtedy wstąpił Drodzowa z propozycją, żeby na okazję tego wyborczego zwycięstwa nową Rolniczą Spółdzielnię Produkcji nazwać właśnie „Zwyciestwo”. A spółdzielnia powstała dlatego, że jak przyznają w Łazowie wszyscy, dalej nie szło indywidualnie gospodarzyć. Po pierwsze — przez plagę dółków, po drugie — z braku następców, co się z pierwszym trochę wiąże, bo u niektórych następcy może by się znaleźli, ale dzięki ich skutecznie od przejęcia ojcowski odstraszyli. Gdyby nie te fakty, spółdzielnia pewnie by więc nie było. Ale jest i nikt na to nie narzeka, bo prosperuje dobrze, a i zarobek można w niej znaleźć.

Wasadzie wieś nazywa się Łaż, ale przyjęło się mówić Łazowo. Leży parę kilometrów od Żar i dwadzieścia parę od Nysy Łużyckiej. Przez te trzydzieści pięć lat, powiada sołtys, w zewnętrzny wyglądzie wsi niewiele się zmieniło. Tylko jeden zupełnie nowy dom. Całe szczęście, że wyrósł z daleka od drogi, bo to taka tynowa dla naszego krajobrazu pudełkowata „willa”, i sołtysowi, jak i innym, nie bardzo się podoba. Daleko jej do uroku tych domów, co pod szczytem mają datę nawet 1907. Remontowane, tynkowane, malowane, z zewnątrz i od środka trzymają się dobrze. A i jak ktoś przebudowywał czy dobudowywał, to świadomie czy nieświadomie, ale ze smakiem, tak że nie ma architektonicznych zgrzytów. Wieś prezentuje się więc ładnie, jest schludna i za tę czystość nierzadko dostawała nagrody.

Są w niej 92 numery i jak szacuje sołtys Kłos, że 40 proc. domów to osadnicy wojskowi. Sołtys i jeszcze jego pięciu kolegów to kościuszkowcy, z jednej i tej samej kompanii II pułku I Dywizji. — *Jak razem walczyli, razem tu przybyli, tak wszyscy żyją, bo z Drugiej Armii już się trochę ludzi wykrusza —* powiada. Władysław Lach dodaje więc, że nie muszę z wszystkimi gadać, wystarczy z jednym, bo losy mają takie same. Kropka w kropkę. Najpierw więc żyli za tym Sanem, gdzieś koło Tarnopola lub Lwowa. Jak wkroczyła tam Armia Czerwona, mieli po piętnaście, dziewczętka lat. Nastąpił czas wojenny i wiadomo, że zanim tego Berlina nie zdobyli, ciężko było tak, że jeszcze dziś zapalają się: — *Ile mógł ja na raz zjeść, jak już była okazja? — Trzy bochenki chleba, każdy ponad dwa kilo. — A ile*

wody można wypić na raz? — Po nad pół wiadra. Dlatego sołtys Kłos dzisiaj czasem się dziwi, jak ludzie gderają, że mięsa nie ma, albo że chleb czerstwy. — *Ech, ludzie... —* miałby ochotę powiedzieć, ale macha tylko ręką. Tym bardziej, że jak czasem na święta wspomni coś przy własnych dzieciach o tych czasach, to mówią: — *Chyba tata przesadza.*

Wspominając czasy zanim znaleźli się w Sielcach nad Oką, Tadeusz Haloń powiada, że na tym filmie „Do krwi ostatniej”, którego pierwszy odcinek widział w telewizji, to bardzo prawdziwie mówili o tych muszkach, co obsiadały tak gęsto, że jak krem trzeba je było zgarniać z twarzy. Nosili więc siatki, kobiety nogi wiązały papierami, ale uszy były gołe i puchły tak, że jak człowiek szedł, to się kiwały jak wachlarze. Inni tego odcinka nie widzieli, tylko Seweryn Żurawski przypomina sobie, że ktoś mu kiedyś mówił, że w Żarach będzie szedł film pod takim tytułem, film o Pierwszej Dywizji, czyli właśnie o nich. Ale jakoś o tym zapomniał.

Każdego droga była jednak, ale poznali się dopiero w Sielcach, jak znaleźli się w jednej kompanii. No, a potem poszli przez Lenino, Lublin, Warszawę aż do Berlina. Pamiętają właśnie tylko większe miasta, bo kto tam wtedy myślał, gdzie jest. Tylko Żurawski, jak leżał w Otwocku w szpitalu, to raz sobie wyszedł, rozejrzał się i pomyślał: — *Zapamiętam sobie, że tutaj ja się bił, tu był ranny.* No i pamięta tamtą okolicę.

Chodził parę razy do szkoły opowiadać o wojnie. Więcej jednak chyba nie pójdzie. — *Bo nie, tylko pytają, ilu ja Niemców zabił. Z bliska*

to ja by nie zabił żadnego, ale miałem różne zadania, było się i przy karabinie maszynowym, a to sieć jak kostka przecięt. Za to Żurawski dokładnie wie, że na frontach stracił aż pięciu braci. Najmłodszy był zresztą razem z nim w kompanii i już za Odrą poległ, kiedy razem na zwiad poszli. To był w ogóle pamiętny dzień, bo najpierw zginął brat, a potem doszli do wsi i znaleźli w spalonej stodole zwłoki 120 chłopaków. Niemcy powiali ich drutem kolczastym, po trzech, czterech i żywcem spalili. Całą bratnią kompanię.

KIEDY wojna się skończyła, wrócili ich jeszcze do Białej Podlaskiej, żeby po lasach za bandami chodzili. — *Choć byliśmy w polskich mundurach, to najpierw w tej Białej Podlaskiej ludzie jakby się bali z nami gadać, ukradkiem tylko zerkali, z krzaków nas obserwowali. Ale któregoś dnia rano wojsko czysto na głosy zaśpiewało swojską, znaną pieśń i zaraz ludzie zaczęli podchodzić śmiejąc —* wspomina. Na tyle śmiało, że jeden z tych, co potem osiedli w Łazowie, znalazł tam sobie żonę. — *Wtedy nie trza było długo rozmawiać —* powiada sołtys. — *Ja tam swoją tylko dwa tygodnie znałem i zaraz ją zaprowadziłem do ołtarza.*

Już wcześniej też czytali ulotki, że przy zachodniej granicy czekają na nich gospodarstwa, z dobytkiem i maszynami. Kiedy więc ich zdemobilizowali, wiosną 1946 r. wyruszyli w kierunku Żagań-Żary, bo tak im poradzili w jednostce. — *Chodził mi po wsiach, ale już było wszę-*

dzie pozajmowane. Jak było gdzie gospodarstwo wolne, to najwyżej jedno czy dwa, a my koniecznie chcieli razem. Wreszcie tu, w Łazach, sołtys powiedział: — Zostańcie chłopaki, tu się niedługo wyprawia żołnierze rosyjscy, będzie więc wolne. I zostali. Na jesieni objęli gospodarstwa, jedni 6, inni 10 hektarów, tyle że bez maszyn i dobytku, jeśli nie liczyć myszy i szczurów — żartują. Stali się więc wojskowymi osadnikami.

Tam ziemi było nawet więcej, lepsza też była, ale co z tego, kiedy mimo wszystko biednie było. — *Jako mały chłopak chodziłem zarobić do sklepu wuja, bo nam nie starczało —* mówi Kłos, a Lach wspomina, że tam koło niego, jak się kawaler ożenił, to chodził po ludziach, zebrał o słomę, potem obtaczał ją w glinie i przeplatał przez parę bali, żeby mieć chałupę. — *Wit gniazdo jak bocian —* porównuje.

Na tamtych ziemiach też żaden z nich po wojnie nie był. — *Jak by było zaproszenie, to może by i pojechał, zobaczył, ale specjalnie nikogo nie ciągnie. Za to pojechaliby chętnie na te pola pod Lenino. — Jeżdżą różne wycieczki, jeżdżą ci co wcale nie walczyli, to nam się chyba bardziej należy —* powiada Żurawski. — *Niech no pan napisze, że my by tam chętnie pojechali. Ja nie mówię, żeby wszyscy, czy żeby ja sam, ale ktoś od nas, z Łazowa, kto by nam potem wszystko opowiedział.*

ZARAZ jak się osiedlili, przyjechał do Żar minister Zymierski. Mieli nawet zdjęcie, jak szli z nim pod rękę. W ogóle sporo zdjęć mieli z wojny, ale raz chciała je de-

legacja ze szkoły, raz ktoś inny, potem wzięły dzieci, wnuki i już im prawie nic nie zostało. — *Zymierski pytał, jak my żyjemy, więc mówimy — dobrze, ale choć trochę inwentarza by się nam przydało —* wspomina Żurawski. — *Wtedy Zymierski odwrócił się do tyłu, powiedział: „Pamiętajcie o nich” i wkrótce pojechali my w Jeleniogórskie wziąć po jednej krowie, a potem dostali z UNRRY i po koniu.*

— *To był najpiękniejszy czas —* wzdycha Żurawski. — *Chłopaki byli młode, zdrowe, ładne. Jeden bez drugiego nie zjadł, tak się przyjaźnili.*

Wiec i fantazja była. Do zabawy i do pracy. Kiedy odwozili do miasta dostawy, to też zawsze razem i z wielkim transparentem. Fakt, że szybko zaczęły się nowe kłopoty. — *Przyszedł okres, żeśmy gospodarzyli, aby tylko do wieczora —* powiada Haloń. — *Nie, wcale nie z powodu urowej propagandy, co mówiła, że niedługo odejdziemy stąd z powrotem. Nas wtedy to mogli i na Księżyc postać i też byśmy się nie bali. Ale te dostawy obowiązkowe i błędy w polityce rolnej daty się we znaki.*

Kiedys więc pojechali z kartoflami i powiedzieli sobie, że jak za darmo, to za darmo przy nich pracowali. Wzięli te grosze, poszli do knajpy i szybko przepili. — *Babom tylko puste worki przewieźliśmy. Robić odciecało się im jeszcze bardziej, jak pojawiły się plakaty we wsi, które po nazwisku wytykały kulałów. — Teścia mi wyrzysowali i na sklepie powiesili, z takimi wielkimi wąsami i ogromnym brzuchem, jak niby z tyłu worki chowa. A on chudy był i miał tylko dwie krowy i dwa konie —* dziś jeszcze oburza się Kłos.

Wtedy też urzędnicy z powiatu chcieli mieć w Łazowie spółdzielnię. Ale oni nie chcieli, więc rozbrano im piękną świetlicę — *Bedzie spółdzielnia, będzie nowa świetlica —* powiedziano.

DOKOŃCZENIE NA STR. 4

w numerze:

konfrontacja
ze
współczesnością
P. Kąkolowski str. 5

KONTENER

PRZESTAŁ BYĆ

ZŁEM

KONIECZNYM

K. Fronczak str. 7

LZW-
za rok
pierwszy
węgiel

str. 4

NA ŚWIATOWYM

RYNKU

SAMOCODOWYM

A. Lubowski str. 11

str. 9

O gospodarce
węgierskiej
A. Jędrzejczak



Zdemobilizowani żołnierze udają się na Ziemię Zachodnią...

Fot. ARCHIWUM

PIERWSZE PÓŁROCZE 1980 ROKU

ROZPOCZYNA się trzydziesty siódmy rok Polski Ludowej. Tak jak i poprzedni — nie będzie on łatwy dla naszej gospodarki. A to co dzieje się w gospodarce — ma bezpośredni wpływ na zjawiska społeczne. Sprężenie to działa zresztą w drugim kierunku. Nastroje społeczne oddziałają na realizację zadań ekonomicznych.

W tej sytuacji przed piszącym o problemach gospodarczych nie ma innej drogi, jak starać się skoncentrować uwagę społeczną na tych zjawiskach, które decydują o przeżycie głównych trudności i stwarzają szanse osiągnięcia postępu w realizacji celów społecznych. Nie jest to zadanie łatwe — gdyż sytuacja jest bardzo złożona, a wiadomo, że same ogólne hasła, takie jak efektywność czy harmonizacja gospodarki, choć generalnie słuszne, niewiele wyjaśniają. Często też trzeba się ograniczyć do rejestracji zjawisk czy tendencji, gdyż wyjaśnienie ich przyczyn przekracza możliwości dziennikarza.

Przechodząc po tym usprawiedliwianym autorowi wstępie do faktów i zjawisk, trzeba sięgnąć najpierw do pewnych tendencji, które zarysowały się w sposób wyraźny w roku ubiegłym. Jak wiadomo był to rok, w którym zanotowaliśmy spadek wytworzonego dochodu narodowego o około 2 punkty. Dynamika dochodu narodowego to wskaźnik ważki, ale tak jak sama wysoka dynamika wzrostu nie świadczy jeszcze o sukcesach gospodarczych, tak i spadek tempa — nie musi być uznawany za nieszczęście. Rzecz w tym, co się za tymi zjawiskami kryje, jakie procesy strukturalne i efektywne.

W roku ubiegłym jedną z bardzo istotnych przyczyn spadku dochodu narodowego był wzrost kosztów materialnych we wszystkich podstawowych działach — przemysle, budownictwie i rolnictwie. A wzrost kosztów musiał się negatywnie odbić nie tylko na tempie, ale i na równowadze. Można to zobrazować na dwóch przykładach. Pogłębiły się kłopoty na rynku wewnętrznym — dochody ludności przekroczyły założenia planowe o 17 mld zł, a dostawy towarów i usług przemysłowych były niższe o ponad 50 mld od zało-

żeń planowych. Również w handlu zagranicznym — choć eksport wzrósł o 10,4 proc., a import o 9 proc., nadal wartość importu była wyższa niż eksportu, co zaostriżało sytuację płatniczą.

Dodać do tego trzeba kłopoty w rolnictwie. Plony i zbiory 4 zbóż były bowiem w roku 1979 najniższe w całej dekadzie lat siedemdziesiątych, a cała produkcja globalna rolnictwa cofnęła się prawie do poziomu roku 1974.

W konsekwencji wszystkie właściwe wskaźniki efektywności uległy pogorszeniu. Nie można się zresztą temu dziwić — przy niskiej dynamice produkcji trudno osiągać wysoki wzrost wydajności pracy czy poprawę produktywności majątku trwałego.

Mając w zapleczu ten punkt startu do zadań tegorocznych oraz pamiętając, że pierwsze miesiące ubiegłego roku były szczególnie ciężkie — co rzutuje na bazę porównawczą — popatrzmy na wyniki I półrocza.

Produkcja sprzedana przemysłu wzrosła w tym okresie (w porównaniu do pierwszego półrocza 1979 r.) o 5,8 proc. Jest to więcej niż zakładano plan roczny, szczególnie po korekcie wprowadzonej uchwałą sejmową. W strukturze produkcji nastąpiło niewielkie przesunięcie na rzecz produkcji rynkowej, nie osiągnięto natomiast wskaźnika udziału produkcji eksportowej. I tu dochodzimy do zasadniczego elementu sytuacji tegorocznej. Jest nią konieczność uzyskania liczącej się nadwyżki eksportu nad importem. Wspomniana uchwała Sejmu określiła ją na 4 mld zł dewizowych. W pierwszym półroczu uzyskaliśmy nadwyżkę rzędu 700 mln zł dew. Jest to niewątpliwie przełom w strukturze obrotów naszego handlu zagranicznego, ale nie można zapominać, że w II półroczu musimy osiągnąć jeszcze ponad 3 mld zł dew. tej nadwyżki. Nie będzie to możliwe tylko na drodze wzrostu eksportu — trzeba będzie również ograniczyć import. Uchwała sejmowa mówi o tym zresztą wyraźnie.

W I półroczu — choć przemysł i inne działy generalnie narzekają na trudności z zaopatrzeniem w surowce i półprodukty importowane — sytuacja nie była taka zła. Import rośnie znacznie szybciej niż produkcja przemysłowa, i to głównie import za-

patrzniowy. Oczywiście, znaczna część tego wzrostu wynika ze wzrostu cen na rynkach światowych, ale i wolumen relatywnie nie był taki niski. Trzeba chyba wyraźnie stwierdzić, że w II półroczu utrzymanie takiego tempa wzrostu importu nie będzie możliwe. W jakim stopniu odbije się to na dynamice produkcji sprzedanej przemysłu — trudno jeszcze w tej chwili ocenić. W czasie debaty sejmowej mówiono o obniżeniu dynamiki produkcji przemysłowej w granicach 1—2 punkty w stosunku do pierwotnego planu (przypomnijmy — przewidywał on wzrost tej produkcji o 4,3 proc.). Sądzę, że przemysł osiągnie wyniki bliskie pierwotnym założeniom planowym lub tylko niewiele niższe, jeżeli chodzi o globalną wielkość produkcji.

Przypuszczenie to opieram na dwóch przesłankach. Po pierwsze — wysokość funduszu płac została uchwalona przez Radę Ministrów silniej niż dotychczas związana z wielkością produkcji sprzedanej. Jest to bardzo silny bodziec do poszukiwania wszelkich dróg zwiększenia tej wielkości. Po drugie — mają być stworzone możliwości zwiększenia produktywności produkcji, jeżeli wyniki z wykorzystania surowców zastępczych, wtórnych czy odpadów.

Wśród czynników limitujących wzrost produkcji — zaopatrzenie w surowce i energię są najistotniejszymi. Stworzenie zaś możliwości substytucji między pracą przedmiotową w materiałach i pracą żywą — jest bardzo ważnym elementem pozwalającym na sięganie po surowce dotychczas „nieopłacalne” ze względu na wyższą produktywność ich przerobu.

Jak już wspominałem na wstępie, sama dynamika wzrostu — w tym przypadku produkcji przemysłowej — to jeszcze nie wszystko. W roku ubiegłym (dane nie podawaliśmy już w „Ż.G.”) produkcja globalna przemysłu wzrosła o ok. 57 mld zł, natomiast produkcja czysta zmalała o 22 mld zł, bo koszty materialne wzrosły aż o 79 mld zł. Trzeba mieć nadzieję, że w tym roku sytuacja ta nie powtórzy się. Równie ważną sprawą jest struktura produkcji. I tu potrzebna będzie ogromna uwaga i ogromny wysiłek. Trudności zaopatrzeniowe mogą bowiem skłaniać do zwiększania produkcji nie najbardziej potrzebnej, a to miałyby negatywny wpływ na równowagę ekonomiczną.

Kończąc omawianie wyników osiągniętych przez przemysł i perspektyw na drugie półrocze — pozwól sobie na pewien postulat. Jak wiadomo, toczą się prace nad zmianami w systemie ekonomiczno-finansowym organizacji gospodarczych. Sądzę jednak, że nie czekając na wyniki tych prac można dokonać pewnego posunięcia o charakterze doraźnym. Mianowicie zrezygnować z limitowania wielkości zatrudnienia w tych wszystkich przedsiębiorstwach, w których udział produkcji na eksport

lub na rynek wewnętrzny jest ważący. Dla równowagi rynkowej wystarczające są ściśle uzależnienie wielkości funduszu płac od osiągniętych wyników w wielkości produkcji sprzedanej. W tych zaś wszystkich przedsiębiorstwach, gdzie na złotówkę planowa przypada więcej niż złotówka produkcji rynkowej lub eksportowej — zwiększenie zatrudnienia dające wzrost takiej produkcji może na równowagę ekonomiczną wpływać tylko pozytywnie. Ułatwiliby to sięganie po nowe źródła zaopatrzenia, pozwalając przez większą pracochłonność osiągać wzrost produkcji. Nie zawsze musi to zresztą pociągać za sobą wzrost zatrudnienia, pod warunkiem, że nie będzie limitowana średnia płaca, a jedynie globalny fundusz płac. Istnieje wtedy przecież silny bodziec wzrostu wydajności pracy.

Wracając do omawiania minionego półrocza trzeba poświęcić sporo uwagi sytuacji na froncie inwestycyjnym. Jak wiadomo, od pewnego czasu następuje istotne ograniczenie wielkości nakładów inwestycyjnych. Nie przyniosło to jednak jeszcze pozytywnych skutków w postaci opóźnienia frontu inwestycyjnego, koncentracji, skrócenia cyklu. I w pierwszym półroczu br. istnieje nadal poważne różnice między zaawansowaniem planu nakładów a zaawansowaniem planu oddawania obiektów do użytku. Mówiąc brutalnie, zaawansowanie w wykorzystaniu środków na inwestycje jest znacznie wyższe niż w uzyskiwaniu planowanych efektów.

Ten rok — mówił o tym I sekretarz KC PZPR tow. Gierek na niedawnej naradzie aktywów gospodarczych — ma być okresem porządkowania w planowaniu budownictwa mieszkaniowego. Jest to niezwykle potrzebne, choć odbija się na statystycznych wskaźnikach wykonania planu tegorocznego, którego realizacja ma się zakończyć 31 grudnia — bez zaliczania formalnie do planu „poślizgów” na rok następny. Nie zmienia to jednak faktu, że w budownictwie mieszkaniowym na terenie wielkich aglomeracji (głównie stołecznej i katowickiej) sytuacja jest bardzo trudna, a zaawansowanie zadań tegorocznych niższe niż w I półroczu 1979.

Jak już wspominałem, w ciągu pierwszych tegorocznych 6 miesięcy dynamika produkcji rynkowej była nieco wyższa niż w planie. Odbiło się to na dostawach i obrotach handlu detalicznego, które wzrosły o ponad 12 proc. Jednak w odczuciu społecznym nie nastąpiła poprawa zaopatrzenia. Jest to zrozumiałe, jeżeli weźmiemy pod uwagę „nawis” nadwyżki dochodów pieniężnych nad dostawami z roku ubiegłego oraz fakt, że i w roku bieżącym dochody pieniężne ludności rosną szybciej od założeń planowych. Nie bez wpływu na sytuację rynkową są znaczne różnice asortymentowe między założeniami a realizacją dostaw.

Trudno spodziewać się większych zmian na lepsze w sytuacji rynko-

wej do końca roku. Wiąże się to z określonymi kłopotami w produkcji rolnej, gdzie występują, szczególnie w hodowli, skutki zeszłorocznych gorszych urodzajów, a także z pewnymi ograniczeniami i przesunięciami asortymentowymi w produkcji przemysłowej. W tym ostatnim przypadku — przy maksymalnej ochronie rynku, szczególnie jeżeli chodzi o artykuły podstawowe — nadrzędny priorytet (jeżeli priorytet może jeszcze być nadrzędny) ma eksport. Jest to bowiem jedyna obecnie droga uzyskania środków na import, a jego wielkość decydującą będzie o możliwościach wzrostu produkcji, w tym i produkcji rynkowej, w następnym okresie.

Niejednokrotnie już wspominałem, że główną barierą wzrostu produkcji są surowce i materiały. Tę barierę może obniżyć handel zagraniczny, pod warunkiem, że uzyska odpowiednie środki dewizowe. Nadwyżka eksportu nad importem jest nam niezbędna nie tylko ze względu na sytuację płatniczą, ale i ze względu na możliwości uzyskiwania dalszych kredytów. Ci, którzy ich udzielają nie są filantropami i bacznie obserwują stan naszych bieżących obrotów, uzależniając udzielenie kredytu oraz warunki płatnicze od tego stanu. Choć więc obecnie forsowanie eksportu nie ułatwia nam sytuacji na rynku wewnętrznym, jest to jedyna droga poprawy równowagi w przyszłości, i to nie tylko w handlu zagranicznym, ale także i w kraju.

Na koniec pozwolę sobie na pewną refleksję ogólniejszą. Stoimy obecnie — nie tylko zresztą my — przed trudnym dylematem. Nasze potrzeby i aspiracje szybko rosną. Nie tylko zresztą potrzeby i aspiracje wyższego rzędu, bo wiele jeszcze grup naszego społeczeństwa boryka się z codziennymi, bytowymi kłopotami w dziedzinach podstawowych — z trudną sytuacją mieszkaniową, z zaopatrzeniem, dojazdami do pracy i wieloma innymi sprawami. Równocześnie zaś przyrost podstawowych zasobów, głównie w dziedzinie surowców i energii, kurczy się i będzie w najbliższych przynajmniej latach ograniczony. Nie ma innej drogi rozwiązania tego dylematu, jak przez coraz lepsze, zgodniejsze z potrzebami społecznymi wykorzystanie tych zasobów. Teoretyczne możliwości są tu bardzo duże — trudniej znacznie przełożyć je na działanie praktyczne. Wiele zależy będzie od tego, jak szybko i konsekwentnie przebiegać będzie proces porządkowania gospodarki, osiąganie równowagi w podstawowych dziedzinach. Wiele także od zakresu i tempa zmian w metodach planowania, zarządzania, w systemie ekonomiczno-finansowym. Równie wiele jednak od szerokiego zrozumienia istniejącej sytuacji ekonomicznej, od zrozumienia prowadzącego do wspólnego wysiłku, dla stopniowego przezwyciężania trudności.

S.C.

z obrad Prezydium Rządu

JAK informuje rzecznik prasowy Rządu, 14 bm. odbyło się posiedzenie Prezydium Rządu, na którym omówiono sytuację powodziową w kraju spowodowaną wyjątkowo obfitymi opadami deszczu.

Według meldunków, które wpłynęły do Głównego Komitetu Przeciwpowodziowego do dnia 14 lipca br. zalanych zostało i podtopionych ponad 1 mln ha użytków rolnych. Najbardziej dotknięte powodzią są województwa: bydgoskie, konińskie, toruńskie, elbląskie, pilskie, wrocławskie i poznańskie. Stosunkowo mniejsze zalewy wystąpiły w województwach: kaliskim, leszczyńskim, kieleckim, szczecińskim, wabrzyńskim i wrocławskim.

We wszystkich rejonach dotkniętych klęską nadmiernych opadów szeroka działalność podjęły służby rolne i zajmujące się gospodarką wodną, jak również straży pożarne i jednostki Obrony Terytorialnej Kraju. Prezydium Rządu — oceniając sytuację jako poważną — w celu wsparcia działalności wyspecjalizowanych służb, zwróciło się do wojewodów i naczelników gmin o organizowanie szerokiej pomocy społecznej na rzecz powodziarzy oraz usuwania skutków powodzi.

Prace związane z usuwaniem szkód spowodowanych przez powódź powinny obecnie koncentrować się przede wszystkim na odprowadzaniu tam gdzie jest to już możliwe wody z pól, na szybkiej naprawie lub odbudowie zniszczonych budynków mieszkalnych i inwentarskich, urządzeń wodnych, melioracyjnych i komunalnych oraz dróg i mostów.

Prezydium Rządu dla zapewnienia dobrej realizacji tych wszystkich zadań nadało wojewodom z terenów dotkniętych powodzią szerokie uprawnienia umożliwiające rozwiniecie skutecznych działań zaradczych. Dla szybkiej oceny szkód na terenach objętych powodzią skierowano pracowników PZU również z innych województw. Zalecono PZU szybkie wypłacenie zaliczek z tytułu należnych odszkodowań.

Resorty gospodarcze zostały zobowiązane do udzielenia niezbędnej pomocy powodziarom i województwom najbardziej dotkniętym klęską powodzi. Również wszystkie służby sanitarne zobowiązano do prowadzenia bieżącej oceny sytuacji sanitarno i podejmowania operatywnych działań.

Resort rolnictwa i handel wiejski udzielił już wstępnej pomocy województwom najbardziej poszkodowanym. Przydzielono dla tych rejonów dodatkowe ilości materiału siewnego, nawozów mineralnych, pasz i sprzętu technicznego.

w ubiegłym tygodniu

w kraju

● W KOMITECIE CENTRALNYM PZPR odbyła się 9 bm. narada aktywno-partijno-gospodarczego pod przewodnictwem Edwarda Gierka i z udziałem Edwarda Babuchy, poświęcona ocenie realizacji zadań I półrocza oraz działaniom na rzecz prawidłowej realizacji tegorocznych zadań społeczno-gospodarczych i przygotowania warunków dalszego rozwoju kraju zgodnie z kierunkami wytyczonymi przez VIII Zjazd PZPR.

● BIURO POLITYCZNE PZPR na posiedzeniu 15 bm. zapoznawało się z przedsięwzięciami podejmowanymi dla ograniczenia ujemnych skutków nadmiernych opadów oraz z oceną wykonania NPSG w I półroczu br. Podjęto decyzję o dokonaniu jeszcze w tym roku oceny realizacji uchwały VIII Zjazdu w dziedzinie efektywności gospodarowania w przemyśle, transporcie, budownictwie i rolnictwie, a także oceny udziału nauki polskiej w podnoszeniu efektywności gospodarowania.

● KOMISJE SEJMOWE zapoznawały się z resortowymi zamierzeniami wykonania czerwcowej uchwały Sejmu o zadaniach dotyczących realizacji tegorocznej NPSG.

● KOPALNIA „HALEMB-GŁĘBOKA” w Rudzie Śląskiej 12 bm. — na pół roku przed terminem — rozpoczęła eksploatację. Jak wiadomo — po raz pierwszy w historii polskiego górnictwa ze złóż węgla zalegających poniżej kilometra w głębi ziemi.

Na Śląsk przybył z tej okazji Edward Gierek.

● WIZYTY. Przebywała w Polsce delegacja Państwowego Komitetu Rady Ministrów ZSRR ds. Nauki i Techniki, z przewodniczącym komitetu wicepremierem Guriem Marcuzkiem, przeprowadzając rozmowy dotyczące intensyfikacji współpracy naukowo-technicznej.

Z wizytą roboczą przebywał premier Bułgarii Stanko Todorow, towarzyszył mu przewodniczący Komisji Planowania LRB wicepremier Kiril Zaraw. Podpisano protokół o wynikach koordynacji planów między Polską i Bułgarią na lata 1981—85. W przyszłym pięcioleciu polsko-bułgarskie obroty handlowe wzrosną o 27 proc., a w całości obrotów 70 proc. stanowić będą wyroby przemysłu elektromaszynowego.

W czasie wizyty ministra handlu zagranicznego Belgii R. Urbain’a w MHZiGM paraflowano tekst nowej umowy 5-letniej o współpracy gospodarczej. Podpisano również porozumienie — między CIE „Impexmetal” a Societe Generale de Minerai — o zwiększeniu dostaw polskiej miedzi do Belgii w latach 1981—84.

Wizyty oficjalne złożyli przewodniczący Liberalnej Partii Ludowej Finlandii Joakko Itala oraz minister obrony Syryjskiej Republiki Arabskiej generał broni Mustafa Tlas.

● KOMISJA ROLNA RWPG obradowała w Poznaniu 7—12 bm., z udziałem delegacji Bułgarii, Czechosłowacji, Kuby, Mongolii, NRD, Polski, Rumunii, Węgier, Wietnamu i Związku Radzieckiego oraz przedstawicieli Jugosławii i — w charakterze obserwatorów — przedstawicieli Jemeńskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej.

Min. rozpatrzone możliwości pogłębienia współpracy krajów członkowskich RWPG w kierunku zwiększenia produkcji zbóż, pogłębienia współpracy w dziedzinie weterynarii oraz specjalne przedsięwzięcia mające przyspieszyć rozwój i zwiększyć efektywność rolnictwa Socjalistycznej Republiki Wietnamu.

● ZMARŁ w Warszawie w wieku 84 lat generał broni Zygmunt Berling, wybitny dowódca i jeden z czołowych organizatorów ludowego Wojska Polskiego. Pierwszy dowódca I Dywizji Piechoty im. T. Kościuszki, którą dowodził w bitwie pod Lenino, dowódca I Armii Wojska Polskiego.

● BUDUJEMY W IRAKU. „Elektrim” zawarł z Irakiem kontrakt wartości 30 mln dol. na wybudowanie 500-kilometrowej linii wysokiego napięcia — trzeciej „polskiej” w tym kraju.

„Polimex-Cekop” podpisał kontrakt kooperacyjny wartości 40 mln zł dew. na montaż urządzeń technologicznych i pomocniczych do przerobu gazu ziemnego — w ramach inwestycji realizowanej w Iraku przez francuski koncern „Technip”.

● „DO-RO”. W kolejnym, już piątym, konkursie o miasto zakład „Dobre Roboty” ubiegało się ponad 4,5 tys. przedsiębiorstw państwowych i spółdzielczych. Po raz pierwszy uczestniczyli 82 jednostki zaplecza naukowo-badawczego i rozwojowego. Przyznano 50 nagród I stopnia, 87 — II stopnia i 88 wyróżnień.

● GMINA GOLESZÓW w woj. białskim zdobyła tegoroczny tytuł „Mistrza Gospodarki” (15 mln zł), wicemistrzowie (4 mln zł): gmina

Jedlicze, woj. krosiński i gmina Suchy Las, woj. poznański. Nagrody (3 mln zł) przyznano też gminom: Jasienica, woj. białskie; Busko, woj. kieleckie; Kórnik, woj. poznański; Gołcza, woj. krakowski; Limanowa, woj. nowosądeckie; Łysowice, woj. toruńskie.

● DLACZEGO LUBIMY BAWELNĘ? Nie tylko ze względu na higieniczne — także z powodu stosunkowo niskiej ceny. Ale kiedy wyroby z bawełny drożeją — nadal chętnie je kupujemy. Z powodów jak wyżej.

„Jednocześnie ze wzrostem cen na artykuły bawełniane, wełniane czy jedwabne — pisze w „Słowie Powszechnym” (nr 135) Ewa Andruszkiewicz — rosną także ceny na inną odzież, z nowych mieszanek syntetycznych, z nowych włókien, jednym słowem odzież, która znowu jest nowością. Tak więc dysproporcje w dalszym ciągu pozostają i w dalszym ciągu dla nikogo nie jest odpłatna produkcja sztruksu i aksami. A że każda nowość jest droższa od poprzedniej nowości, która do końca swego żywota będzie utrzymywała raz nadaną cenę, więc te najcenniejsze włókna, naturalne, pozostaną dalej stosunkowo tanie.”

„Jest to o tyle pocieszające — kończy autorka — że widać w tej polityce cenowej troskę o nasze zdrowie.”

● 250 TON BENZYNY wartości 22 mln zł można by zaoszczędzić w ciągu roku w samych tylko stacjach CPN po zainstalowaniu specjalnych nasadek na końcówkach dystrybutorów, które o ok. 70 proc. zredukowałyby uciążliwość — szkodliwych przy tym dla zdrowia — par benzynowych. Projekt takiego urządzenia opatentował inż. Henryk Wojewoda z Biura Projektów CPN „Naftoprojekt”. Kłopot — ze znalezieniem wykonawcy.

● „KRAM Z BUBLAMI” otworzył na swych łamach „Express Wieczorny”. Z tej okazji czytamy: „Kiedyś spotykało się takie wytwory wyjątkowo złego gustu na jarmarkach, dzisiaj, jak widać, bierze się za ich produkcję również przemysł kluczowy”. Nie tylko zły gust prezentowany jest w tym kramie, także brakrobstwo (co w zasadzie na jedno wychodzi) oraz zadziwiająco „bublawa” nabytki z importu. Przykładów nie cytujemy — bo za wiele.

● SZCZĘŚLIWA TRZYNASTKA. 13 bm. minęła 50 rocznica podniesienia polskiej bandery na fregacie „Dar Pomorza”.

● BONY CUKROWE z lipca i sierpnia ważne są do 30 września.

za granicą

● W czasie rokowań wiedeńskich Związek Radziecki zgłosił gotowość wycofania z Europy Środkowej 20 tys. żołnierzy, jeśli USA wycofają z tego rejonu 13 tys. żołnierzy.

● W Tokio spotkali się prezydent USA J. Carter i przewodniczący KC KPCh, premier CHRL Hua Kuo-feng. Obaj uczestniczyli w uroczystościach pogrzebowych ku czci zmarłego w czerwcu premiera Japonii M. Ohiry.

● Na nowego szefa rządu Japonii desygnowany został Zenko Suzuki.

● Ajatollah Chomeini zgodził się na zwolnienie chorego zakładnika amerykańskiego.

● Papież Jan Paweł II zakończył 12-dniową wizytę w Brazylii. Była to najdłuższa z jego dotychczasowych podróży: odwiedził 13 miast, wygłosił ponad 50 przemówień, przebył trasę około 13 tys. kilometrów.

● Zachodniemieckie ministerstwo gospodarki opublikowało dane nt. wzrostu cen w 20 zachodnich krajach uprzemysłowionych.

Według raportu, wskaźniki te przedstawiają się następująco (w nawiasie miesiąc, z którego pochodzą ostatnie dane): Szwajcaria — 4,3 proc. (maj), RFN — 6,0 (czerwiec), Belgia — 6,2 (czerwiec), Austria — 6,4 (maj), Luksemburg — 6,4 (czerwiec), Holandia — 7,2 (kwiecień), Japonia — 8,2 (maj), Kanada — 9,4 (maj), Norwegia — 9,4 (maj), Finlandia — 10,7 (kwiecień), Szwecja — 13,3 (maj), Francja — 13,7 (maj), Dania — 14,1 (maj), USA — 14,2 (maj), Irlandia — 15,5 (lut), Hiszpania — 15,6 (kwiecień), Włochy — 20,9 (kwiecień), W. Brytania — 21,9 (maj), Portugalia — 22,3 (marzec) i Grecja — 23,8 (marzec).

● Agencja DPA pisze, że po półtorarocznym okresie dobrej koniunktury gospodarczej pojawiły się w RFN pierwsze oznaki jej osłabienia. Wszystko wskazuje na to, że w najbliższych miesiącach produkt społeczny brutto wzrastać będzie tylko nieznacznie.

Rząd federalny uważa zwolnienie tempa wzrostu gospodarczego za „chwilowe”. Osłabienie dotyczy głównie kluczowej branży zachodniemieckiego przemysłu — przemysłu samochodowego. W pierwszym półroczu 1980 r. produkcja samochodów

osobowych spadła o 9 proc. w porównaniu z okresem styczeń-czerwiec ubiegłego roku. Jednocześnie o 8 proc. wzrosła produkcja ciężarówek, dlatego przedstawiciele branży stwierdzili, że nie ma powodu do dramatyzowania. Osłabienie koniunktury zaznacza się również w budownictwie, w chemii, w elektronice, w handlu detalicznym i w turystyce.

● Rząd meksykański wprowadził ograniczenia połowów tuńczyka przez obce statki w 200-milowej strefie morskiej. Nastąpiło to po faski 3-letnich rozmów w sprawie regulacji połowów na Pacyfiku, w których głównymi stronami były Meksyk i USA. Krok ten jest wyraźnie wymierzony w USA, a pierwszy tuńczykowiec amerykański został już zatrzymany przez władze meksykańskie i obłożony karą 13 tys. dolarów w myśl nowych przepisów.

● Jak wynika z danych Związku Urzędu Statystycznego SFRJ, koszty utrzymania w Jugosławii podniosły się w ciągu 12 miesięcy (od połowy ubiegłego roku do połowy br.) o blisko 30 proc. Wzrost ten w głównej mierze przypada na pierwsze półrocze 1980 r. Koszty utrzymania w czerwcu br. były o ponad 19 proc. wyższe niż w grudniu zeszłego roku. Tylko w stosunku do maja zwiększyły się one o 5,3 proc.

Zjawisko to tym bardziej niepokoi ludność i władze, że czerwiec był pierwszym miesiącem, w którym obniżowało „zamrożenie” górnej granicy cen (począwszy od 6 czerwca). Tymczasem zanotowano wiele gwałtownych skoków cen różnych artykułów spożywczych pierwszej potrzeby, a także szeregu wyrobów przemysłowych. Największy wpływ na wzrost kosztów utrzymania wywarło podrożenie świeżych owoców i warzyw.

Znacznie podrożały również przetwory owocowe i warzywne, przetwory mięsne, ryby, produkty mleczarskie, jaja, tłuszcz i drób. W rezultacie wydatki społeczeństwa na żywność zwiększyły się w czerwcu br. o 7,8 proc.

Na łamach dziennika „Rude Pravo” sekretarz KC KPCh Josef Haman informuje, że na 101,3 mln ton paliwa konwencjonalnego zużytego w CSRS w 1979 roku 42,5 mln ton pochodziło z importu, z czego z ZSRR — 37,9 mln ton. Z łącznego zużycia ropy naftowej, które wyniosło w 1979 r. 18,9 mln ton, z importu pochodziło 18,8 mln ton, w tym z ZSRR — 18,3 mln ton. W 1979 r. zu-

życie gazu ziemnego w Czechosłowacji wyniosło 7,6 mld metrów sześciennych; 6,77 mld metrów sześciennych pochodziło z importu ze Związku Radzieckiego.

● Obie izby parlamentu włoskiego na wspólnym posiedzeniu po publicznej debacie podejmą w formie głosowania decyzję, czy premier Antonio Cossiga jest winien przestępstwa polegającego na złamaniu tajemnicy służbowej oraz wykorzystywania stanowiska dla celów prywatnych.

Takie zarzuty wysunęły wobec premiera na podstawie zeznań terrorysty, który oświadczył, iż syn czołowego działacza rządzącej partii chłdeckiej, terrorysta Marco Donat Catin mógł zbiec za granicę, ponieważ premier Cossiga uprzedził jego ojca, senatora Carlo Donat Catin, o gróźbach mu aresztowania. Premier zdecydowanie odrzucił te oskarżenia, a komisja parlamentarna badająca zarzuty orzekła niewinność premiera większością tylko jednego głosu. Partie opozycji użyły za niezbędne kontynuowanie śledztwa na forum polonajnych izb parlamentu, gdyż taką procedurę przewiduje włoska konstytucja.

● Dziennik związkowców węgierskich „Nepszava” pisze, że w obecnej, trudnej sytuacji gospodarczej ludzie są bardziej uczuleni na dochody pochodzące z łapówek, „pieniędzy wdzięczności” i wygórowanych napiwków. Dlatego też w sposób bardziej kategoryczny należy potępić spryciarzy, dorobkiewiczów, wszystkich uzyskujących bezprawne dochody kosztem innych. Łapówki, pieniądze wdzięczności i napiwki, jak się szacuje, sięgają kwoty 6—8 mld forintów rocznie.

Namiaszt z artykułu w tygodniku „Elet es Irodalom” wynika, że wspomniana kwota jest 1,5—2 razy wyższa od dochodów uzyskiwanych przez zainteresowanych w miejscu pracy. Z tzw. napiwkowych zawodów żyje na Węgrzech około 250—300 tys. ludzi, z tego 17—18 tys. w handlu, 42 tys. w gastronomii, 16—18 tys. w usługach, 60 tys. w transporcie, 80—90 tys. w służbie zdrowia, 38—40 tys. w innych dziedzinach, jak poczta, inkasenci, dozory, grabarze itp. W tych branżach place są zaniżone, gdyż ustalają je z góry władze i napiwki, które podnoszą zarobki do poziomu średniej krajowej. „Lewe” dochody, przekraczające 10 tys. forintów miesięcznie, pojawiają się tylko w nielicznych zawodach, takich jak lekarz, adwokat, kierownik takśdki bagażowej, obsługa stacji benzynowych.

WIEŚ Z MONOGRAFIĄ

PAWEŁ KAPUŚCIŃSKI

Husów niczym specjalnym nie wyróżnia się spośród innych wiosek w okolicy Łańcuta. Z wyjątkiem może trochę gorszej komunikacji i fatalnego stanu drogi prowadzącej z Łańcuta do Husowa — gromadzkiej wsi. Domy, sporych nowych, obszerne, prawie w pełni obok stareńskich drewnianych chałup, rozsiane malowniczo na stokach łagodnych wzgórz.

Gospodarstwa niewielkie, ale, zadbane, produkcyjne, każdy kawałek ziemi wykorzystany, uprawy starannie pielęgnowane, inwentarz w dobrej kondycji. Wieś przeciętnie zamieszkała — ponad 30 prywatnych gospodarstw, kilkanaście samodzielnich gospodarstw, przeważnie Syrenki i „maluchy”, dwie „Dacie”, ponad setka motocykli. Z każdego niemal gospodarstwa jedna, dwie osoby dojeżdżają do pracy w Łańcut, Rzeszów. To także typowe dla tego i wielu innych rejonów o rozdrobnionej strukturze rolnej.

Jedno tylko ma Husów, czym pochwycić się może mała wiosna w Polsce — własną naukową monografią, napisaną tuż przed wojną, a obejmującą okres od czasów najdawniejszych do 1937 r., ostatnie 150 lat bardzo szczegółowo. Wyszła spod pióra wybitnego ekonomisty rolnego i socjologa prof. Wincentego Styś, który dziełem tym wystawił swej rodzinnej wiosce najwspanialszy pomnik. Ta unikalna praca zawiera wszystko na temat Husowa i jego mieszkańców. Wszystko o gospodarce, o produkcji, o tym, jak husowianie żyli przed wojną, w jakich domach mieszkali (prawie 60 proc. składało się z jednej izby lub izby i komory), jak się odżywiali, ile wydawali na cukier, naftę, ile kupowali zapalek — przeciętnie 26 pudełek rocznie na jedno gospodarstwo — itd. („Jak gdzie indziej, tak i tu chłopi uważają cenę zapalek za zbyt wygórowaną i ograniczają ich zużycie do minimum, posługując się prymitywnymi zapalniczkami”). Kopalnia bardzo szczegółowych wiadomości na temat bytu chłopów i stosunków społecznych tej wsi. Fajny, a może i konfrontacyjny ich ze współczesnością.

Rodziny liczne...

Z sołtysiem, Józefem Hawro, rozmawiamy w jego biurze, piętrowym budynku, byłej siedzibie GRN, obecnie mieszczącej pocztę, bibliotekę i czytelnię. Jest niedziela, sołtys ma dyżur. Kiedy skończy się Msza św., póki zapelni tłum interesantów. Sołtys będzie rozdawał bony na cukier. Rodziny liczne, ludzie biorą po trzy, cztery, nawet pięć bonów dwukilogramowych. Przed wojną przeciętnie spożył cukru w Husowie wynosiło 1,6 kg rocznie na mieszkańca. „Konsumpcja cukru — pisał prof. Styś — jest bardzo mała i znajduje się daleko poniżej przeciętnej dla województwa południowych, która w 1937 r. wynosiła 8,4 kg (w miastach i wsiach); wobec niedostatku cukru gospodynie tutejsze przyrządzają nierzadko »kawa« na wywarze z buraków cukrowych”.

Sołtys pochodzi z Husowa. Jego rodzice mieli tu 1,3-hektarowe gospodarstwo, które żywiło 6 osób. Przeludnienie było plagą wsi przedwojennej. Dzięki parcelacji miejscowego folwarku (ostatni właściciel Andrzej Oborski), około 90 ha użytków rolnych, oraz osadnictwu na Ziemiach Odzyskanych (bezpośrednio po wojnie wstąpiło do Dolny Śląsk 87 rodzin, zostawiając w Husowie 107 ha) — część gospodarstw mogła powiększyć swój obszar. Hawro gospodarzy teraz na 5,6 ha. Ma pięcioro dzieci, starsza córka pracuje w Jarosławiu, syn jest murarzem w Łańcut, trójka najmłodszych jeszcze z rodzicami w gospodarstwie.

Sołtys chwali się, że za jego kadencji i jego staraniem wieś została zgasifikowana. Cała instalacja jest już gotowa, doprowadzona do poszczególnych domów i na jesieni będzie przyłączona do sieci.

Pierwsza żarówka elektryczna zaświeciła się w Husowie jesienią 1953 r.

Sołtys działa też w Komitecie członkowskim gminnej spółdzielni. Udało mu się przekonać kogo trzeba, żeby punkt skupu żywności urządzić na miejscu. W każdy czwartek odbywa się spęd, na który rolnicy z Husowa i sąsiedniej niewielkiej Tarnawki przyjeżdżają po 35—40 tuczników. Hodowcy bekoniów odstawiają zwierzęta do Markowej. Oprócz tego, niemal w każdym gospodarstwie, rolnicy biją na własny użytek przynajmniej jedną swinie do roku. Sołtys zarządził dla siebie jednego tucznika na jesień, drugiego przed Wielkanocą, a ostatnio urządził sviniobielę, żeby mieć czym nakarmić murarzy, którzy wznoszą mu chlewnię specjalistyczną.

W 1936/37 r. we wszystkich 645 gospodarstwach (dziś jest ich prawie o 100 mniej), zabito tylko 36 świń. Prof. Styś tak to ówczesnie komentował: „Jeśli się tej cyfrze uboju przeciwstawi cyfrę 426 świń sprzedanych na potrzeby miast i zagranicy, przyjdzie stwierdzić, że wywóz świń z Husowa nie jest wywozem nadwyżek, lecz wymuszonym przez biedę eksportem głodowym”. I dalej: „Husowianie jedzą mięso z reguły tylko dwa razy do roku, tj. na Boże Narodzenie i Wielkanoc, a poza tym tylko przy okazji jakiejś szczególnej uroczystości rodzinnej, wesela lub chrztu. Wtedy idzie na stół kaczka lub królik, rzadziej gęś”.

Pogłowię świń w Husowie jest dziś przeszło trzy razy większe niż przed wojną, ale ubój gospodarzy i produkcja towarowa wielokrotnie wyższa. Intensyfikacja gospodarki rolnej poczyniła bowiem ogromne postępy. Krów, na przykład, jest o kilkadziesiąt sztuk, czyli o 10 proc., mniej niż przed wojną, a dostawa mięsa do miejscowej mleczarni większa, choć gospodarze na pewno więcej też produktów nabiałowych zostawiają na własne potrzeby. W 1937 r. plony pszenicy wynosiły tu średnio 15,3 q/ha, dziś mało kto zbierze jej mniej niż 30 q z hektara. Grunty orne otrzymują po około 200 kg/ha nawozów mineralnych w przeliczeniu na czysty składnik, tj. około 500—600 kg nawozów w postaci handlowej. Tuż przed wojną tutejsi gospodarze używali 100 kg niskoprocenowej tomaszyny średnio na 2,1 ha. A kilka lat wcześniej jeszcze mniej, bo jak pisał autor monografii: „Wielki kryzys rolny zmusił husowian do ekstenzywniejszej gospodarki. Ceny zbóż spadły bardziej niż ceny nawozów sztucznych, toteż w latach 1932-35 zużycie ich spadło bardzo silnie”.

Miarą współczesnego wyposażenia gospodarstw husowskich niech będzie choćby owe trzydzieści par traktorów prywatnych (w Urzędzie Gminy leży 15 następnych podań o przydział ciągnika) i 10 traktorów wraz z całym sprzętem towarzyszącym w miejscowej filii SKR.

Przed wojną w całej wsi było m. in. tylko 280 plugów, 4 kultywatory, 42 obspyniki do ziemniaków, tylko 3 siewniki i 10 miotarni. „Wobec niedostatku zaopatrzenia w bardziej kosztowne narzędzia i maszyny, czyż nie można by pomyśleć o utworzeniu jakiejś spółdzielni maszynowej, która by utrzymywała maszynę i narzędzia do wspólnego użytku?” — pisał prof. Styś 41 lat temu. Było to za to aż 555 żarn do zboża. „Obecnie znowu oddaje się zboże do młynów, ale żarna są więcej używane niż przed wojną (i światową — przyp. P. K.), gdyż wielu ubogim gospodarzom brak gotówki na opłatę za przemiał”.

Zarn już nikt dzisiaj oczywiście nie używa, ale są jeszcze w tej wsi rolnicy, którzy jedzą chleb własnego wypieku i nieczęsto zaglądają do sklepu spożywczego. Spotykam jednego z nich w biurze sołtysa, starszy, w odświętnym garniturze, nazywa się Stanisław Lichota. Powiada, że w żywności zaopatruje się wyłącznie we własnym gospodarstwie. Nawet kiełbasy nie kupuje — jeśli się akurat pojawi w sklepie GS. Mieszka z żoną tylko, ma 2,2 hektara, dwie krowy, dwie świni, 40 kur. Uprawia hektar zboża, kosi je ręcznie razem z żoną w cztery dni i „nikomu nie musi się kłaniać o przysłanie maszyny”. Obie córki przeniosły się do miasta, jedna mieszka w Łańcut, druga w Rzeszowie. Mówi oczywiście nie ma, żeby któraś z nich zechciała jeszcze kiedyś wrócić na wieś.

Prof. Styś pisząc o wydatkach na tytoń zauważa: „Przywykły do intensywnego palenia, także po ożenku przez jakiś czas dużo pał (mowa o młodych mężczyznach — przyp. P. K.), ale z biegiem czasu ograniczają stopniowo zużycie tytoniu w miarę jak rośnie rodzina i wydatki lub jak pojawiają się doniosłe cele gospodarcze, np. dokupno ziemi, których osiągnięcia niezbędnym warunkiem jest skrajna oszczędność”.

Z około setki starszych rolników, którzy w najbliższym czasie przejdą na emeryturę, wielu nie znajduje już w młodszej generacji chętnych do przejęcia schedy. Z braku następców wielu przekazuje ziemię państwu. Gospodarzy na niej — już około stu-dwudziestohektarowe — zespołowe

gospodarstwo rolne, filia SKR w Markowej.

Podanie o bilet miesięczny PKS

W grupie młodych mężczyzn, którzy przystąpili na papierosa i pogawędkę po kościele nie spotykam ani jednego, który nie dojeżdżałby do pracy do miasta. Pracują w fabryce szrub, w spółdzielni inwalidów, w łańcuckiej filii krakowskiej „Vistuli”. Rozmawiamy o szansach otrzymania mieszkania w mieście, a przede wszystkim o tym, czy nie dałoby się poprawić komunikacji z Łańcutem. Codziennie rano we wsi pojawia się sześć samochodów zakładowych dowożących ludzi do pracy — „Żuki”, „Osinobusy” i nawet jeden autobus z MPKG. Większość koryzysta z autobusów PKS, które nie mogą jednak pomieścić wszystkich chętnych. Jeden z moich rozmówców, pracujący jako kierowca w Łańcut, od dłuższego czasu bezskutecznie pisze podania o bilet miesięczny. Kiedyś kuzynka, która przeniosła się do miasta, chciała mu nawet swoje miejsce odstąpić, ale bilet otrzymał ktoś, kto jeszcze dłużej czekał.

Bezrobocie panujące na tej wsi przed wojną dobrze ilustruje następujące wyliczenie. Otóż, według norm Poniatowskiego, ówczesnego ministra rolnictwa, w Husowie, w rolnictwie powinno pracować nie więcej niż 531 osób, faktycznie zaś w 1937 r. w wieku produkcyjnym było 1638 osób. Według ankiet przeprowadzonej przez prof. Styśa wśród samych chłopów — poza gospodarstwem mogłoby pracować 463 osoby, tj. 28,3 proc. ogółu utrzymujących się wówczas z pracy w rolnictwie.

Ale i tamte czasy miały swoje osiągnięcia. Spośród kilku budynków użyteczności publicznej — niedawno zbudowanych ośrodków zdrowia i agromotowki, mieszczącej również punkt weterynaryjny, oraz nowego domu nauczycieli — najokazalszy jest gmach szkoły, wzniesiony jeszcze przed wojną. „Jest to imponujący piętrowy budynek murywany — czytamy w monografii — złożony z 8 sal szkolnych, 2 gabinetów, umywalni, 2 szatni i mieszkania kierownika, obejmującego 3 pokoje z kuchnią. Stanął on w wyniku własnym wsi, która opodatkowała się na ten cel dobrowolnie kwotą 8 zł z morga gruntu i dostarczyła sporo robocizny darmowej”. Szkoła do dziś spełnia swoje funkcje, dwa najmłodsze roczniki uczą się już według programu 10-latk.

Przed wojną wśród dorosłych mieszkańców Husowa 304 osoby nie umiały ani czytać, ani pisać.

Ówczesna biblioteka szkolna i biblioteka Koła Młodzieży posiadały razem 700 tomów. Halina Socha, kierowniczka Biblioteki Publicznej, informuje mnie, że księgozbiór tej placówki liczy obecnie 6750 tomów. Stałych czytelników jest 520, przeżywa młodzież. Największą poczytnością cieszą się lektury szkolne, wśród starszych czytelników — książki na temat II wojny światowej. W zimie, kiedy organizowane są kursy rolnicze (w ostatnich latach ukończyło je 300 osób), wzrasta zainteresowanie książkami fachowymi.

Szereg inicjatyw społeczno-gospodarczych podjętych przez husowian w okresie międzywojennym doczekało się pełnej realizacji dopiero po wojnie. Protoplastą sporego zakładu mleczarskiego, wybudowanego w latach pięćdziesiątych, była spółdzielnia mleczarska, powstała w Husowie w 1935 r. Kierownik mleczarni, Andrzej Cyma, skrupulatnie wylicza: w 1979 r. gospodarze Husowa dostar-

czyli 682 882 l mleka, inkasując ponad 3 mln zł (obecnie, po podwyżce cen skupu, średnia cena wzrosła do 6,32 zł/l). Zakład przerabia również mleko z Markowej i Tarnawki, zatrudnia 13 osób. Specjalizuje się w produkcji sera edamskiego, którego w ubiegłym roku wytworzył 57 584 kg. Zaopatruje Śląsk, Kielce, Rzeszów.

Z książki prof. Styśa dowiadujemy się, że spółdzielnia przedwojenna powstała tu na tle ambicjonalnych zatargów miejscowych rolników z gospodarzami spółdzielczej mleczarni w Handzlówce, do której Husów dostarczał początkowo mleko. Miała nawet kłopoty z zarejestrowaniem się, ponieważ ówczesny Związek Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych wraz z Izłą Rolniczą forsował budowę większych mleczarni rejonowych, zdolnych do wytwarzania dobrego towaru na eksport. Profesor był także zdania, że Husów powinien przyłączyć się do większej mleczarni w Handzlówce, która mogłaby wówczas przerabiać 2 mln l mleka rocznie i płacić dostawcom o 2 grosze za litr więcej. Obecnie sam zakład w Husowie przerabia blisko 3 mln litrów rocznie.

Mam okazję rozmawiać z pierwszym kierownikiem husowskiej spółdzielni, Aleksandrem Boratynem, notabene bratem ciotecznym prof. Styśa. Wspomina: „Wynajęliśmy pomieszczenie w prywatnym budynku, najpierw robiliśmy tylko masło, później w piwniczce pod tym budynkiem i w szkole urządziliśmy dojrzewalnię serów. Wyposażenie było bardzo skromne, wirówkę mieliśmy ręczną, wody nie starczało z własnej studni, wiadrami donosiliśmy od sąsiadów. Roboty było huk, często stawiało się po północy, przynosił nam 1500 l mleka dziennie”.

Aleksander Boratyn, już emeryt, na pół etatu zajmuje się jeszcze skupem jaj i skupem butelek. Urządza je w lokalu sklepu zbudowanego przez Spółdzielnię Spożywczą jeszcze przed wojną; dwa następne sklepy spółdzielcze powstały — wbrew zakazowi Niemców — w czasie okupacji. W teckach, w koszykach, siatkach przynosił jajka kilka starszych kobiet i mężczyzn, jakiś młodzieniec przyszedł z dwoma torbami butelek. We wsi są jeszcze dwa inne punkty skupu jaj, rocznie kupują ich około 40 ton. Krewnemu autorowi pracy odczytuje fragment traktujący o skupie jaj przed wojną: „Rozmiary produkcji i sprzedaży jaj są imponujące. Po przeliczeniu na kilogramy okazuje się, że wytworzono 38 995 kg, sprzedano zaś 34 921 kg (z czego miejscowa spółdzielnia nabyła 26,2 t za kwotę 29 390 zł według ksiąg). Do transportu tej ilości jaj z opakowaniem trzeba było 5 wagonów!”

„A wie pan, dlaczego sprzedawali tak dużo? — mówi kierownik punktu skupu — bo jajko kosztowało 5—6 groszy, a kilogram soli 35 groszy”. Przed wojną spożył jaj na jednego mieszkańca Husowa wynosiło rocznie 23 sztuki, masła — 5,58 kg. Według „Małego Rocznika GUS 1980”, w gospodarstwach domowych chłopskich spożył jaj na 1 osobę wynosił przeciętnie w kraju 263,7 szt., a masła — 6,6 kg.

Nie każdy wzrost spożycia jednakowo cieszy. Konsumpcja wyrobów spirytusowych (w przeliczeniu na 100-proc. alkohol) średnio w kraju wzrosła według tegoż Rocznika z 2,4 l w 1960 r. do 5,6 l w 1978 r. Jak zaś podaje „Mały Rocznik Statystyczny 1938”, spożycie alkoholu na jednego mieszkańca w województwach południowych spadło z 1,1 l w 1929 r. do 0,6 l w 1937r.

Prof. Styś tak pisał o wydatkach na alkohol w Husowie przed wojną:

„Dawne pijaństwo znikło niemal do szczętu. Można by wprawdzie znaleźć wśród starszych gospodarzy namiętnych alkoholików, ale są oni bardzo nieliczni, a brak środków na wódkę nie pozwala im z reguły na rozpijanie się, tym bardziej, że opinia publiczna wsi jest w obecnych czasach dla pijaków bardzo surowa”.

Dworek w gruzach

Nowe powstaje na gruzach starej obyczajowości, niestety, a nawet gruzach dosłownie. Kierownika Zakładu Usług Mechanizacyjnych SKR, Władysława Kleczka odwiedza w jego mieszkaniu — zabytkowym dworku Oborskich. Walący się ganek podtrzymują dwa cienkie słupki drewniane. Ściana szczytowa nie zamieszkałego skrzydła, z częścią dachu, wpadła którejś nocy do środka budynku. Nad częścią zajmowaną przez kierownika spływają na razie tylko dachówki, grzyb żre mury od dołu. Żona kierownika pracuje w Łańcut, starając się tam o mieszkanie.

Za zaniedbanym, zarosniętym parkiem zabudowania zespołowego gospodarstwa rolnego. Porządnie, schludnie. W dużej nowoczesnej buklarni 200 dobrze odpasionych zwierząt. Ferma jest samowystarczalna, jeśli chodzi o pasze, mogły nawet odstąpić innej 120 t kiszonki.

Od kierownika Kleczka dowiadujemy się, że zakład ma 3 mln zł wartości przerobu i wykazał się w ubiegłym roku 1820 godzinami efektywnej pracy średnio na 1 ciągnik, zajmując 1 miejsce w SKR. Pytam o jego kontakty z zarządem Kółka Rolniczego, które ma tu chlubne tradycje. Powstało w 1910 r., zajmowało się sprowadzaniem nawozów, nasion, miało kilka wspólnych maszyn wypożyczanych członkom, prowadziło szkolenia fachowe. Swego czasu bujała działalność samorządowa tej organizacji chłopskiej jakby przywodził. Kierownik wie, że wybory w Kółku odbyły się na przełomie marca i kwietnia, ale kto wszedł do zarządu, tego on nie wie. Zarząd się nie ukonstytuował zresztą, bo nie było wymaganej frekwencji, „trudno dziś ściągnąć ludzi na zebranie Kółka rolniczego”.

Potem mam jeszcze okazję porozmawiać z jednym z najlepszych traktorzystów Kółka — Bolesławem Styśiem. Pracuje od 1968 roku, zarabia 17 zł/godz. plus 20 proc. premii i 10 proc. za wysługę lat. Oprowdza mnie po bazie. Sporo sprzętu — kilka opryskiwaczy, kosiarka rotacyjna, sadiarka do ziemniaków, roztrzaskacz do obornika, kopaczki, glebogryzarki, kilka rodzajów siewników do nawozów, wiele przyczep. Coraz więcej rolników zawiera z Kółkiem, czyli z ZUM, umowy na świadczenie kompleksu usług — od wiosny do jesieni.

★

Monografia Husowa, napisana przed wojną, wydana została w 1947 r. we Wrocławiu. Autor dołączył do niej jeden rozdział omawiający losy tej wsi w czasie okupacji i w pierwszych dwóch latach po wyzwoleniu. Ten rozdział i całą książkę kończy zdanie, które brzmi dziś wyjątkowo aktualnie:

„Jeśli po okrutnej wojnie długotrwały pokój będzie naszym udziałem, wieś polska szybciej niż w przeszłości kroczyć będzie naprzód, zmniejszając coraz bardziej dystans dzielący ją od społeczeństwa wiejskich producentów w świecie krajów”.

Wincenty Styś: „Drogi postępu gospodarstwa wsi — studium szczegółowe na przykładzie zbiorowości próbnej wsi Husowa”. Wrocław 1947. Nakładem Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego.

listy

Gdy pielęgniarka zastępuje salową

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł Stefana Ancerewicza pt. „Kiedy lekarz zna pacjentów” („ZG.” nr 25), wnikliwie przedstawiający blaski i cienie polskiej służby zdrowia. Ubezpieczenie wsi, przecież konieczne, zwiększyło obowiązki pracowników resortu zdrowia w sytuacji, kiedy dotkliwie odczuwa się niedobór łóżek szpitalnych, miejsc w domach opieki społecznej i kiedy sprawnemu funkcjonowaniu szpitali zagraża pogłębiający się z roku na rok brak salowych.

Salowa jest również potrzebna w szpitalu jak pielęgniarka czy lekarz. Sprzątanie, pomoc w rozdziale posiłków i karmieniu ciężkich chorych to tylko część obowiązków w większości niemiełych już kobiet. Niedobór salowych zwiększa obowiązki pielęgniarek, co z kolei grozi spadkiem liczby kandydatek do szkół pielęgniarskich i w konsekwencji dalszym pogorszeniem się bytowania ludzi chorych w szpitalach.

Według informacji z nr. 12 „Życia Gospodarczego”, średnia płaca miesięczna pracowników ochrony zdrowia i opieki społecznej wynosiła w 1979 r. 4194 złote, to jest poniżej przeciętnej wielu innych branż zawodowych. Praca pielęgniarki i salowej — to praca niewątpliwie ciężka, zmiana, gdzie w znacznym stopniu większym niż w innych zawodach w społeczeństwie wykonywać się cechami charakterystycznymi tzw. „dobrego człowieka”. W obecnej złożonej sytuacji gospodarczej trudno postuluować podwyżkę płac w służbie zdrowia — i tego nie robię. Sądę jednak, że można by wydatnie poprawić położenie wielu pielęgniarek i salowych przez zwiększenie dla nich przydziałów mieszkań, skierowań na wczasy pracownicze i kolonie dla dzieci, słowem — przez zwiększenie świadczeń z zakładowych funduszy socjalnych dla tej grupy ludzi.

Niewątpliwie potrzeba nam wielu nowych szpitali i domów opieki społecznej, ale przecież nie mury szpitalne, ani sale z łóżkami chorych, lecz pracujący w nich lekarze, pielęgniarki, salowe, w ogóle wszyscy pracownicy szpitalni w rozstrzygającym stopniu decydujący o poziomie naszego lecznictwa szpitalnego.

O ile w innych branżach do spraw kadrowych i uzyskania pełnego zatrudnienia przywiązuję się wielką wagę i podejmuję odpowiednie działania, o tyle w służbie zdrowia można odnieść wrażenie, że liczy się na jakąś samodzielną poprawę sytuacji. Służba zdrowia powinna prowadzić znacznie aktywniejszą niż dotychczas politykę kadrową, zwłaszcza wobec średniego i niższego personelu. Powinna częściej wychodzić poza ustalone szablony działania i zwykle rutyniarstwo. Dla dobra pacjentów, jak i swoich własnych zespołów pracowniczych. To ogromne marnotrawstwo kwalifikacji, kiedy pielęgniarka musi zastąpić salową, zaś lekarz — pielęgniarkę, a tak nierzadko u nas bywa.

LUCJAN POWAJBO
Warszawa

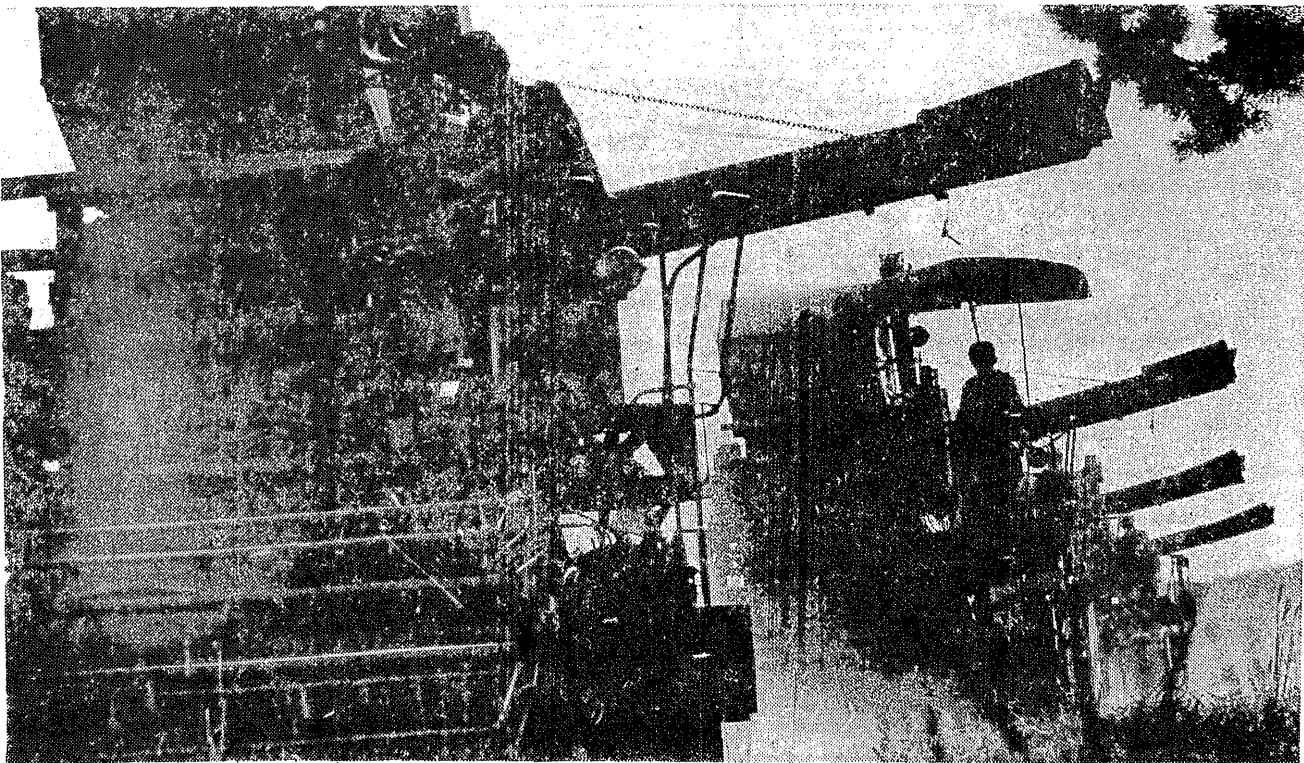
Jeszcze o inżynierach

Zamieszczone w numerze 24/1980 dwie publikacje Waldemara Budzily i Krzysztofa Kraussa z cyklu „Technika a efektywność” rzeczywiste, jak to sugerują Autorzy, zachęcają do dalszej wymiany poglądów.

Bazę i instrumenty produkcji mamy już nowoczesne. Dokładamy starania, aby się równać w tym zakresie z rozwiniętymi krajami przemysłowymi. Wielkim głosem jednak wołamy do naszej kadry technicznej, aby w te nowoczesne maszyny i urządzenia tchnęła ducha i dawała im więcej życia. Dlatego też należałoby zacząć porządkować ten znaczny dział naszej gospodarki od podstaw, a więc pod kątem efektywności wykształcenia. Ludzi bowiem wykształconych mamy statystycznie wystarczająco. Przy wielkich nakładach i wysiłku całego społeczeństwa kształcimy ich nadal.

Roczne wydatki bieżące na szkolnictwo zawodowe wynoszą ponad 15 miliardów złotych, a na szkolnictwo wyższe ponad 20 miliardów złotych. Czy nie należałoby w tej sytuacji zastanowić się rzeczywście nad zwiększeniem jakości zarówno kadry nauczającej, jak i położenia nacisku na efektywność kształcenia? Słusznie podkreśla Waldemar Budzilo, że „w latach powojennych w szkolnictwie technicznym działała znaczna liczba doświadczonych inżynierów, którzy pracę w uczelni łączyli z pracą zawodową w zakładach przemysłowych; kolejne jednak ustawy oraz praktyka doprowadziły do ukształtowania się typu kariery pracownika naukowego, który przechodzi poszczególne szczeble stanowisk uczelnianych nie wychylając się poza własną uczelnię...”

DOKONCZENIE NA STR. 4



„Przed wojną w całej wsi było tylko 280 plugów...”

Fot. A. JALOSINSKI

Mamy znakomitych technologów, konstruktorów, architektów, którzy powinni swoje praktyczne doświadczenie przekazywać młodzieży. Co stoi na przeszkodzie, by to robili?

Odpowiedź jest jednoznaczna: system kariery naukowej i pozamysłowe etaty. Doprowadziłyśmy również do tego, że uczelnie techniczne nastawione są na kształcenie przeciętnych studentów. Dopiero tu i ówdzie zaczyna się obecnie myśleć o tworzeniu warunków studiowania i praktycznej nauki zawodu dla uzdolnionej młodzieży.

Krzysztof Krauss natomiast uznaje przytoczoną w swoim artykule opinię Piotra Płoszajskiego o dyscyplinach nauk o organizacji i zarządzaniu za krańcową — studenci i praktycy jednak podziwiają ją całkowicie, szczególnie gdy chodzi o „napuszony styl i niefrasobliwość w posługiwaniu się terminologią, żmudne roztrząsanie pseudoproblemów z równoczesnym przemierzaniem kwestii zbyt trudnych...”. Opierając się na swoim doświadczeniu i praktyce zawodowej myśle, że wystarczy dokładniej i z uzasadnieniem nauczyć studentów programu sprawozdawczości GUS, a będą mogli efektywnie wykorzystywać nabytą wiedzę specjalistyczną i kierunkową w gospodarowaniu w swoim przedsiębiorstwie.

Tymczasem dostarczanie danych do tej sprawozdawczości jest — nie chcąc użyć zbyt mocnego słowa — beznadziejnie lub lekkośmieszne, a w każdym razie bez zadowalniających sobie sprawy z powiązań efektywności działania najmniejszej komórki w przedsiębiorstwie z przedsiębiorstwem, ze zjednoczeniem, branżą i w końcu z rzeczywistym bilansem całej gospodarki. Sprawozdawczość GUS nierzadko podpisuje się z „niewidzącymi oczami”.

DOBIEŚŁAW DRAPELA
Kolobrzeg

Są wyjątki

W związku z listem Czytelnika w sprawie warunków odwiedzania przez rodzinę pracowników zatrudnionych w NRD, zamieszczonym w „Życiu Gospodarczym” z dn. 22.VI.br., Ministerstwo Finansów uprzejmie informuje, że zostało to szczegółowo wyjaśnione w komunikacie PAP z 3.VI.br., zamieszczonym w prasie codziennej zarówno centralnej, jak i terenowej.

Niemniej jednak Ministerstwo Finansów wyjaśnia, że jeżeli członek rodziny pragnie odwiedzić zatrudnionego w NRD obywatela polskiego bez konieczności zakupywania po 25 marek NRD na każdy dzień zamierzonego pobytu w tym kraju, powinien na granicy przedstawić odpowiednio zaświadczenie polskiego zakładu pracy, który danego pracownika delegował do pracy w NRD, a jeżeli obywatel polski jest zatrudniony w zakładzie pracy NRD — zaświadczenie wojewódzkiego wydziału zatrudnienia i spraw socjalnych, który danego pracownika skierował do pracy w NRD.

J. WACOWSKI
naczelnik wydziału
Departament Zagraniczny
Ministerstwa Finansów

RED: Można tylko wyrazić ubolewanie, że nie zostało to wyjaśnienie wraz z wprowadzeniem nowych zasad zakupu marek dla udających się do NRD, tj. 2 czerwca, lecz dopiero po miesiącu, a do tego czasu, na przykład, w NBP informowano (vide list Czytelnika), iż „żadnych wyjątków nie ma”. Zaoszczędziłyby się pewnej grupie ludzi irytacji, a innym niepotrzebne pisanie.

Prosimy o konkrety

Bardzo mnie cieszy zmniejszenie funduszy na reklamę, bo bardzo mnie ona nieraz denerwuje (czy „mniej” będzie „lepiej” to inna sprawa). Na przykład: Centralny Związek Spółdzielczości Pracy dawał swego czasu do prasy barwne ogłoszenia na pół strony, których treścią było zaproszenie po „modną konfekcję” do „sklepów CZSP na terenie całego kraju”. Nie dalej jak w lipcowym numerze „Magazynu Rodzinnego” widzę znów całą kolorową okładkę poświęconą zareklamowaniu „zestawu do pielęgnacji włosów, typ SRN-15, producent „Polam-Ware”, który „ułatwia, umila, upiększa” (co ułatwia, a co umila pozostawiamy wyobraźni Czytelników), natomiast zupełnie nie wiadomo ile kosztuje. A jest to dla ewentualnego nabywcy informacja jakby nie było dość istotna. Podobnie nie wiadomo z tego inseratu, czy nieodłączną częścią zestawu jest widoczna na zdjęciu suszarka, czy też można wszystkie te „pielegnacyjne przysławki” kupić oddzielnie i połączyć z suszarką innego rodzaju.

W ogłoszenie wkomponowano znane skądinąd hasło: „Polam...iwszyko jasne”. Dla mnie taki sposób reklamowania towaru jest raczej — mętny.

ANTONINA M.
Warszawa

W Łęcznej, przyszłej stolicy Lubelskiego Zagłębia Węglowego, odbyła się pierwsza konferencja prasowa poświęcona sprawom budowy kopalni i eksploatacji węgla z tego rejonu kraju. Na to pierwsze oficjalne spotkanie z dziennikarzami w ŁZW przyleciał ze Śląska minister górnictwa Włodzimierz Lejczak. Zanim padły pytania, wiceminister Mieczysław Głanowski sprawujący pieczę z ramienia resortu nad lubelską inwestycją dokonał wprowadzenia do rozmowy. Informacje podane przez wiceministra Głanowskiego wymagają obszerniejszego omówienia już choćby z tego względu, że trzeba było ponad pięć lat (budowę kopalni pilotująco-wydobywczej w Bogdance rozpoczęto w styczniu 1975 roku), żeby doszło do oficjalnego spotkania dziennikarzy z menedżerami, którzy mają obracać dziesiątkami miliardów społecznych złotych.

„Węglej potrzeba nam coraz więcej, a na Śląsku robi się coraz ciśniej i dlatego — powiedział wiceminister Głanowski — zapadły decyzje najwyższych władz kraju, żeby budować od podstaw zagłębie węglowe w Lubelskiem”. Koncepcja przemysłowego zagospodarowania budowanej kopalni pilotująco-wydobywczej w Bogdance oparta została na systematycznie od lat prowadzonych badaniach geologicznych złóż oraz pracach studialno-badawczych. Pokłady węgla w południowo-wschodniej części Polski, nazywanej przez geologów lubelskim basenem karbońskim, znajdują się na obszarze około 14 000 km² i sięgają ponoć aż pod Warszawę. Lubelskie Zagłębie Węglowe, gdzie złoża są najlepiej zbadane, to obszar o powierzchni około 800 km², ciągnący się od okolic Radzyna Podlaskiego na północnym zachodzie, po okolice Hrubieszowa na południowym wschodzie. Zasoby węgla kamiennego na tym obszarze, zalegające do głębokości 1500 m, oszacowano na 74 mld ton. Z tego to obszaru wydzielona została „działka” o powierzchni 1000 km² (gdzie skoncentrowane zostały wiercenia badawcze), którą z kolei podzielono na 3 rejonów węglowe:

— Północny o powierzchni 450 km kw. i zasobach bilansowych około 3,4 mld ton;

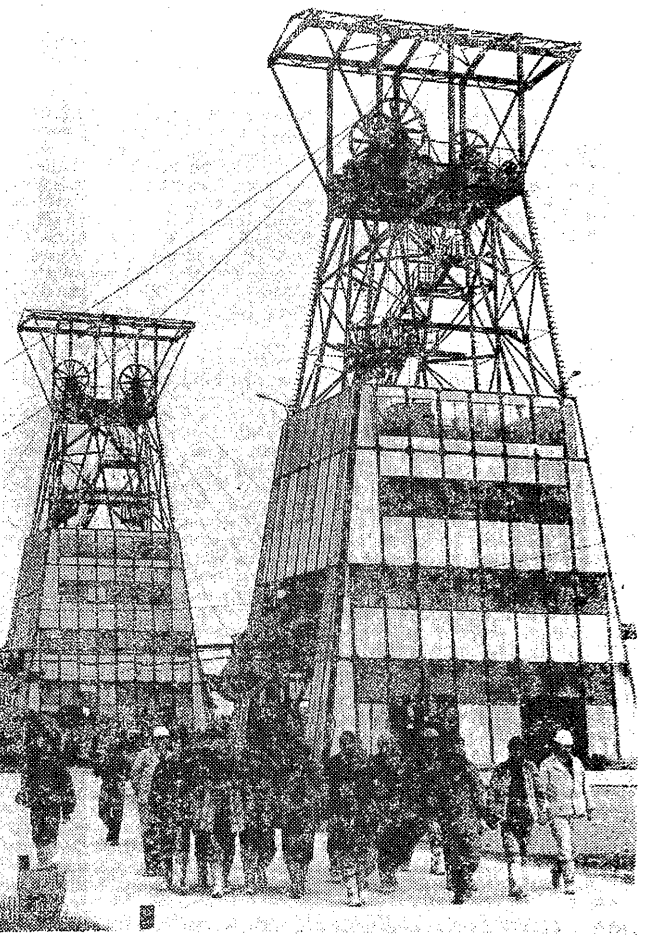
— Centralny o powierzchni 240 km kw. i zasobach bilansowych około 2,6 mld ton;

— Południowy o powierzchni 310 km kw. i zasobach bilansowych około 2,8 mld ton.

To co zbudowano już za 7,5 mld złotych w Bogdance i Stefanowie powstało w Centralnym Rejonie Węglowym, najlepiej rozpoznany pod względem geologicznym, który ma być w pierwszej kolejności górnictwo zagospodarowany.

Z gospodarczego punktu widzenia w lubelskim karbonie ważna jest warstwa tak zwanego westfalu, nazywana także warstwą lubelską. Ma ona miąższość 300 do 400 metrów. W tej właśnie warstwie zlokalizowane zostały w Centralnym Rejonie Węglowym 23 bilansowe pokłady węgla kamiennego o grubości od 0,93—1,95 metra. Dwaścieście z 23 pokładów nadaje się do eksploatacji. Aby dobrać się do tego węgla, trzeba pokonać przede wszystkim wodę pomieszaną z piaskiem, która wlewa się do drążonego szybu. Jest jej akurat tyle, żeby po prostu „wymyć” stalowy

LUBELSKIE ZAGŁĘBIE WĘGLOWE



Chcieliśmy zbudować pierwszą kopalnię w rekordowym czasie

Fot. CAF

kołnierza na złączach rur, w których puściła podkładka.

W nakładzie i karbonie centralnego rejonu są trzy kompleksy wodno-nośne: pierwszy, na głębokości poniżej 100 m, uniemożliwia prowadzenie robót górniczych bez mrożenia górotworu; drugi między 500 a 700 metrem, odznacza się właśnie tym, że wody niosą piasek, czyli jest to tak zwana kurzawka; trzeci kompleks wodny występuje poniżej 700 metrów i nie stanowi większego zagrożenia dla robót eksploatacyjnych.

Metanu do głębokości 900 metrów nie stwierdzono — w ilościach, które mogłyby stanowić większy problem techniczny. Niska sprężystość i niska

wytrzymałość skał pozwalają wnioskować, że górotwór nie będzie łapający. Wyniki badań węgla w pokładach odsłoniętych podczas glebienia szybów wskazują na stosunkowo dużą skłonność do samozapalenia. Węgiel ma wartość opałową od 4600 do 6400 Kcal/kg, średnio 1,2 proc. zanieczyszczenia i 34 proc. zawartości części lotnych. Jeśli przemysłowe wydobycie potwierdzi te dane, ŁZW dostarczać będzie bardzo dobrego węgla energetycznego.

Uchwala rządowa mówi, że od 1995 roku wydobycie tego węgla w Centralnym Rejonie Węglowym wyniesie 24,6 mln ton. Z tą liczbą związana jest budowa kopalni, po-

łączeń kolejowych, ujęć wody, fabryki maszyn górniczych, linii energetycznych, magistrali ciepłowniczych, ponadto zespołów mieszkaniowych dla 180 tys. mieszkańców. Przewiduje się bowiem, że zbudowanie tego wszystkiego wymagać będzie zatrudnienia w przedsiębiorstwach, zakładach oraz instytucjach resortu górnictwa docelowo 43 tys. pracowników (w tym około 30 tys. pracowników kopalni), a dalsze 40 tys. pracowników ma znaleźć zatrudnienie w budownictwie, transporcie, administracji, usługach itd.

Jest to jednakże w miarę odległa przyszłość. Do końca tego roku, co już jest sprawą namacalną, mają być zrealizowane następujące obiekty i roboty: około 800 metrów chodników, wykorzystując zgłębnione już trzy szyby, oraz mrożenie kolejnego szybu, który osiągnął już głębokość blisko 600 m. Jeśli chodzi o roboty powierzchniowe, to zakończona ma być budowa obiektów przemysłowych i socjalnych w centrum rejonu wydobywania z realizacją pierwszego etapu zakładu przerobczego i oddaniem do użytku dla potrzeb górnictwa linii kolejowej ze stacji PKP Jaszców. Do tego wybudowanych ma być 1000 mieszkań funkcyjnych, 280 spółdzielczych, 17 domków jednorodzinnych, 2 hotele robotnicze po 680 miejsc każdy, stołówka górnicza wydająca 1400 posiłków dziennie oraz internat dla Zasadniczej Szkoły Górniczej w Piaskach. Pierwszy węgiel z kopalni pilotująco-wydobywczej ma wyjechać na powierzchnię w połowie 1981 roku. Górniczy liczą bowiem termin uruchomienia kopalni od momentu wydobycia pierwszego węgla ze ślany. Przy okazji bowiem drążenia szybu i poziomych wyrobisk, jeszcze w końcu tego roku kopalnia pilotująco-wydobywcza w Bogdance powinna dostarczać 500-600 ton węgla dziennie. „Dla okolicznych GS — zażartował ktoś — starczy”.

Projekt planu inwestycyjnego na lata 1981—1985 przewiduje „przeobrażenie” około 35 mld zł, z tego dwie trzecie w robotach budowlano-montażowych. Z liczb tych wynika, że w stosunku do rozmachu robót w okresie 1976—1980 ma to być skok ogromny, w związku z czym przedstawiciele resortu górnictwa niepokoją się, czy inne, współpracujące przy budowie zagłębia resorty, ten dynamizm inwestycyjny wytrzymają. Chodzi przede wszystkim o resorty budownictwa i komunikacji. W pięciolecie, w które wkracamy, kopalnia pilotująco-wydobywcza ma osiągnąć docelową zdolność produkcyjną, to znaczy 12 tys. ton węgla na dobę, kopalnia K-2 dać pierwszy węgiel oraz ma być zaawansowana mniej lub bardziej budowa dalszych trzech kopalni. Równoległa ma być wznoszona cała niezbędna infrastruktura.

Do wykonania tych robót resort górnictwa utworzył Kombinat Budownictwa Górniczego „Wschód”, który już w tej chwili liczy kilka tysięcy ludzi i ma dalej się rozwijać. Ale, jak się rzekło, mało to i resort górnictwa zwraca uwagę, że pilnie trzeba rozbudowywać istniejący potencjał wykonawczy, zwłaszcza resortów budownictwa i komunikacji — jeśli węgiel ma być w założonych terminach.

Po otrzymaniu tych szczegółowych informacji dopuszczani zostali do głosu dziennikarze, którzy mimo

wszystko mieli kilka pytań. Na pytanie, czy złoża zostały właściwie rozznane, minister Lejczak wyjaśnił, że przy pomocy wiercenń pionowych nie można w stu procentach określić zasobności, jakości i zalegania złóż. To, co trzeba było zrobić, zostało zrobione przez geologów, a dopiero po rozpoczęciu eksploatacji z wyrobisk i chodników będzie można przekonać się, w jakim stopniu przewidywania pokrywają się z rzeczywistością. Na razie, stwierdził minister, założenia co do jakości węgla i miąższości pokładów sprawdzają się. Trudniejsze niż można się było spodziewać są warunki drążenia szybów, zwłaszcza pierwszego, ale ciągle jeszcze tempo budowy kopalni pilotująco-wydobywczej odpowiada normom, a nawet je przewyższa. I na Śląsku, gdzie istnieje pełne niemal rozróżnienie charakteru nadkładu i złóż buduje się kopalnie 10 lat. W ŁZW, jak dobrze pójdzie, pierwsza kopalnia znacznie dostarczać węgla po 6 latach budowy. „To prawda — przyznał minister — że chcieliśmy zbudować pierwszą kopalnię w rekordowym czasie. Niestety, trudności okazały się większe od ambicji. Nie są to jednak przeszkody wyjątkowe, nie znane w górniczej robocie i poradzimy sobie z nimi. Opinia publiczna w kraju — kontynuował minister — jest pod wrażeniem informacji, że drążone szyby ciągle zalewa woda. Woda jest problemem, zwłaszcza jeśli trzeba ją podnosić z głębokości poniżej 700 metrów (pompy zainstalowane w drążonym szybie mogą podnosić wodę do 120 m, następnie trzeba wlewać ją do zbiornika i stąd dalej podnosić — przyp. j.d.), ale w funkcjonującej kopalni, gdzie pracują stacyjne pompy, kilka m sześć wody nie stanowi żadnego zagrożenia. Mamy czynne kopalnie, gdzie wypływ wody sięga 20 m sześć na minutę”. Po tym wyjaśnieniu można wyrazić tylko zdziwienie, dlaczego na tyle skąpo informowało się dotychczas o naturze trudności w drążeniu szybów w ŁZW, że górę wzięło w opinii publicznej przekonanie, że coś jest z tą inwestycją nie tak.

Rozwój rolnictwa spełniać ma równorzędną z górnictwem funkcję w rozwoju tego regionu kraju, niemniej niepokój wzbudził fakt, czy technologia wydobywania węgla „na zawal” nie stoi w niejkiej sprzeczności z tym założeniem. System na podażkę, wyjaśniono, stosowany jest tylko w tym wypadku, gdy węgiel wydobywa się pod miastami. Jest to zło konieczne, bo opóźnia się wydobycie i podraża koszty. Przy głębokości kopalni 1000 metrów zwałenie wyeksploatowanych wyrobisk wpłynie będzie tylko w niewielkim stopniu na obniżenie się terenu. Uzasadnione są natomiast obawy o obniżenie się poziomu wód i w ogóle zmianę stosunków wodnych. Ale od tego górnictwo ma odpowiednio służyć i od tego są doświadczenia melioracji, żeby szkodom tym zapobiegać.

J.D.

OSADNICY

DOKONCZENIE ZE STR. 1

Ale nie dali się. Żurawskiego znowu zabrali na komendę, bo ktoś doniósł, że obcego radia słucha. — Pytali mnie i pytali, choć ja wtedy żadnego radia nie miałem.

POTEM po roku 1956, gospodarzyć było już lepiej, ale prawdziwymi producentami rolnymi stali się wszyscy w ostatnich dziesięciu latach. Sołtys Kłos przedstawił też zmianę bardzo obrazowo: Kiedyś też zabudowania, które należały do spółdzielni, mieliśmy my, we dwóch z kolegą i jeszcze miejsca było dość. A potem tylko ja sam tam swój dobytek trzymałem, a to i ciasno było.

Kiedy więc w końcu 1977 r. zakładali spółdzielnię, to sołtys miał już dwa ciągniki, 30 świń i 11 sztuk bydła. Haloń trzymał na raz aż 60 sztuk trzody. I inni nie byli gorsi, o czym świadcza dziś trzymane w domowych archiwach dyplomy w solidnych czerwonych okładkach. A to za godzinę, to za uprawy, inne za wyniki gospodarowania w ogóle, jeszcze inne za społeczną działalność. Bo znowu, tak jak już po wojnie, stali się aktywni. Wszyscy należą do ZSL. Haloń był prezesem koła, wszyscy są w ZBoWiD, a Kłos od dwudziestu prawie lat jest sołtysiem. Przed czterema laty także wszyscy jako jeden mąż pojechali do Zielonej Góry odebrać po Krzyżu Kawalerskim.

Ogólnie biorąc, zgadzają się więc, że teraz swoją pozycję zawdzięczają głównie pracy, bo o tym, że są osadnikami wojskowymi, mało już kto pamięta. I niektórzy mają o to sporo żalu. Ze na Dzień Wojska czy inne święta nikt ich nie zaprasza, że, na przykład, mogliby dostać mundur, żeby na Pierwszego Maja mogli w nich paradować. — Bo własne były kiedyś jedynym ubraniem, do roboty i od święta, tak się i podarły — mówią. W ogóle więc chcą, żeby pa-

miętano, że nie wzięli się tu z powietrza. W Urzędzie Gminy mówią, że ich żal wcale nie jest osobnośniony. Sporo już lat temu, jeszcze za powiatów, robili taką akcję i docierali do wszystkich bojowników. Już wtedy wielu było zapomnianych i dlatego obrażonych. — Jak wy przez tyle lat mną się nie interesowali, to i teraz gadać nie ma o czym — mówili szorstko na powitanie powiatowej delegacji.

W ostatnich latach wszyscy więc wprowadzili do domów nowe meble, centralne ogrzewanie i wodę, i byliby dalej pracowali na swoim, ale w okolicy straszliwie rozplenili się dziki. Tylko dojrzało zboże, czy kartofle ledwie się puściły, tylko skosił trawę, a już rano na polu pobożewisko było takie, że jakby chłop chciał zrobić szkód i zjeżdżał uprawy traktorem, to tak by nie zniszczył. W dzień więc pracowali, a w nocy pilnowali pół. Chodzili z dzwonkami, palili ogień, strzelali z karabinu. Długo tak dzień i noc na nogach człowiek nie wytrzyma, tym bardziej że dziki i tak szkodzą, a bywało, że jak nabknęli się na łochę z małymi, to pogoniła tak, że na wojnie człowiek mniej się bał.

Pisali więc petycje do władz, mówili o tym na zebraniach, obiecywano im, że z dzikami zrobi się porządek, ale nie robiono nic. — To są dewizy — mówili im leśnicy o dzikach, bo tu są tereny łowieckie dla bogatych. Z leśnikami wyłkocali się o odszkodowania, ale wreszcie mieli dość, zapytali naczelnika, co robić, a ten doradził im, żeby założyli spółdzielnię.

Sołtys Kłos powiedział, że na swoim i owszem, miał lepszy dochód, ale teraz też zarobi w spółdzielni z siedem tysięcy, a nie narobił się tak i czasu ma więcej.

Poza tym nie było na własnym perspektyw, to znaczy następów.

Dzieci poszły do miast i dziś po podwórkach biegają tylko wnuki. Dzieciom się na ogół w mieście powiodło. Dwójka sołtysa skończyła studia, a na przykład, najstarszy Żurawski, choć liczy sobie dopiero 32 lata, ma już nie tylko piątą samochód, ale i dom w Żarach na wykończeniu. — Jest kierownicą w budownictwie — powiada małka — a teraz do milicji idzie. Już go chcą wziąć, ale póki dom niegotowy, wołaby w budownictwie jeszcze, bo to zawsze łatwiej chałupę wykończyć. Jemu powiodło się więc nad wyraz.

Żurawski starał się o rentę wyższą, ale lekarze kręcili głowami: — Nie leczysz się pan i w szpitalu nie był. — A kiedy ja się miałem leczyć, skoro musiał w gospodarstwie pracować? — zżyma się na lekarzy. Chodź dużo nie może, bo odczuwa nogi, w które był ranny, a i komora serca ma powiększoną. Z sercem kłopoty ma też Lach, na dodatek ma chore ośkrzela. — Nawet omdlałem zimną nie mogę pić — żartuje. Renty z Krzyżem ma razem 1750 zł, a w urzędzie mu kiedyś powiedzieli, że gdyby gospodarstwo zdał trzy miesiące później, to objęłaby go inna ustawa i miałby sporo więcej. Teraz przyjdzie mu nieco poczekać zanim sprawy te się uregulują. Haloń znowu miał niedawno ciężką operację aż w Warszawie. Jakiegoś guza mu w boku znaleźli. Wszyscy trzej za radą lekarzy rzucili palenie i dobrze, bo jak niektórzy we wsi mówią, gdyby pan Bóg stworzył człowieka do palenia, to dałby mu też komin na głowę. Z byłych kościuszkowców pali już więc tylko Kłos, ale i on narzeka na reumatyzm i korzonki. Gdy mowa o chorobach, naczelnik gminy Mieczysław Dembiński, też człowiek wojenny i też tu prawie od początku, ma z wyzwą westchnąć: — Wojenka, wojenka, coż się ty... Naczelnik ma chore nogi, tyle że z kolei jego najlepiej jak chodzi i chodziłby też w

swoim gabinecie, ale wtedy interesantom byłoby głupio, więc on także musi siedzieć.

P RZESADĄ byłoby twierdzić, że jak się ludzie wzbogacili, to znaczy, że od razu wszystko w Łazowie zmieniło się na lepsze. — Jakos teraz już oni tak się razem nie trzymają — powiada Żurawski, mając na myśli byłych kościuszkowców, co kiedyś jeden bez drugiego nie zjadł. — Trochę może przez żonę — dodaje. Sołtys Kłos mówi jednak, że to dlatego, że każdy ma dziś swoje dzieci, nowych swatów i na przykład święta już z nimi spędza. Ale wszyscy rozumieją, że teraz ludzie w ogóle jakby odsunęli się od siebie, każdy chce żyć sobie. Prezes spółdzielni, Władysław Gołębiowicz (przyszli do II Armii), mówi, że to trochę przez mechanizację. — Kiedyś w pojedynkę człowiek nie omdlał, wszyscy musieli sobie pomagać.

Młodzi w Łazowie mówią, że teraz nie ma tu nic do roboty, przez co rozumieją, że kiedyś był tu klub rolników, który parę lat pod rząd zajmował pierwsze miejsce w województwie. W klubie ludzie się spotykali, pogadali, wypili kawę, razem obejrzeli telewizję, czasem potańczyli. Ale ostatnio jakby nauczyli się pić kawę w domu, pokupowali sobie telewizory i jest jakoś inaczej.

— Może teraz, kiedy jedni są w spółdzielni, inni listonosze przynoszą, ludzie znowu się do siebie zbliżą? — zastanawiają się w Łazowie. Bo więcej czasu wolnego to też problem. — Gdyby ja konia teraz sprzedał, to bym chyba zwiariował — powiada Lach. I choć dziadek ma już niewielką, to konia dalej trzyma.

W związku z tym, że czasu więcej, mają osadnicy parę życzeń. Chcieliby więc, żeby na jakieś wieczórki ich zabierano. — Tylko raz my byli, w Gdańsku, jakieś 15 lat temu. Co więcej? No więc powtarzają że chcieliby pod Lenino oraz, żeby pamiętać o nich jako o żołnierzach, tym bardziej że za hodowlę już ich nikt nie będzie chwalił.

SLAWOMIR LIPINSKI

MAJĄTEK TRWAŁY WARSZAWY

TEMATEM zorganizowanej w zeszłym br. konferencji Oddziału Warszawskiego PTE i Urzędu m. st. Warszawy były problemy gospodarowania składnikami komunalnego majątku trwałego stolicy. W licznych i obszernych referatach oraz w wypowiedziach w dyskusji, w tym w referacie wprowadzającym do dyskusji wygłoszonym przez prof. Adama Ginsberta-Geberta, pokazano szereg zjawisk negatywnych w gospodarowaniu tym majątkiem. Należało do nich przede wszystkim brak właściwej gospodarki remontowej. Zgłoszono szereg wniosków, m. in. dotyczących organizacji tej gospodarki. Obok oceny zasobów mieszkaniowych, referenci i dyskutanci zajęli się także zjawiskami trwałości Miejskiego Przedsiębiorstwa Wodoociągów i Kanalizacji oraz Stołecznej Przedsiębiorstwa Energetyki Cieplnej. Rozpatrzono również stan i gospodarowanie drogami i mostami, taborem i sprzętem Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania Miasta i Miejskich Zakładów Komunikacyjnych. Konferencja miała więc charakter kompleksowy. Aktywnie wystąpili w dyskusji przedstawiciele władz miasta, m. in. I zastępca prezydenta Stanisław Bielecki.

Zamykając obrady wiceprezes Oddziału Warszawskiego PTE, prof. Stanisław Rączkowski za cenny dorobek konferencji uznał szereg jej postulatów, m. in. in. ściślejszego powiązania gospodarki komunalnej z potrzebami terenowymi, lepszej wyceny majątku trwałego stolicy, wreszcie racjonalnego (z rachunkiem ekonomicznym) wykorzystania ograniczonych możliwości remontowych. Postanowiono na podstawie całości przegłoszanych materiałów i dyskusji opracować raport, który mógłby okazać się pomocny w praktycznym rozwiązywaniu omawianych problemów.

M.M.

W Słowniku Wyrazów Obcych pod hasłem „gracja” czytamy: „łac. gratia, wdzięk, powab... wytworność”. Czesław Kosik, naczelny dyrektor Zakładów Odzieżowych „Gracja”, wysłuchał w związku z tym wiele przysłów, częściej jednak przyjaznych niż złośliwych. Firma bowiem przez długie lata pracy wyrobiła sobie markę godną tej nazwy. A nie było to wcale proste...

Z potrzeby...

Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Gracja” figurują w rejestrze przedsiębiorstw kluczowych od niespełna 4 lat. Rodowód firmy sięga jednak daleko wstecz, do 1950 roku, kiedy to powstało Lubelskie Przedsiębiorstwo Krawiecko-Kuśnierskie Przemysłu Terenowego. Trudno jest jednym zdaniem określić lokalizację zakładu. Dawniej powiedziano by: województwo lubelskie. Dziś, przy nowym podziale administracyjnym, byłoby to określenie nieprecyzyjne. Sama dyrekcja mieści się w Lublinie, zaś 19 podległych jej zakładów w dawnych miastach powiatowych, z których trzy zyskały rangę wojewódzkich. Każdy z zakładów ma własnych satelitów — w sumie daje to 40 odrębnych jednostek, zatrudniających łącznie 4 tys. pracowników, w tym około 200 chałupników i prawie tyleż uczniów.

Tak duże rozproszenie nie jest bynajmniej wynikiem bałaganu organizacyjnego czy nieporadności. Wręcz przeciwnie. Struktura przedsiębiorstwa została ściśle dostosowana do potrzeb regionu. Zakłady powstawały tam, gdzie były wolne moce produkcyjne, bez wielkich nakładów, lokując się w istniejących już obiektach. Głównym celem było stworzenie tanim kosztem jak największej miejsc pracy, aby zahamować stały odpływ ludności w wieki produkcyjnym (w 1950 r. wyemigrowało z tych terenów około 300 tys. osób, głównie na ziemię Zachodnią i Północną oraz na Śląsk i do woj. warszawskiego).

Przedsiębiorstwo przetrwało w nie zmienionej formie przez 30 lat. Wszelkie modernizacje, czy też niewielkie inwestycje wykonane zostały w tym okresie ze środków funduszy aktywizacji miast i miasteczek. Tą drogą zdołano zmniejszyć w ciągu ostatnich 11 lat 8 zakładów. W 6 wprowadzono pewne zmiany technologiczne, zakupując maszyny prasownicze i prasy do klejenia wartości 9 mln zł. Obecnie stan posiadania czyli majątek trwały stanowi wartość 130 mln zł, z czego 52 mln przypada na maszyny i urządzenia. Specyficzna struktura organizacyjna wykazuje pewne analogie do firm włoskich, które oparły się gigantomanii, rozwijając sieć małych zakładów skupionych pod jednym szyldem, wymaga jednak wypracowania odpowiedniego stylu pracy, a tym samym zarządzania.

Sfery działalności

Akcentuję sprawy zarządzania nie tylko ze względu na dużą rozpiętość terytorialną — 24 km kw., lecz również dlatego, że przedsiębiorstwo wykonuje bardzo różnorodną produkcję, zarówno na rynek, jak też i na eksport. Skupia 8 zakładów, szjących z ciężkich tkanin wełnianych, 4 zakłady skórzane i 7 futrzarskich, każdy zlokalizowany gdzie indziej. Jeżeli dodam, że, oprócz trzech, każdy z nich prowadzi działalność usługową, to powstaje już istny galimatias. Ale po kolei.

MARKA GODNA NAZWY

EWA ADAMKIEWICZ



„Gracja” — to główny dostawca futer na naszym rynku. Fot. T. MÜLLER

Zaden z zakładów nie mógłby istnieć samodzielnie. Są one bardzo ściśle ze sobą powiązane, głównie ze względu na specjalizację. Nie wszystkie wytwarzają produkty finalne, część szyje tylko niektóre elementy: jedni kołnierze, inni korpusy. Kolejny kooperant wszystko kompletuje, wysyłając gotowy wyrób. Rocznie produkuje się około 200 wzorów. Na rynek wewnętrzny wędrują futra, kurtki skórzane i futrzane, płaszcze damskie i męskie, do krajów socjalistycznych płaszcze damskie i męskie oraz marynarki. Zaś do II obszaru wysyła się około 30 proc. produkcji, głównie wyroby skórzane i futrzarskie. Odbiorcami jest 16 firm w RFN, Szwecji, Danii, Szwajcarii, USA i we Włoszech. Jednak eksport do krajów kapitalistycznych obejmuje głównie robociznę. Większą część stanowi bowiem produkcja z surowca powierzonego, gdyż tylko niektóre nasze skóry spełniają wymagania zachodnich kontrahentów. W tym roku eksport wyrobów z naszego surowca ma przynieść około 1 mln zł dew, a podejmując się próby zwiększenia go do 2 mln, głównie przez wzrost produkcji kurek z królików i z lisów. Łącznie w roku bieżącym „Gracja” ma wysłać około

100 tys. sztuk wyrobów do II obszaru i około 245 tys. do krajów socjalistycznych.

Trzeba zaznaczyć, że firma zdobyła już sobie pewną markę za granicą. Wartość eksportu wzrosła w ostatnim dziesięcioleciu z 42,9 mln zł (1970 r.) do 339,7 mln zł (1980 r.), a więc prawie ośmiokrotnie. Przy czym, do krajów kapitalistycznych w tym samym okresie — sześciokrotnie.

Osiągnięcie tego milowego postępu nie przychodziło przedsiębiorstwu łatwo. Weźmy, np., produkcję dla niemieckiej firmy Stadick. Realizują ją trzy zakłady: w Zamościu, Lubartowie i Puławach. Szyją według tego samego wzoru, z tego samego surowca, lecz pomimo, iż wzory opracowywane są w centralnej wrocławskiej w Lublinie, istniało duże niebezpieczeństwo, że będą się nieco od siebie różniły. Aby tego uniknąć — bo przecież produkcja powinna być identyczna — utworzono grupę 19 techników, kożuszników i kożuszników, których zadaniem jest sprawowanie pieczy nad jej jednolitością. Każdy z nich pracuje w jednym zakładzie, nadzorując produkcję i wyrażając poziom. Co pewien czas wymieniają się, w rezultacie obe-

muja zasięgiem całość produkcji. W ten sposób żaden z zakładów nie pozostaje w tyle. Sztab wysokiej klasy specjalistów stanowi swego rodzaju siłę motoryczną. Ponadto każdy z zakładów sżyje na konkretny rynek, współpracując od lat z kilkoma odbiorcami, może więc coraz lepiej przystosowywać się do ich wymagań.

Sprzedaż wyrobów ogółem wzrosła w ostatnim dziesięcioleciu prawie dziesięciokrotnie.

Własny model — zabroniony

Aby obraz działalności przedsiębiorstwa był pełny, muszę chwilę zatrzymać się na wspomnianych wyżej usługach. A zakres ich świadczenia jest wręcz zaskakujący. Bo uszyć można w „Gracji” wszystko, począwszy od kostiumu bikini, lekkiej konfekcji, a skończywszy na futrze, kożuchu, pufach, futrzakach, pokrowcach do samochodów, rekawiczkach, kapciach i czapkach. Jednym słowem, można tu „obstalować” wszystko, niemal jak u dawnego, solidnego rzemieślnika.

Dla przedsiębiorstwa działalność usługowa jest dużym obciążeniem, nie rezygnuje się z niej jedynie ze względu na duże zapotrzebowanie społeczne. Usługi są nierentowne, a mogłyby się to zmienić, gdyby nieco inaczej interpretowano u nas samą działalność usługową i gdyby część prac można było wykonywać metodą półprzemysłową. Skróciłoby to znacznie czas wykonania i pozwoliło pełniej wykorzystywać moce produkcyjne. Na zdrowy rozsądek, uszyte rekawiczki, czapki, czy też kapcie nie wymaga brania od każdego klienta indywidualnych wymiarów. „Gracja” próbowała więc wypracować własny model usług, został on jednak zakwestionowany przez organa kontrolujące. Obowiązujące u nas przepisy w tej kwestii są bardzo sztywne. Do rubryki „usługi” zalicza się tylko prace wykonywane na konkretne zamówienie, w żadnym wypadku telefoniczne. Inicjatywy „Gracji” spaliły tedy na panewce. Ale to zupełnie oddzielny problem, wymagający odrębnego omówienia, gdyż natykają się nań i inne przedsiębiorstwa.

Sama „Gracja” boryka się z wieloma innymi jeszcze trudnościami. Podstawową jest brak surowca. I to nie skór i futra, jak by mogło się wydawać, lecz tkanin wełnianych, z których głównie produkuje się do krajów socjalistycznych. Dużo kłopotów nastroją również dodatki, odpowiednie nici, które muszą mieć dużą wytrzymałość. Ze względu na trudności surowcowe wykorzystuje się tu wszelkie odpady — około 120 tys. ton rocznie; resztki futra, skór, tektury, materiałów. Większość futer szyje się tzw. metodą rozszywania czy też łączenia skóry i futra. Przy czym skóra w niektórych wyrobach jest niedostrzeżalną, służy tylko do otrzymywania określonych efektów estetycznych i do wykorzystania nawet najdrobniejszych skrawków futra.

Resztki, które nie mogą być już wykorzystane przy głównej produkcji, odbierają chałupnicy. Szyją z nich kaptcie, torby, portmonetki itp. drobiazgi. Odpady futrzarskie, skrawki niemalże centymetrowe, używane są do wypychania pułów. Wartość produkcji z odpadów sięga około 40 mln złotych rocznie.

Wisiało na włosku...

„Gracja” przeżyła w swej historii dwa dość ciężkie momenty, kiedy jej egzystencja wisiała niemal na włosku. Pierwszy związany był z przeprowadzonym pięć lat temu nowym podziałem administracyjnym, kiedy to 16 zakładów znalazło się w nowych granicach administracyjnych. Niewiele brakowało, a zabieg niektórych wojewodów, mających ambicje stworzenia na swoim terenie przynajmniej jednego dużego przedsiębiorstwa, doprowadziłoby do rozwiązania „Gracji”. Na szczęście, do tego nie doszło. Drugi krytyczny moment nastąpił w rok później, w chwili przechodzenia do przemysłu kluczowego. Istniała koncepcja prawie całkowitego rozbicia przedsiębiorstwa. Zakłady futrzarskie miały przejąć „skóra”, usługi — spółdzielczość, a konfekcję — Zjednoczenie Przemysłu Odzieżowego. Kierownictwo „Gracji” długo musiało przedstawiać nonsensowność takiego posunięcia, argumentować, że poszczególne zakłady mają sens istnienia tylko w obecnej strukturze. Podział wymagałby dodatkowych, dużych nakładów inwestycyjnych, a efekty byłyby i tak pod znakiem zapytania. Ucierpiałby na nim nie tylko eksport, lecz także usługi. Te bowiem są integralnie związane z poszczególnymi zakładami, co sprawia, że mogą być tak bogate. Pracuje w nich ta sama kadra, co w produkcji, nie mówiąc już o tym, że zlokalizowane są w tych samych budynkach, na parterze każdego z zakładów, czyli praktycznie rzecz biorąc, bez pozyskania nowych obiektów ich oddzielenie nie byłoby możliwe.

Nie wiadomo też, jak podział wpłynąłby na samą załogę. Większość pracowników legitymuje się długim stażem i nawet w koniecznych przypadkach ciężko rozstać im się z firmą. Muszą być chyba rzeczywście mocno zżyci, skoro mówią o sobie „gracjanie”. A przecież ich miejscami pracy są zupełnie odrębne zakłady, oddalone od siebie o 100—150 km; jedyną formą kontaktu załóg są wspólne wczasy, kursy dokształcające, czy sobotnio-niedzielny wypoczynek w ośrodku w Firleju.

Być może, integrującą rolę spełnia też duma z istniejącego przy przedsiębiorstwie Zespołu Folklorystycznego „Gracja”, który jest chyba ewenementem w naszym przemyśle lekkim. Działa już 15 lat, stanowiąc nieźłą reklamę dla firmy — gościł bowiem aż w 17 krajach. Jest również laureatem X Plokiego Festiwalu Folklorystycznego.

Obecne kierownictwo Zjednoczenia jest bardzo zadowolone, że nie przykrojono „Gracji” do schematów przemysłu kluczowego. Właśnie w tej swojej niewyspecjalizowanej „balaganiarzkiej” — według obowiązujących w wielkim przemyśle pojęć — formie jest ona bardzo pożyteczna. m. in. jako przetwórcza odpadów i resztek innych zakładów odzieżowych. Można to potraktować jako memento dla innych: pięć razy pomyśl, zanim coś zmienisz, zburzysz, zreorganizujesz...

zainteresowani odpowiadają

SMOCZKI BĘDĄ

W związku z opublikowanym w „Życiu Gospodarczym” z dnia 16 marca 1980 r. artykułem Andrzeja Nalecz-Jaweckiego pt. „Causus »gryzaczek«” w sprawie nie wykorzystanych zdolności produkcyjnych Spółdzielni Inwalidów „Saturn” w Warszawie oraz niewłaściwej dystrybucji smoczków dla niemowląt — na polecenie ministra handlu wewnętrznego i usług — Państwowa Inspekcja Handlowa w dniach 21—23 maja br. na terenie sześciu województw (białostockiego, krosieńskiego, legnickiego, leszczyńskiego, słupskiego i stołecznego warszawskiego) przeprowadziła kontrolę stanu zaopatrzenia w pięć rodzajów smoczków dla niemowląt. Kontrola — która objęła punkty sprzedaży detalicznej i magazyny pozasklepowe podległe „Społem” CZSS, CZSR, „Samopomoc Chłopska” i RSW „Prasa — Książka — Ruch” — w pełni potwierdziła słuszność problemów podnoszonych w artykule. Stwierdzono bowiem, że na 618 punktów sprzedaży detalicznej i 37 magazynów pozasklepowych brak było: gryzaczek po 12,5 zł — w 55,3 proc. punktów sprzedaży detalicznej (i w 49,5 proc. magazynów), „Ani” — w 52,4 proc. (29,7 proc.), „Saturna” — w 49,8 proc. (45,9 proc.), gryzaczek po 8,8 zł — w 30,4 proc. (10,8 proc.), „Ewy” — w 27,8 proc. (18,9 proc.).

Z dokonanych ustaleń wynika, że podstawową przyczyną ujawnionych braków smoczków w handlu detalicznym były m. in.: zupełny ich brak w zapasach niektórych magazynów pozasklepowych, nieskładanie zamówień na smoczki przez pracowników placówek detalicznych z powodu nieznanego rozmiaru i asortymentu oferty magazynowej, brak w ustalonych wykazach minimum asortymentowego pełnego zestawu smoczków, wydłużony okres realizacji zamówień z powodu trudności transportowych, mało skuteczny nadzór branżowych służb handlowych nad zaopatrzeniem sklepów.

Do przyczyn, które spowodowały całkowity brak zapasów określonych rodzajów smoczków w magazynach pozasklepowych należały m. in.: nieskładanie zamówień do Spółdzielni Inwalidów „Saturn” na dostawę smoczków w 1980 r. przez szereg jednostek handlowych objętych kontrolą, dokonywanie zakupu smoczków w ilościach zaniżonych w stosunku do występujących potrzeb, brak jednoznacznych postanowień co do obowiązku posiadania w sprzedaży w sieci podległej „Społem” CZSS smoczków na butelkę. Stwarza to dowolność w postępowaniu poszczególnych jednostek wojewódzkich. Ponadto na brak zapasów magazynowych miał również wpływ ograniczony popyt na smoczki „Saturn” ze względu na ich dostosowanie do określonego typu butelek, których brak w sprzedaży.

Wyniki kontroli zostały przekazane do zainteresowanych organizacji handlowych wraz z następującymi wnioskami:

— zweryfikowanie systemu analizy potrzeb rynku oraz zamówień na smoczki dla niemowląt, w celu niedopuszczenia w przyszłości do powstania braku zapasów tych artykułów w magazynach pozasklepowych oraz braku ciągłości sprzedaży w sklepach;

— uregulowanie przez „Społem” sprawy zapewnienia ciągłości zaopatrzenia podległej sieci w produkowany w dostatecznej ilości przez Spółdzielnię Inwalidów „Saturn” pełny asortyment smoczków dla niemowląt (zarówno na butelkę, jak i do zabawy — gryzaczki), jako artykułów pierwszej potrzeby;

— wzmoczenie nadzoru służb branżowych jednostek wojewódzkich nad zaopatrzeniem sieci detalicznej w smoczki dla niemowląt w pełnym asortymencie;

— wyciągnięcie stosownych wniosków służbowych wobec pracowników winnych powstania wymienionych nieprawidłowości.

Przekazując te wyjaśnienia, pragnę jednocześnie serdecznie podziękować za zainteresowanie się na łamach „Życia Gospodarczego” problemem zaopatrzenia rynku w smoczki dla niemowląt, jak też zapewnić, że zaopatrzenie placówek w te wyroby będzie nadal w centrum uwagi Państwowej Inspekcji Handlowej w toku prowadzonych kontroli.

mgr PIOTR OSTASZEWSKI
główny inspektor PIH

aktualności

PRODUKCJA SPRZEDANA

Produkcja sprzedana w przemyśle uspołecznionym w czerwcu br. w przeliczeniu na 1 dzień roboczy była o 5,4 proc. wyższa niż w czerwcu ubr. W porównaniu z majem br. nastąpiło przyspieszenie dynamiki sprzedaży na eksport, a osłabienie sprzedaży na rynek wewnętrzny oraz cele zaopatrzeniowo-inwestycyjne i pozostałe.

W skali całego pierwszego półroczu br. wstępnie szacuje się, że tempo wzrostu produkcji sprzedanej wyniosło ok. 7 proc., a w porównywalnym czasie pracy 5,8 proc. Było więc wyższe od założonego w planie rocznym (4,3 proc.). Składa się na to osiągnięcie w I półroczu tempo wzrostu sprzedaży na zaopatrzenie rynku krajowego o 7 proc. i na eksport o 12,5 proc. Utrzymanie dotychczasowego tempa wzrostu produkcji na zaopatrzenie rynku krajowego wydaje się jednak mało prawdopodobne ze względu na ograniczone możliwości zaopatrzenia w materiały wprowadzane z zagranicy. (Sb)

RELACJE EKONOMICZNE

W czerwcu br. utrzymała się nadal relatywnie wysoka dynamika osobowego funduszu płac (9,6 proc. w porównaniu z czerwcem ubr.), przy wyraźnie niższym tempie wzrostu produkcji sprzedanej (2,6 proc. w rzeczywistym czasie pracy i 5,4 proc. w porównywalnym czasie pracy). Wydajność pracy mierzona wartością produkcji sprzedanej w przeliczeniu na 1 zatrudnionego w czerwcu br. w rzeczywistym czasie pracy była natomiast tylko o 2,6 proc. wyższa niż w czerwcu ubr., podczas gdy plan roczny zakłada jej wzrost o 4,5 proc. W konsekwencji nawet tempo wzrostu wydajności pracy liczone w porównywalnym czasie pracy (5,4 proc.) jest znacznie niższe od tempa wzrostu przeciętnej płacy miesięcznej (9,5 proc.).

W czerwcu br. podobnie jak i w poprzednich miesiącach relacje ekonomiczne przemysłu nie sprzyjały umocnieniu równowagi ekonomicznej kraju. (Sb)

REALIZACJA ZADAŃ INWESTYCYJNYCH

Według wstępnych szacunków w I półroczu br. przekazano do eksploatacji obiekty o łącznej wartości kosztorysowej w granicach 58 mld zł, podczas gdy w analogicznym okresie ubr. przekazano obiekty o wartości 81 mld zł. Spadek wartości przekazywanych do eksploatacji obiektów związany jest z faktem, że plan na I półrocze został wykonany tylko w połowie.

Wszystko to upoważnia, jak się wydaje, do wniosku, że w roku bieżącym nastąpiła znaczna dekoncentracja robót budowlano-montażowych. Ogólna ich wartość w I półroczu br. jest o 3,6 proc. większa niż w I półroczu ubr., przy zmniejszonym o ok. 8 proc. planie nakładów na rok bieżący, i nie uzasadnia tak znacznych opóźnień w oddawaniu obiektów do eksploatacji. (Sb)

SITUACJA ENERGETYCZNA

W porównaniu z czerwcem ubiegłego roku sytuację energetyczną w czerwcu br. można uznać za znacznie lepszą. Produkcja energii elektrycznej w porównaniu z czerwcem ubiegłego roku była o około 3 proc. wyższa, a średnie ograniczenie mocy w szczyty wieczornym wynosiło około 55 MW wobec 112 MW w czerwcu ubiegłego roku.

Postęp ten został osiągnięty w warunkach wzrostu produkcji sprzedanej przemysłu w czerwcu br. w porównaniu z czerwcem ubiegłego roku, w porównywalnym czasie pracy, o około 5,4 proc. Upoważnia to do wniosku, że nastąpiło pewne obniżenie energochłonności produkcji. Skala tego obniżenia nie może chyba

jednak być uznana za zadowalającą. Należy bowiem uwzględnić fakt, że najbardziej energochłonne przemysły pracują w ruchu ciągłym, a rzeczywisty wzrost produkcji sprzedanej w porównaniu z czerwcem ubiegłego roku wynosi tylko 2,6 proc. Jest więc nieco niższy od wzrostu produkcji energii elektrycznej. (Sb)

SPRZEDAŻ DETALICZNA

Czerwiec br. przyniósł pewne osłabienie tempa wzrostu sprzedaży detalicznej towarów (z ok. 12 proc. w okresie 5 miesięcy br. do 8,4 proc. w czerwcu br.). Zwraća przy tym uwagę utrzymujące się w czerwcu br., podobnie jak i w maju, szybsze tempo wzrostu sprzedaży żywności i napojów alkoholowych (9,4 proc.) niż towarów nieżywnościowych (7,6 proc.). Zjawisko to ma miejsce pomimo niskiej w czerwcu br. dynamiki sprzedaży w przedsiębiorstwach gastronomicznych (6,6 proc.) i relatywnie wysokiej dynamiki sprzedaży towarów nieżywnościowych w CPHW (o 12 proc.).

W skali całego I półroczu br. tempo wzrostu sprzedaży detalicznej (11 proc.) jest znacznie wyższe od planowanego (5,5 proc.), a wartość zapasów w handlu na koniec czerwca br. była o 3,6 proc. wyższa niż na koniec grudnia ubr. W ujęciu globalnym przyspieszenie tempa wzrostu sprzedaży nie wpłynęło więc niekorzystnie na stan zapasów rynkowych. Problemem są natomiast rozbieżności asortymentowe pomiędzy popytem i podażą towarów oraz spodziewany wzrost wartości zaopatrzenia produkcji rynkowej w II półroczu. (Sb)

WSAD DEWIZOWY

Analiza importochłonności sprzedawanych za granicą wyrobów przemysłu maszynowego wykazała, że w wielu przypadkach wpływy dewizowe z eksportu są poważnie redukowane w wyniku konieczności spro-

wadzenia z zagranicy materiałów i zespołów potrzebnych do produkcji eksportowanych maszyn i urządzeń. W wielu przypadkach chodzi tu o import materiałów i zespołów wcale nie skomplikowanych w produkcji lub nawet u nas wytwarzanych w znacznych ilościach. Konieczność importu tych materiałów i zespołów wynika zazwyczaj z braku inicjatywy niezbędnej do uruchomienia produkcji krajowej lub z niedostatecznych wysiłków na rzecz poprawy jakości produkcji, a często tylko z powodu braku atestów zagranicznych na krajowe produkty.

Wskazane jest więc, aby zainteresowane zjednoczenia podjęły pogłębiającą analizę przyczyn wysokiej importochłonności eksportowanych wyrobów i opracowały konkretne programy przeciwdziałania temu zjawisku. Nieraz nawet kosztem podjęcia inwestycji, na które banki mają przyznawać odpowiednie kredyty. (Sb)

PRZEWOZY TOWARÓW

Przewozy ładunków transportem publicznym i branżowym w czerwcu br. były o 2 proc. wyższe niż w czerwcu ubiegłego roku, a w skali całego I półroczu br. wzrosły o 11,6 proc. w porównaniu z I półroczem ubiegłego roku. Skala wzrostu przewozów jest więc wyraźnie wyższa od skali wzrostu produkcji sprzedanej przemysłu i upoważnia do wniosku, że stopniowo nadrabiane są ubiegłoroczne opóźnienia przewozów.

Szczególnie dobre wyniki notuje transport samochodowy, który w porównaniu z ubiegłym rokiem zwiększył przewozy w czerwcu o 1,6 proc., a w skali półroczu o 12,5 proc. Transport kolejowy zwiększył natomiast przewozy czerwcowe o około 3 proc., a w skali półroczu o 9,7 proc. Czerwcowe przewozy kolejowe nie osiągnęły jednak planowanych rozmiarów (do wykonania planu zabrakło 1 proc.).

Czynnikami hamującymi w czerwcu br. wzrost przewozów kolejowych były nadal zwłaszcza niedobory wagonów towarowych, spowodowane głównie wzrostem liczby wagonów technicznie niesprawnych. Było ich o ponad 8 tys. więcej niż w czerwcu ubiegłego roku. Nadal więc problem przyspieszenia remontu wagonów i ograniczenia liczby wagonów ulegających uszkodzeniu w czasie prac przeładunkowych czeka na rozwiązanie. (Sb)

PRZESTOJE CIĘŻARÓWEK

W czerwcu br. na skutek przestojów z przyczyn technicznych nie pracowało 23,7 proc. samochodów ciężarowych. Odpowiada to ok. 940 tys. wozodni, z których na przestoje z powodu obsługi technicznej i napraw bieżących przypada ok. 50 proc., na przestoje z braku części zamiennych — ok. 22 proc., na przestoje z powodu napraw głównych i oczekiwania na naprawy — 12,7 proc., z braku ogumienia — 4 proc. i z braku kierowców 6 proc.

Usprawnienie zaopatrzenia w części zamienne, zgodnie z wcześniejszymi ocenami, stanowi więc ważny czynnik zwiększenia zdolności przewozowej transportu samochodowego. (Sb)

WEGETACJA ROŚLIN

Po paru latach posuchy, w czerwcu br. na wielu terenach notowano duże lub nawet nadmierne opady atmosferyczne. Podobna sytuacja utrzymała się w pierwszej dekadzie lipca. Obfite opady przyczyniły się do znacznej poprawy stanu zbóż, ziemniaków oraz drugiego pokosu z łąk i pastwisk. Jest to widoczne zwłaszcza na ziemiach lekkich. Równocześnie na znacznych terenach kraju notowane były podtopienia wielu niższych położonych pól i pastwisk, co naraziło gospodarstwa tam położone na znaczne straty. (Sb)

w interesie konsumenta

PO NAS CHOĆBY POTOP?

Co roku przeżywamy istny szal przygotowań do letniego sezonu turystyczno-wczasowego. W województwach doświadczanych kleską najazdu urlopowych gości powoduje się specjalne sztaby, organizuje dziesiątki narad, na gwałt sprząta i remontuje wszelkie obiekty, które mają służyć czasowcom. Najwyższa Izba Kontroli sprawdziła też jednak w zeszłym roku, jaki jest stan tych obiektów po sezonie urlopowym. Oto, co powiedział na ten temat jej przedstawiciel na posiedzeniu Sejmowej Komisji Handlu Wewnętrznego, Drobnej Wytórczości i Usług: „Przestaliśmy się dziwić, że co roku powtarza się kampania przygotowywania bazy do sezonu, gdyż pozostaje ona na zimę nie zabezpieczona, brudna, często z resztkami nie zużytych wyrobów spożywczych, walających się po zapieczkach. Gdybyśmy więcej sprząkali i konserwowali po sezonie, mniej byłoby roboty przed kolejnym urlopowym okresem”.

Nie dodać, nie ująć.

ODWYKOWE MARZE

Od pana Edmunda Pilachewskiego z Torunia otrzymaliśmy następujący list:

„Zwracam się z pytaniem, czym można wyjaśnić paradoksalne różnice cen w sprzedaży kawy paczkowanej (10 kg a 60 zł), i kawy podawanej w kawiarniach, w cenie od 20 do 30 zł za szklankę (a 1 kg)?

Kawiarnie przygotowują z jednej 10-kg paczki 10 szklanek kawy, co przy cenie kawiarnianej daje zarobek 200 do 300 zł (za cukier płacimy oddzielnie). Czy usługa polegająca na przygotowaniu wrzasku i podaniu kawy do stolika, plus ewentualna marża, uzasadnia zarobek na czysto 140 zł do 240 zł na jednej paczce kawy?

Dochodzi do takich paradoksalnych sytuacji, że danie obiadowe w restauracji jest tańsze lub co najmniej zbliżone w cenie do szklanki kawy, a przecież danie obiadowe wymaga znacznie większego wkładu pracy i surowca.

Stuję przykładami:

W zajeździe „Rębałto” koło Piły (agencja) zamówiłem dwa głębokie talerze smacznych flaczków i dwie bułeczki, za które zapłaciłem łącznie 48 zł. W tym samym lokalu zamówiłem dwie kawy, za które zapłaciłem 58 zł (w tym cukier kosztował 2 zł).

W restauracji „Czeremcha” w Trzemesznie zjadłem smaczną wieprzowinę pieczoną z sosem, kartoflami i z sałatą w śmietanie płacąc 26 zł, a za szklankę kawy w tym lokalu zapłaciłem 33 zł.

Czy nie są to kalkulacje pozbawione wszelkiego rozsądku?”

Od redakcji: Stosując wygórowane marże przy sprzedaży kawy, gastronomia chce nas zapewne wyleczyć ze zgubnego nałogu picia tego napoju. Na razie jednak, jak widać, głównie ludzi denerwuje.

CO Z CYTRYNAMI?

Płyną — ale powoli, bo aż z Południowej Ameryki. Około 20 lipca powinny przylecieć dwa statki wiozące 2 tys. ton, a 30.VII. będzie następny transport — 2300 ton. W sumie jednakże dostawy cytryn wyniosą w tym roku tylko 80 tys. ton, o 20 tys. mniej niż w latach ubiegłych. Pewnym wsparciem dla rynku będzie import soku cytrynowego — w końcu lipca powinno się go pojawić w sklepach 1300 ton.

W tej sytuacji byłoby też jednak naćierać pożądaną, aby krajowi wytwórcy przypomnieli sobie, że można robić tzw. ocet winny — np. ze spadów jabłek — który, jako przyprawa do potraw może z powodzeniem zastąpić cytryny.

NA PLAŻE, CZY DO CYRKU?

Choć dni słoneczne możemy tego lata liczyć na palcach, nie ma takich pesymistów, którzy wybierając się na urlop, rezygnowaliby z zabrania kostiumu kąpielowego. Tymczasem ten, kto chciałby w stolicy nabyć nowy kostium, z pewnością nie dostanie zwrotu głowy od wyboru. Aż dziw bierze, jak udaje się naszemu przemysłowi dziewiarskiemu wytwarzać w nowoczesnych zakładach, na bardzo dobrych maszynach produkt tak dalece ustępujący wzorom z innych krajów. Nie dość, że kostiumy wytwarzane są z tkanin, które najbardziej nadawałyby się na pancerze, że brzydkie są ich kolory i desenie, to jeszcze i krój może zepszeć najgrzabniejszą dziewczynę.

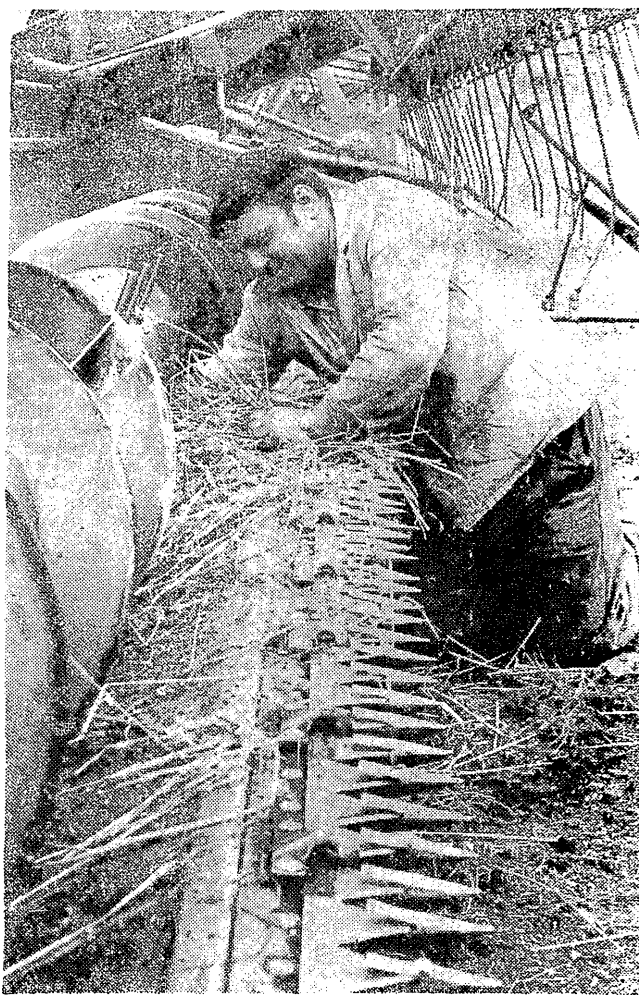
Specjalnością naszych producentów jest też ubieranie panów w spodnie kąpielowe w możliwie najskrajszych kolorach i deseniach. Toteż na naszych plażach co rusz spotyka się podtasiulanych mężczyzn w bajecznie kolorowych majtkach, w których wyglądają jak pajace.

Rozumiemy, że producenci mogą nie mieć przędzy na odpowiednie tkaniny, czy barwników, które dawałyby ładne, czyste kolory. Dlaczego jednak brakuje im nawet tzw. zdrowego pomysłu — to, doprawdy, trudno pojąć.

(zd)

W KOLEJCE PO USŁUGI

MARCIN MAKOWIECKI



W roku ubiegłym kółka rolnicze wykonały prace dla gospodarstw indywidualnych wartości 11,4 mld zł.

Fot. L. KOTONSKI

Stopień ich zamortyzowania wynosi obecnie średnio 60 proc. Ciągłe niedopowiednia jest struktura parku maszyn — brakuje ciągników ciężkich oraz wielu maszyn towarzyszących. Jak wszędzie, również w SKR, dotkliwie dały się we znaki braki części zamiennych, gumienia, akumulatorów, nierytmiczne dostawy paliwa itp. Przy tych wszystkich brakach i trudnościach nastąpił jednak, jak ogólnie ocenia się, dość istotny postęp w organizacji pracy (brygady polowe, dwuzmianowość, pogotowia techniczne, usprawnienie łączności itp.) i wykonywaniu usług.

Drugą, na ogół mniej pomyślnie realizowaną, działalnością SKR jest prowadzenie zespołowych gospodarstw rolnych. Zajmowało się tym 61 proc. spółdzielni. Obszar ZGR od pewnego czasu zmniejsza się (w 1979 r. o 16 proc.) i wynosił pod koniec roku 305 tys. ha. Przekazano 96 tys. ha innym użytkownikom, głównie PGR i spółdzielniom produkcyjnym, najczęściej ziemię już zagospodarowaną, której jednak te

wędrówki z rąk do rąk chyba nie najlepiej służą.

Gospodarstwom SKR pozostaje ziemia najsłabsza (połowa w V i VI klasie) i bardzo rozdrobniona. Przeciętnie jedno gospodarstwo ma 62 działki, o średniej wielkości 4,7 ha. Zmniejszyło się w ZGR pogłowie zwierząt wszystkich gatunków — przekazywano bowiem również obiekty inwentarskie i ograniczono kooperację z rolnikami. Plony (mimo dość wysokiego nawożenia — 250 kg NPK na 1 ha) były gorsze niż przed rokiem — zboża dały 17,7 q/ha, zabrakło paszy z własnej produkcji, niska była efektywność żywienia zwierząt. W sumie spowodowało to zmniejszenie wartości produkcji końcowej netto w przeliczeniu na 1 ha średnio o 0,9 tys. zł, do poziomu 7,2 tys. zł.

Cała działalność gospodarstwa spółdzielni kółek rolniczych była w 1979 roku deficytowa (strata wyniosła 2,4 mld zł), mimo że w porównaniu z rokiem poprzednim poprawiono wynik finansowy o 900 mln zł. Prawie połowa (48 proc.) SKR „wypracowuje” straty. O deficycie tym zdecydowały dwa kierunki działalności: mechanizacja i zespołowa gospodarka rolna.

Deficyt w ZGR wyniósł 2,6 mld zł (900 mln zł) był spowodowany m.in. obowiązującymi cenami usług mechanizacyjnych, które nie pokrywały ponoszonych przez SKR kosztów, mimo pewnej podwyżki cen dokonanej w 1979 r. Na poziom kosztów wpływało również niecałkowicie wyposażenie SKR w potrzebny sprzęt, znaczny stopień jego zużycia oraz niesprzyjająca pogoda. Eksploatowano ciągniki, a także niektóre maszyny, mocno już zużyte, wymagające remontów i pochłaniające dużo części zamiennych.

Deficyt w ZGR wyniósł 2,6 mld zł. Do tzw. efektywnych powodów tych strat należy duże rozdrobnienie gruntów, brak odpowiedniej bazy budynków inwentarskich, trudności z zatrudnieniem potrzebnej liczby pracowników. Trudne warunki atmosferyczne spowodowały obniżenie produkcji — szacuje się, że straty z tego powodu sięgają 600 mln zł.

Duży wpływ na wyniki ekonomiczne miała niedostateczna efektywność gospodarowania. Dotyczyło to zwłaszcza wykorzystania pasz i nawozów, niewłaściwych proporcji w rozwoju poszczególnych gałęzi produkcji oraz nadmiernego zużycia środków produkcji z zakupu. Największe straty miały ZGR w województwach śląskim, królewskim, elbląskim i zielonogórskim.

Problemy gospodarki kółek rolniczych były omawiane na odbytym niedawno posiedzeniu Rady Głównej CZKR. Najważniejszym zadaniem kółek rolniczych w bieżącym roku jest poprawa efektywności gospodarowania. Chodzi o lepsze wykorzystanie potencjału usługowego, oszczędniejsze gospodarowanie paliwami, surowcami i materiałami, usprawnienie działalności inwestycyjnej oraz poprawę organizacji pracy i lepsze gospodarowanie środkami finansowymi. Należy w pełni wykorzystać wyniki przeprowadzonego niedawno przeglądu efektywności gospodarowania oraz zwiększyć skuteczność nadzoru nad SKR, zwłaszcza nad tymi, które mają słabsze wyniki ekonomiczne.

Rada Główna CZKR omówiła również kierunki działalności zrzeszeń i związków branżowych, w latach 1980-85, będących ważnym ogniwem w systemie oddziaływania na wyniki produkcyjne całego rolnictwa.

I PÓŁROCZE W PŁO

W I półroczu br. statki Polskich Linii Oceanicznych przewiozły 2582 tys. ton ładunków, uzyskując prawie 12 mld zł wpływów frachtowych. Saldo dewizowe było o 43,5 proc. wyższe niż w analogicznym okresie ub. r. Nadwyżka w stosunku do zadań planowych I półroczu br. wynosi ponad 140 mln zł dewizowych. Jest to 10,8 proc. wielkości, o jaką powiększono w uchwale Sejmu zadania eksportowe na rok bieżący.

Godny odnotowania jest wzrost o 38 proc. w stosunku do I półroczu ub. r. wpływów uzyskanych bezpośrednio od kontrahentów z II obszaru płatniczego. Było to m.in. rezultatem wzrostu o 21,3 proc. w stosunku do analogicznego okresu ub. r. przewozów między obcymi portami.

Uzyskanie tak dobrych wyników nie najnowocześniejszą, jak wiadomo, flotą PLO i przy znanych trudnościach z przeładunkami drobnymi w naszych portach, świadczy dowodnie, że uprzedzenie żeglugi liniowej jest działalnością wysoce rentowną i że warto ją rozbudowywać.

Na podkreślenie zasługują tegoroczne wyniki Zakładu Linii Amerykańskich, którego statki przewiozły 321 458 ton ładunków i uzyskały ponad 3 mld zł wpływów frachtowych. Dużym postępem w stosunku do ub. r. są również wyniki Zakładu Linii Afrykańskich i Śródziemnomorskich w Gdańsku oraz Zakładu Linii Europejskich i Żeglugii Promowej w Szczecinie.

Dobre wyniki uzyskane przez 12-tysięczną załogę PLO są m.in. rezultatem umiejętnego wykorzystania przez kadrę eksploatatorów zadawalającej podaży ładunków występującej zwłaszcza na liniach: południowej Azji, wietnamskiej, indonezyjsko-filipińskiej, środkowego Wschodu, Ameryki Środkowej, obu liniiach południowoamerykańskich, Afryki Zachodniej, Afryki Wschodniej i Morza Czerwonego, a przede wszystkim na zatrudniające największą ilość statków (34) linii śródziemnomorskiej.

Okresowe trudności w zdobyciu odpowiednich ładunków wystąpiły natomiast na linii do Kanady i Wielkich Jezior Amerykańskich, północnoamerykańskiej, południowego Pacyfiku, dalekowschodniej, na liniach angielskich i niektórych zachodnioeuropejskich. Trudności te były m.in. spowodowane strajkami w portach szwedzkich i fińskich, a także występującymi ostatnio zakłóceniami w pracy tych portów, jak: Lizbona, Melbourne, Fremontle, Montreal, Santa Cruz de Tenerife, porty nowozelandzkie i Bremsenhavn. Ponadto dawały się we znaki kongestie. Statki PLO oczekiwały ostatnio na wejście: do portu Leixoes w Portugalii — 21 dni, do Aleksandrii — 21 dni, Benghazi i Tripoli w Libii — 16-30 dni, Lattakii w Syrii — 60 dni, Adenu w Jemenie Południowym — 14 dni, Bombaju — 10 dni i do irackiego portu Basrah aż 100 dni.

Znacznie lepiej niż w ubiegłym roku pracowali natomiast porty polskie. Niemniej jednak w I półroczu br. statki PLO straciły — z powodu braku wagonów, miejsca przy nabrzeżach i dokerów — 1250 statkodni.

(i)

surowce „z niczego”

PASZE Z ODPADÓW

HENRYK MAKARA

ODPADY z przemysłu spożywczego w coraz większym stopniu wykorzystywane są na pasze. W ostatnim okresie zakupiono w firmie Stork-Duke nowoczesne linie dla 7 nowych zakładów utylizacyjnych i kompletne wyposażenie oczyszczalni ścieków. W przemyśle utylizacyjnym w roku 1978 wyprodukowano 36 tys. ton mączek mięsno-kostnych. W wyniku modernizacji tego przemysłu, produkcja mączek dojdzie w roku 1990 do 57 tys. ton.

Przemysł utylizacyjny wspomaga jest w produkcji mączek paszowych przez przemysł mięsny oraz drobiarski. W roku 1978 oba te przemysły zdolne były do wyprodukowania 35 tys. ton. Planowana modernizacja tych branż spowoduje, że w roku 1990 — produkcja mączek wzrośnie do 120 tys. ton.

Ważnym odpadowym składnikiem są tłuszcze techniczne. W roku 1978 importowaliśmy blisko 10 tys. ton tłuszczu. Nie wykorzystane możliwości pozyskiwania tłuszczów technicznych istnieją jeszcze w zakładach przemysłu mięsnego, utylizacyjnego oraz drobiarskiego. Łączna ilość odzyskanych tłuszczów topionych w roku 1978 wyniosła 40 tys. ton. Szacuje się, że uzyskiwanie tłuszczów technicznych w 1990 roku będzie kształtowało się na poziomie 145 tys. ton.

Większe możliwości pozyskiwania tłuszczów oraz innych surowców łączą się z modernizacją i uporządkowaniem gospodarki wodno-ściekowej w zakładach przemysłowych. Tylko na ten cel ma być w latach 1978-1990 przeznaczony w przemyśle

mięsnym 1900 mln złotych, a w przemyśle drobiarskim 400 mln złotych.

Problemem, który jeszcze długo nie będzie w pełni rozwiązany, jest zagospodarowanie serwatki. Produkcja roczna kształtuje się na poziomie 3 miliardów litrów, z czego wykorzystuje się tylko 45 proc. do celów paszowych i 5 proc. do produkcji laktozy. Zawiera ona bardzo dużo wody, co utrudnia transport, komponowanie z innymi składnikami itp. Spośród nowych metod pozwalających na wzbogacenie serwatki, warto wymienić metodę jej amonowania. Polega ona na kontrolowanym ukwaszeniu przy użyciu bakterii termofilnych i otrzymywaniu optymalnego pH przez dodawanie wody amoniakalnej. Proces ukwaszenia zatrzymuje się po wyczerpaniu w serwatce laktozy. Uzyskuje się produkt końcowy wzbogacony mleczanem amonu. Metoda ta została opracowana przez prof. Majchrzaka w SGGW-AR w Warszawie i wdrożona była na terenie działania Wojewódzkiej Spółdzielni Mleczarskiej w Krośnie — z dobrymi rezultatami.

W obecnych warunkach przemysłowych kierunek przetwórstwa serwatki polegać może na produkcji laktozy technicznej oraz niskocukrowego soku serwatki. Są to jednak procesy energochłonne. Z gospodarczego

punktu widzenia najcenniejsze są wysoki produkt masy. Melasa jest w pełni wykorzystywana jako surowiec do dalszych procesów produkcyjnych w gospodarce żywnościowej. Ponieważ w melasie znajduje się jeszcze cukier, wprowadza się różne metody prowadzące do jej odcukrzania.

Wysoki produkt masy wykorzystywane są przez plantatorów do celów wyliczania paszowych. Znaczna część wysiódków przeznaczona jest do suszenia oraz brykietowania. Procesy te zwiększają możliwości wykorzystania w żywieniu zwierząt, ułatwiają transport, magazynowanie oraz powodują, że mogą one być również wykorzystane do produkcji pasz przemysłowych. Te względy sprawiły, że w latach 1980-1990 ma być zainstalowanych w cukrowniach kolejnych 14 su-

kości zwierząt rzeźnych mają dużej ilości mięsa pozostawionego na nich przy stosowaniu mechanicznego wykrawania. Ilość tego mięsa zależy od rodzaju i asortymentu kości i np. na kościach rurekowych jego ilość sięga 10-25 proc. Biorąc pod uwagę to, że w roku 1978 uzyskano ponad 109 tys. ton kości i licząc, że gdyby istniały możliwości techniczne do odmięśniania w 100 proc., ilość dodatkowego mięsa resztkowego wynosiłaby około 16 tys. ton. Są to znaczne rezerwy, jak dotąd nie w pełni jeszcze wykorzystane. Z zainstalowanych już urządzeń pozwalających na odmięśnianie kości uzyskano w roku 1978 dopiero 6 tys. ton mięsa.

Duże ilości surowców odpadowych powstają również w przetwórstwie surowców roślinnych. Większość z tych odpadów nie wymaga stosowania odrębnych procesów technologicznych w celu dalszego ich wykorzystania. Szereg produktów ubocznych powstaje w przemyśle cukrowniczym. Z gospodarczego

punktu widzenia najcenniejsze są wysoki produkt masy. Melasa jest w pełni wykorzystywana jako surowiec do dalszych procesów produkcyjnych w gospodarce żywnościowej. Ponieważ w melasie znajduje się jeszcze cukier, wprowadza się różne metody prowadzące do jej odcukrzania.

Wysoki produkt masy wykorzystywane są przez plantatorów do celów wyliczania paszowych. Znaczna część wysiódków przeznaczona jest do suszenia oraz brykietowania. Procesy te zwiększają możliwości wykorzystania w żywieniu zwierząt, ułatwiają transport, magazynowanie oraz powodują, że mogą one być również wykorzystane do produkcji pasz przemysłowych. Te względy sprawiły, że w latach 1980-1990 ma być zainstalowanych w cukrowniach kolejnych 14 su-

szarni przy czym ilość suszu wzrosnąć ma ze 157 tys. ton w 1978 r. do 350 tys. ton w 1990 r.

W przemyśle olejarskim powstaje szereg produktów ubocznych, w tym przede wszystkim śruty poekstrakcyjne, odpady porafinacyjne i szlamy olejowe. Śruty poekstrakcyjne są cennymi składnikami pasz. Dla zwiększenia przydatności śrut do celów paszowych podejmuje się szereg przedsięwzięć takich, jak odgryzienie śrut rzepakowej oraz zwiększenie w niej koncentracji białka i wdrażanie produkcji wyskokobiałkowej śruty sojowej.

Odpady porafinacyjne (kwasy parafinowe i oleje autoklawowe) oraz szlamy olejowe wykorzystuje się tylko częściowo, m.in. do wzbogacenia śruty rzepakowej przeznaczonej do celów paszowych. W Nadodrzańskich Zakładach Przemysłu Tłuszczowego w Brzegu wprowadzono technologię wzbogacania śruty rzepakowej przez jej natłuszczenie dla zwiększenia wartości energetycznej oraz żywieniowej. Efektem zagospodarowania odpadów w Zakładach w Brzegu było uzyskanie w 1977 r. dodatkowych 603 t śruty, wartości 1 220 700 zł.

KOMUNALNE PRZEDSIĘBIORSTWO REMONTOWO BUDOWLANE NR 1

w SZCZECINIE przy ul. Potulickiej 59

oferuje do sprzedaży

KOLANA STALOWE

gięte o średnicach Ø 10, Ø 15, Ø 25, Ø 40

K-19

KILKA lat temu prasa codzienna w dość alarmistyczny sposób informowała o niechętnym stosunku zakładów przemysłowych do wielkich kontenerów. Nikt nie kwapił się do korzystania z tej formy przewozu, choć wykazywała ona, w porównaniu z tradycyjnymi metodami, szereg zalet. Prawdziwe zmartwienie miało ze znalezieniem klientów. Przedsiębiorstwo Spedycji Krajowej, w którym obrazkiem były setki puczystych stalowych pudeł stojących na stacjach towarowych. Przed paru latami, gdy odwiedziłem warszawski punkt kontenerowy na stacji Warszawa Główna Towarowa przy ul. Ordona, doliczono się prawie sześćset bezczynnych kontenerów. PSK, i nie tylko to przedsiębiorstwo, rozpoczęło wielką akcję agitacyjną na rzecz wykorzystania tego pokazanego potencjału przewozowego — jej rezultaty były początkowo mizerne.

Klienci zamawiali kontenery najczęściej w sytuacjach „podbramkowych” — gdy brakło innego taboru, a roczne czy kwartalne plany sprzedaży nagliły, dobry był każdy sposób wywiezienia wyrobów z zakładu. Między tymi szczytami zainteresowanie pojemnikami wracało do normy i znowu rosły zapasy próżnych pudeł. Jednakże konsekwentne działania PSK z czasem zaczęło przynosić pozytywne skutki. Powoli znajdowali się kontrahenci, dla których kontener przestał być złem koniecznym i którzy zorientowali się w zaletach konteneryzacji.

Byłoby grubą przesadą twierdzenie, że Kontenerowy System Transportowy (KST) zdobył sobie w naszym kraju prawo obywatelstwa, jako że takiego systemu nadal nie ma, ale jednak zanotowano w ostatnich latach pewne oznaki przełamań pierwszych lodów. Pozytywna przetargowa spedytóra i właściciela kontenerów, PSK, zmieniła się diametralnie. W tej chwili nie PSK zabiega o klientów, lecz klienci domagają się kontenerów. Jak widać, trud propagandy w latach ubiegłych przyniósł efekty i warto było go podjąć. Chociaż nie brakuje różnych ale... Klienci są, to prawda, ale na swój sposób zinterpretowali szansę konteneryzacji. Kontenery są nagminnie przetrzymywane u nadawców i odbiorców, niezdokonywa się ich jako zastępczych, wygodnych magazynów. Sposoby ładowania i rozładunku w niczym nie przypominają, że mamy do czynienia z najnowocześniejszą technologią przewozu XX wieku. Najczęściej zatrzymuje się w zakładach cały zestaw drogowy wraz z ciągnikiem i nacępą — stoi on tak długo, aż napelni się pudło. Jest to jaskrawe zaprzeczenie idei konteneryzacji, która zakłada szybki obrót taboru i zdejmowanie pudła na ziemię. Ba, coś zrobić, kiedy nie ma czym zdjąć? Takie zarzuty można by przystać bardzo długo, nie na wiele zda się jednak gromienie winnych, skoro ich podstawowa wina polega na tym, że nie są przygotowani do pełnienia roli sprawnego ognia w systemie.

Program rozwoju KST z pierwszej połowy lat siedemdziesiątych przybrał dziś realne kształty, co nie znaczy, że zgodne z pierwotnie zakładanymi. Inwestycjom zabrakło rozpedu, potencjał użytkownicy nie zawsze stali się klientami, spedycja kuleje. Przyjrzyjmy się, jak dziś wygląda konteneryzacja.

Jest trochę lepiej

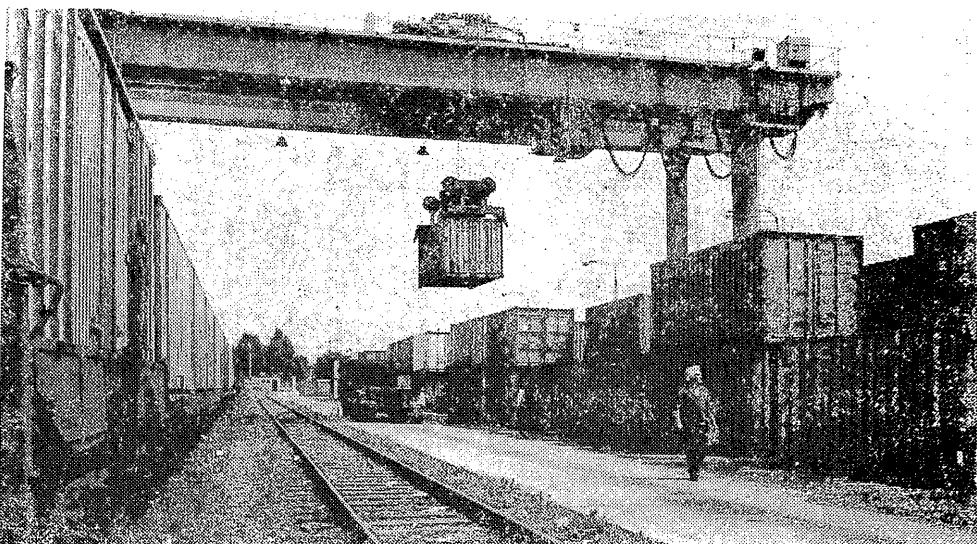
Znowu odwiedzam warszawski Oddział PSK, w tajemnicy działania którego wprowadzają mnie: zastępca dyrektora oddziału Juliusz Witkowski i kierownik ekspedycji kontenerowej Eugeniusz Ejsymont. „Nie narzekamy na brak klientów, a i oni nie mają chyba powodów, aby na nas narzekać — mówi dyrektor Witkowski. — Ale sytuacja jest daleka od pożądanej. Naszą podstawową bolączką są powtarzające się awarie jedynej suwnicy, która domaga się w tym roku remontu. Druga suwnica, 25-tonowa, to właściwie dekoracja, przejeżdżamy ją od PKP niesprawną. Mamy co prawda jeszcze żuraw 40-tonowy, ale i on często odmawia posłuszeństwa. Praktycznie więc bywają dni, że punkt kontenerowy zastępuje przeładunków z wagonów i na wagony, bo nie ma czym tego robić. Pozostaje oferować wyłącznie przewozy samochodowe. Jesteśmy w sytuacji bez wyjścia — będziemy musieli wyjechać na czas remontu suwnicy, nie mając żadnego urządzenia zastępczego. Na psujacy się żuraw nie można liczyć, zresztą jest pięciokrotnie mniej wydajny.”

Moi rozmówcy z warszawskiego PSK zgodnie podkreślali, że współpraca z klientami układa się na ogół dobrze. Wymienimy kilku stałych partnerów: RSW „Prasa” — Książka — Ruch” używa kontenerów do przewozu bel papieru. PSK jest w stanie dostarczyć w tym celu do 30 kontenerów dziennie. Stocznica „Transbud” używa kontenerów do przewozu opon. „Pollena” — Uroda” ładuje w nie swoje wyroby przeznaczane na eksport, z usług PSK korzysta huta szkła w Wołominie i „Budimex”. Dobrze układa się współpraca z I Oddziałem PKS, który dostarcza samochodów, gorzej jest z PKP, skąpiącymi platform kontenerowych, używanych zresztą, z konieczności, do zupełnie innych celów.

PSK stara się być wyrozumiałe dla swoich klientów. I tak np. oficjalny dokument, jakim jest „Taryfa przewozu przesyłek wielkich kontenerów przez Przedsiębiorstwo Spedycji Krajowej” przewiduje 30-minutowe normy postoju pojazdu dla poszczególnych czynności ładunkowych, to jest załadunku na pojazd, wyładunku z pojazdu lub napelniania, czy też opróżniania kontenera będącego na postoju. U niektórych kontrahentów trwa to zaś i pięć godzin, bo bywa, że samochód musi czekać w kolejce pod magazynem. Tolerowane są takie sytuacje i nie fakt, że za każde 5 minut przekroczenia normatywnego czasu spe-

KONTENEROWE MEANDRY

KRZYSZTOF FRONCZAK



Codziennie w punkcie kontenerowym przy ul. Ordona przeładowuje się 120—130 kontenerów. Fot. T. MÜLLER

dytor pobiera dodatkową opłatę, decyduje o wyrozumiałości PSK. Kierownicy przedsiębiorstwa doskonale wiedzą, że np. żaden z warszawskich klientów nie ma sprzętu do zdjęcia kontenera z nacępy i, jeśli nie jest to nacępa samowyladowcza, na pewno zatrzyma cały zestaw.

„W pierwszym kwartale bieżącego roku nadaliśmy 1730 kontenerów, przyjęliśmy 1857 — mówi kierownik ekspedycji Eugeniusz Ejsymont. Ogólnie w ekspedycji przy ul. Ordona dokonuje się około 120—130 operacji przeładunkowych dziennie, naturalnie jeśli sprawnie są wszystkie urządzenia. Gdyby była druga suwnica w rezerwie, można by przeładowywać około 200 sztuk, co w pełni pokrywałoby dzisiejsze potrzeby stolicy. W tej chwili sięgamy do ostatnich rezerw.” Dyr. Witkowski uzupełnia: „Dalsze popularyzowanie kontenera nie ma już sensu. Mamy coraz więcej chętnych, a wyposażenia nie przybywa. Pojemników zaczyna ubywać — wykruśają się najstarsze egzemplarze. W tych warunkach jedyną szansą poprawy sytuacji jest przyspieszenie obrotu kontenera, a to już najczęściej zależy od klienta.”

U klienta

Sytuacja, jaką mi przedstawiono w stołecznym oddziale PSK świadczy o prawidłowym oddziaływaniu na klientów, choć, jak się okazuje w praktyce, motywy korzystania z kontenerów nie zawsze wypływają z rachunku ekonomicznego. Wielki stalowy pojemnik miał być dla klienta tańszy od tradycyjnych form przewozu (a nie jest), zapewniał większe bezpieczeństwo ładunku (z tym też bywa różnie), chronił ładunek przed uszkodzeniem w czasie transportu. Te stwierdzenia przestają być goślnie, jeśli przyjrzyć się choćby przykładom konteneryzacji w warszawskiej „Pollenie” — Urodzie”.

Fabryka kosmetyków przy ul. Szwedzkiej jest jednym z pierwszych zakładów w kraju, który zdecydował się na tę formę przewozu — w drugiej połowie 1974 roku wyeksportowano pierwsze wielkie wyrobniki. Obecnie już trzecia część wyrobów wysyłana jest w kontenerach, w tym roku około 1200 ton. W większości są to ładunki przeznaczone na eksport, do Związku Radzieckiego, Czechosłowacji, Węgier. Ryszard Bolyda, zastępca kierownika działu do spraw gospodarki magazynowej, jest przekonany, że można by objąć konteneryzacją ok. 2000 ton ładunków rocznie, ale PSK z ulicy Ordona nie jest w stanie dostarczyć większej ilości taboru. Z tych obecnych 1200 ton, 400 ton to nadania w kontenerach zestawianych na ziemię (naturalnie przez żurawiki nacępy, bo „Uroda” własnych urządzeń nie ma), reszta, czyli 800 ton, to kontenery ładowane na kołach, bez zdejmowania. Celowo podaje te dane, świadczą one dobitnie, jak wygląda konteneryzacja w skali sporego przedsiębiorstwa produkującego tzw. drobnicę, znakomicie nadająca się do tego celu — większość pojemników nie zdejmuje się z nacępy i zatrzymuje cały zestaw drogowy.

„Naszym zdaniem, półgodzinna norma na załadunek, przewidziana w taryfie, jest zbyt mała, nie mieścimy się w niej — mówi R. Bolyda. — Dziennie przyjmujemy pięć kontenerów, z tego dwa są zdejmowane. Wolimy te na kołach, bo podjeżdżają wprost pod wysoką rampę załadunkową. Zresztą mamy bardzo ciasny plac manewrowy, a na nim z trudnością może znaleźć tylko pięć miejsc postojowych dla kontenerów. Staramy się wyroby szykować do transportu w pojemnikach. W magazynie aerozoli ładuje się kosmetyki na palety, te z kolei wózek widłowy przenosi do kontenera. Efekt — o 40 procent krótszy czas załadunku. Chcielibyśmy w większym stopniu grupować wyroby w pakunki obciążone folią termokurczliwą. Bo przecież większość wyrobów ładujemy ręcznie, a wiadomo, ile zachodu wymaga przeniesienie oddzielnie małych opakowań”.

Na pytanie, dlaczego „Pollena” — Uroda” zdecydowała się na konteneryzację, pada odpowiedź: „Wymagania dostaw eksportowych są oczywiste. Na przykład, wysyłamy wyroby w kontenerze do Związku Radzieckiego, odpada uciążliwy i długotrwały przeładunek na granicy — kontener zdejmujemy z polskiego wagonu i stawia na wagon radziecki. Nie podlega żadnym zabiegom kontrolnym — jest zaplombowany. Bez zastanowienia mogę też powiedzieć, że gdyby nie ta forma przewozu, nie mielibyśmy tak zadawalających efektów na rynku górnośląskim. Dzięki szybkiemu transportowi możemy elastycznie reagować na jego potrzeby, choć, na marginesie, bardzo komplikuje nam dostawy częste zamykanie punktu kontenerowego w Sosnowcu. Początkowo kontenery były transportem pomocniczym — przyjęliśmy je, bo nie było innego wyjścia. Straty spowodowane stłuczkami towaru i kradzieżami w czasie transportu są mniejsze, choć nie zawsze tak bywało, i z kontenera potrafia ginać towary. Kontenery nie są tańsze od transportu tradycyjnego, szczególnie na krótszych trasach. Słono płaci się za przeście — pięciokrotnie więcej niż za przetrzymanie samochodu ciężarowego”.

Miałem wielkie trudności ze stwierdzeniem na własne oczy, jak wygląda obsługa kontenerów w „Urodzie”. Plac fabryczny, bardzo ciasny, dosłownie zakorkowany ciężarówkami. Samochody przeciskają się wąskimi przesmykami pod rampy magazynów. Manewrowanie ogromną nacępą i zestawianiem kontenera na ziemię wymaga od kierowców zgola cyrkowych umiejętności. Zakład jest stary i zupełnie nie przystosowany do przyjmowania wielkich ciężarówek, brak na to po prostu miejsca. Mamy wyraźnie do czynienia z sympatią z konieczności, ale, jak się wydaje, gdyby była możliwość powrotu do starych form transportu, „Pollena” — Uroda” nie byłaby zainteresowana porzuceniem stalowych pudeł. Mimo wszystko sprawdzają się.

Apetyty nie będą zaspokojone

Z obu przytoczonych wyżej opinii, spedytora i klienta, wynika jasno, że są apetyty na zwiększenie przewozów w kontenerach, nie dają się one jednak zaspokoić z wielu powodów, wśród których podstawowym jest brak kontenerów. Z rozmów przeprowadzonych w Zarządzie PSK z Waldemarem Giedlerewiczem, głównym specjalistą do spraw KST i Wojciechem Misterką, głównym specjalistą do spraw technicznych wyposażenia KST, wyniosłem, że sytuacja jest o wiele bardziej złożona.

Pamiętam moją pierwszą wizytę w Zarządzie PSK przed paru laty i atmosferę tej towarzyszącej — entuzjazm, z jakim podchodzono do idei Kontenerowego Systemu Transportowego, widząc w nim wielką szansę uczynienia radykalnego kroku naprzód w przewozach drobnicy. Muszę przyznać, że i mnie uderzył ten nastrój. Oczywiście wyobraziłem sobie już sprawnie ładowe terminale odprawiające szybkie pociągi kontenerowe, nowoczesny tabor i sprzęt przeładunkowy. Rzeczywistość nieubłaganie okroiła te plany i KST, szczególnie na ładzie, niewiele posunął się do przodu w swym rozwoju. Jasnijszym punktem jest bez wątpienia morski terminal w Gdyni.

Park kontenerowy starzeje się, dostaw nie ma. W 1975 roku PSK otrzymało 1800 sztuk nowych kontenerów, a w roku 1977 — osiemdziesiąt kilka. Na domiar złego, w 1978 roku zaprzestano w szczecińskim „Unikonie” produkcji kontenerów typu 1C na rzecz typu 1CC. Wydawałoby się bagatelka — pudła o 153 mm wyższe, reszta wymiarów pozostała bez zmian, a jednak te milimetry stanowią poważną przeszkodę w używaniu pojemników 1CC w ładowym transporcie między narodowym, ponieważ przekraczane

są tzw. skrajne, tj. dopuszczalne w ruchu gabaryty, szczególnie przy staniu pudła na kolejową platformę uniwersalną. Niektóre kraje, jak na przykład NRD, przyjmują takie kontenery tylko za specjalnym zezwoleniem. Odpowiedź na pytanie, dlaczego produkuje się zatem ten właśnie typ, jest prosta — „Unikon” pracuje wyłącznie na eksport, dla obcych armatorów, a w przewozach morskich kontener 1CC okazuje się bardziej przydatny. Fabryka wagonów w Świdnicy, która również podjęła produkcję kontenerów (i od której PSK ma cichą nadzieję otrzymać w tym roku 200 pojemników), także nastawiła się na typ 1CC. Komplikuje to życie spedytorowi w sytuacji, gdy brak wagonów specjalistycznych. Taki wagon (bezpodłogowy) oznaczony symbolem 413 Z od paru już lat znajduje się w fazie prototypu i nic nie wskazuje na to, że szybko z tej fazy wyjdzie. Platformy uniwersalne kolejarze wykorzystują chętnie do innych celów, a te przeznaczone pod kontenery legitymują się nadmiernym czasem obrotu — zbyt mała jest zdolność przeładunkowa istniejących punktów kontenerowych.

W towarowym rozkładzie kontenerowym są szybkie pociągi, w które włączane są platformy z kontenerami. Przewidywanych przed laty „czystych” pociągów kontenerowych nadal nie ma. Punkty kontenerowe są zbyt małe, aby obsługiwać takie całopociągowe przesyłki. A i ze względu na znane powszechnie przeciążenie kolei wątpliwe jest wprowadzenie do rozkładu takich zestawów — będzie to chyba jednak lokalne przynajmniej na trasie między terminalem morskim w Gdyni i terminalem ładowym (określenie trochę na wyrost) w Łodzi-Olechowie.

Trochę mniej kłopotów jest w PSK z taborem drogowym, ale tylko jeśli chodzi o nacępy do przewozu kontenerów 1C (20-stopowych). Fatalnie zaś przedstawia się sytuacja z nacępami dla kontenerów 1A (40-stopowych). Do 1974 roku nie było problemu, bo nie można było przeładowywać „czterdziestek” na stacjach — nie było odpowiednich suwnic. Dziś taki sprzęt mają Warszawa, Wrocław, Kraków oraz Łódź i gdy na wagonie przyjdzie na te stacje taki kontener, to najczęściej jedyną drogą, jaką może dalej odbyć, to z wagonu na ziemię. Krakowski PKS ma jedną taką wielkość nacępy, PKS we Wrocławiu i Łodzi nie mają ani jednej, w Gdyni jest kilka. Instytut Transportu Samochodowego wystawił kiedyś pozytywną opinię prototypowej takiej nacępy — wyprodukowanej przez wrocławski „Zrebm”. Cóż z tego, skoro nie jest produkowana.

„Określenie „stacja kontenerowa”, na dobre sprawę, odnosi się jedynie do urządzeń w Łodzi-Olechowie — mówi Waldemar Giedlerewicz. Warszawa, Wrocław, Kraków to punkty kontenerowe, natomiast Sosnowiec, Szczecin, Gdańsk, Poznań to punkty wybitnie prowizoryczne. Ale i w Łodzi-Olechowie nie brakuje niekonsekwencji. Nie ma na przykład możliwości przemieszczania kontenerów spod suwnic na potężny plac składowy za nimi, bo brak sprzętu. We wszystkich punktach nie ma urządzeń do manipulowania pojemnikami, nawet próżnymi. Dlaczego okresowo zamykamy Sosnowiec Południowy? Jest to obecnie najbardziej wazny punkt, który miał być bazą tymczasową na dwa, trzy lata, do czasu zbudowania prawdziwej stacji. W tej chwili dla wyczerzenia grupy wagonów trzeba zamknąć funkcjonującą linię kolejową. Żurawie budowlane stosowane tu do przeładunków były dobre w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych. Dziś już nie wystarczają, psują się często, poza tym zupełnie nie nadają się do manewrowania pod obciążeniem. Już trzy lata temu wyczerpał się także rezerwy w Sosnowcu. Dziś na granicy wykorzystania pracują także Warszawa i Gdańsk. Prawde powiedziawszy, gdyby punkt w Poznaniu pracował zgodnie z ob-

wiązującymi przepisami (w tym także bhp) to przeładowywałby mniej niż to czyni. Suwnica we Wrocławiu pracuje już od pięciu lat, konieczny jest remont, a to oznacza zamknięcie punktu, bo żadnego sprzętu zastępczego nie ma”.

Sprzęt brak, a ten, który jest w ciągłej eksploatacji, zaczyna się „sy-pać”, wymaga remontów. Z tym większym rozgoryczeniem patrzyło się w PSK na praktyki niektórych zakładów przemysłowych, które za resortowe dewizy zafundowały sobie najróżniejsze urządzenia kontenerowe, z którymi, co gorsza, nie zawsze wiedzą co robić. Kupowano według uznania, u najróżniejszych producentów. Dziś część tego sprzętu niszczy, bo nie ma do niego części.

Kłopoty z częściami to temat wymagający odrębnego potraktowania. Brakuje części do używanych żurawi budowlanych DK-404 produkcji NRD, do licencyjnych żurawi „Stalowa” produkowanych w Stalowej Woli, do żurawia „Jones” (także ze Stalowej Woli) brak części, tym razem dlatego, że nie jest już produkowany. Suwnice kontenerowe z kluczoborskiego „Famaku”, a jest ich już dziesięć, to kolejne zmartwienie. W ponad 3/4 o ich wartości stanowią podzespoły importowane, na przykład tzw. zawieszki pochodzą z Hiszpanii, całe wyposażenie elektroniczne z Austrii. Główny specjalista do spraw technicznego wyposażenia KST, Wojciech Misterka, ma z tym teraz ogromne kłopoty.

„Jeśli chcemy wymienić uszkodzone tyrystory w układzie sterowania suwnicy na krajowe o tych samych parametrach elektrycznych, to musimy być przygotowani na to, że nasze tyrystory są nie tylko znacznie większe, ale i mają inny skok gwintu mocującego Układy prostownicze są od dziesięciu do trzydziestu razy większe od oryginalnych austriackich, itd. Jeśli dodam do tego, że technicy, badający co wysiadło w suwnicy, działają po omacku, nie mając odpowiednich przyrządów pomiarowych, to będziemy mieli obraz naprawdę niewesoły. Zgody na zakup mierników za granicą nie otrzymaliśmy, „Mera”, która produkuje takie przyrządy w kraju, ma nas w nosie. Proszę, oto ostatnia odpowiedź z Lubuskich Zakładów Elektrycznych „Mera-Lumel” w Zielonej Górze: „Informujemy, że interesujące Was wyroby (...) są produkowane, jednak realizując preferowane kierunki rozchodu naszej produkcji na rynek oraz eksport, nie zapewnimy ich dostawy w najbliższych latach...”. Pod wielkim znakiem zapytania znalazła się, z podobnych względów, eksploatacja minikomputera, pierwszego tego typu w krajach RWPG. Pozwała on nam śledzić ruch kontenerów na terenie całego kraju i na punktach granicznych. Marzyłoby się nam połączenie z przyszłym centrum komputerowym w morskim terminalu w Gdyni, tymczasem nie wyklucone, iż przyjdzie nam w latach 1982—83 zamknąć ośrodek i wrócić do starych, zawodnych i ślamazarnych metod ewidencji telefonicznej — zaczyna brakować części zamiennych.”

Na żadnym z eksploatowanych obiektów nie istnieje zaplecze techniczne. Poprzednio, gdy punkty kontenerowe i kontenery znajdowały się pod administracją PKP, tymi sprawami zajmowała się kolejowa służba trakcji. Co prawda PSK otrzymało od ministerstwa komunikacji odpowiednie etaty i fundusz plac, ale stawki placowe nie są zbyt atrakcyjne, chętnych do pracy trzeba szukać ze świecą. Spedytor nie ma warunków do wykonywania napraw kontenerów. Stocznia remontowa „Radunia” w Gdańsku, która się tym zajmuje, woli brać zlecenia od zachodnich klientów, a co najwyżej, od PLO. W PSK mają pełną świadomość, że w latach 1984—85 trzeba będzie likwidować dzisiaj używane kontenery, a przecież remonty mogą przedłużyć ich żywotność. Kończy się na gorzkiej świadomości — technicznych możliwości brak.

Czy trzeba będzie się odzwyczaić?

Kontenerów nie przybywa, urządzenia techniczne też nie, przybywa za to klientów. „Jesteśmy na granicy zdolności przeładunkowych — mówi mi w Zarządzie PSK. — Co raz większy priorytet będziemy musieli przyznawać przewozom międzynarodowym, ładowym i lądowo-morskim. Przewozy krajowe na razie jeszcze mieszczą się w naszych możliwościach, ale, jeśli przycisnąć nas konieczność, będziemy musieli ich zaniechać. Z takim trudem zdobyci i „wychowani” przez nas klienci nie będą dostawać tyle, ile chcą, a być może nie nie dostaną i będą musieli wrócić do tradycyjnego krytego wagonu i ciężarówki”.

Tym bardziej niepokojące w istniejącej sytuacji jest zjawisko dość niezależnego rozwoju konteneryzacji na ładzie i w PLO. Brak w tym wszystkim idei jednoczącej i harmonizującej obie te części składowe KST. W Gdyni, gdzie zaangażowano ogromne środki inwestycyjne, nie zadano sobie trudu określenia, w jakich kierunkach wędrować będą kontenery z morza. W każdym razie takiej orientacji brak w Zarządzie PSK, co wzbudza uzasadniony niepokój. Zdolność przeładunkowa punktów ładunkowych musi być przecież przynajmniej równa zdolności terminalu gdynińskiego. Trzeba już określić, które z punktów ładowych przyjmą ładunki z morza i już dziś trzeba rozpocząć ich rozbudowę. W PSK wielokrotnie podkreślano, że mają rozeznanie co do ładowych, krajowych i międzynarodowych przewozów, natomiast współpraca z portami jest nadal wielką niewiadomą. Wszystko to świadczy o braku koordynacji planów w dwóch resortach: handlu zagranicznego i gospodarki morskiej oraz komunikacji. Skutki tej niefrasobliwości mogą nas długo kosztować.

orzecznictwo

ODPOWIEDZIALNOŚĆ KONTRAKTUJĄCEGO ZA JAKOŚĆ DOSTARCZONEGO PRODUCENTOWI MATERIAŁU UPRAWOWEGO

Wojewódzka Spółdzielnia Ogrodnicza w K. zawarła z Marią K. umowę kontraktacyjną polegającą na dostarczeniu jej drzewek wiśni na założenie sadu, z którego owoce miały być dostarczane Wojewódzkiej Spółdzielni.

Założony sad jednak nie owocował i musiał ulec likwidacji.

W związku z tym Maria K. wniosła sprawę do sądu, domagając się zasądzenia na jej rzecz od Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczej odszkodowania w kwotach 140 740 zł i 78 809 zł. Jako przyczynę poniesionej szkody powódka podała, iż Wojewódzka Spółdzielnia dostarczyła jej nieodpowiednią odmianę wiśni zw. „Karosor”, nie nadającą się do uprawy w warunkach glebowych i klimatycznych województwa katowickiego.

Sąd Wojewódzki powództwo Marii K. oddalił przyjmując, że pozwana Wojewódzkiej Spółdzielni nie może obciążać ryzyko założenia sadu z odmiany wiśni, które w świetle ówczesnego stanu wiedzy sadowniczej wydawały się odpowiednie a nawet jak najbardziej pożądane jak też, ponieważ pozwanej nie można również zarzucić, by dopuściła się zaniedbań w zakresie instruktażu i kontroli sadu powódki. Wreszcie Sąd uznał, że roszczenie Marii K. uległo poza tym 2-letniemu przedawnieniu w świetle art. 624 kodeksu cywilnego.)

Od wyroku Sądu Wojewódzkiego Maria K. wniosła rewizję.

Sąd Najwyższy rozpatrzywszy sprawę w dniu 20 listopada 1979 r. nr IV CR 376/79 wyrok Sądu Wojewódzkiego uchylił i przekazał mu sprawę do ponownego rozpoznania, wypowiadając następujący pogląd prawny:

1. Kontraktujący obowiązany jest dostarczyć plantatorowi tylko taki materiał uprawowy, którego przydatności jest pewny.

W związku z tym, kontraktujący, który dostarcza producentowi (plantatorowi) sadzonki drzew odmiany nie nadającej się do uprawy w danych warunkach klimatyczno-glebowych, nie może uwalnić się od odpowiedzialności za szkody wyrządzone mu nieudaniem się plantacji i w następstwie utratą dochodów z niej oraz poniesieniem kosztów założenia plantacji — przez wykazanie, że otrzymał materiał od wytwórcy, będącego wyspecjalizowaną jednostką bądź że w chwili dostarczenia sadzonek odmiana nie była jeszcze należyście zbadana.

2. Bieg dwuletniego przedawnienia dla roszczeń z umowy kontraktacji (art. 624 k.c.), gdy świadczenie producenta (plantatora) nie zostało spełnione, zaczyna się od dnia, w którym powinno było być spełnione.

W uzasadnieniu swego stanowiska Sąd Najwyższy zaznaczył m.in.:

„W sytuacji, w której kontraktujący sam dostarcza producentowi sadzonek stanowiących materiał wyjściowy zakontraktowanej produkcji, ponosi on z reguły odpowiedzialność za szkody wyrządzone dostarczeniem nieodpowiedniego materiału, np. drzewek wiśni nieodpowiedniej odmiany nie nadającej się do uprawy w warunkach atmosferyczno-glebowych sadu producenta. Spoczywający na kontraktującym obowiązek spełnienia określonych świadczeń dodatkowych (art. 615 k.c.) może wynikać nie tylko z umowy kontraktacji, ale także z przepisów szczególnych: uchwał i zarządzeń naczelnych organów administracji państwowej (art. 613 § 1 k.c.), a ponadto z dodatkowych postanowień: umowy stron uzupełniających umowę kontraktacyjną. (...)

W konkretnych okolicznościach, które jednak w sprawie niniejszej nie zostały ujawnione, dostarczenie producentowi przez kontrahenta materiału wyjściowego może nastąpić na podstawie i w wykonaniu towarzyszącego umowie kontraktacji innego stosunku umownego, np. umowy sprzedaży. We wszystkich tych wypadkach odpowiedzialność kontraktującego za odpowiedni — w konkretnych okolicznościach — materiał sadzonkowy może się opierać na podstawie art. 471 i 474 k.c.

Kontraktujący, który dostarcza producentowi sadzonki drzew odmiany nie nadającej się do uprawy w danych warunkach klimatyczno-glebowych, nie może zwolnić się od odpowiedzialności za szkody wyrządzone nieudaniem się plantacji i w następstwie utratą dochodów z niej oraz poniesieniem kosztów jej założenia przez wykazanie, że w chwili dostarczenia sadzonek odmiana ta nie była jeszcze należyście zbadana. Okoliczność ta bowiem nie należy do tych, za które dłużnik nie ponosi odpowiedzialności (art. 471 w związku z art. 474 k.c.). Kontraktujący bowiem obowiązany jest dostarczyć plantatorowi tylko taki materiał uprawowy, którego przydatności jest

DOKONCZENIE NA STR. 8

pewny. Od odpowiedzialności tej nie zwalnia kontraktujący także okoliczność, że dostarczony producentowi materiał uprawowy otrzymał od sam od wytwórcy będącego wyspecjalizowaną jednostką, gdyż stosownie do przepisu art. 474 k.c. dłużnik ponosi odpowiedzialność za działania wszystkich osób, z pomocą których wykonuje swoje zobowiązanie. Sąd już we wcześniejszym orzeczeniu tego Sądu z dnia 31.VII.1969 r. I CR 190/79 (OSNCP 1970, z. 5, poz. 90) stwierdził, że rzeczą jednostki kontraktującej jest doświadczenie sprawności, przed uruchomieniem maszynowego przedsięwzięcia produkcyjnego, czy dana odmiana kontraktowanej rośliny na spodziewane plony w danym rejonie kraju ze względu na warunki glebowo-klimatyczne. W razie niewykonania tego jest ona obowiązana do wynagrodzenia producentom wynikłej w związku z tym szkody.

Z zasądzenia zaskarżonego wyroku nie wynika dostatecznie jasno, dlaczego Sąd Wojewódzki oddalił powództwo, jednakże najwidoczniej nie przypisał żadnego znaczenia faktowi dostarczenia powódce sadzonek odmiany „Karosor”, nie odpowiadającej warunkom klimatyczno-glebowym jej sadu, skoro zaś taki pogląd nie może się — stosownie do powyższych wyjaśnień — utrzymać, przeto zaskarżony wyrok ulega uchyleciu, a sprawa zostaje przekazana Sądowi Wojewódzkiemu do ponownego rozpoznania (art. 388 § 1 k.p.c.).

(...) W związku z poglądem Sądu Wojewódzkiego, że roszczenie powódki uległo przedawnieniu (art. 624 k.c.), należy stwierdzić, że przedawnienie nie nastąpiło. Stosownie do wymienionego przepisu bieg określonego w nim dwuletniego przedawnienia, gdy świadczenie producenta nie zostało spełnione, rozpoczyna się od dnia, w którym powinno było być spełnione. W niniejszej sprawie ustalenie tego dnia zależy od okresu, kiedy zasadzone przez powódkę drzewa powinny owocować. Według opinii biegłego inż. L. może się zdarzyć, że drzewa owocowe zaczynają owocować dopiero po upływie 10 lat od ich zasadzenia, mimo że w zasadzie powinny owocować już w 7-8 roku. Skoro więc sad został posadzony w 1967 r., a pozew wniesiony w sierpniu 1977 r., to nie można przyjąć, iż roszczenie powódki uległo przedawnieniu (...) zwłaszcza, że wypłacenie powódce przez pozwaną w 1976 r. częściowego odszkodowania z tego samego tytułu (38 800 zł) przerwało bieg przedawnienia (art. 123 § 1 pkt. 2 k.c.).

* Art. 624. § 1. Wzajemne roszczenia producenta i kontraktującego, przedawniają się z upływem lat dwóch od dnia spełnienia świadczenia przez producenta, a jeżeli świadczenie producenta nie zostało spełnione — od dnia, w którym powinno było być spełnione.

§ 2. Jeżeli świadczenie producenta było spełnione częściowo, przedawnienie biegnie od dnia, w którym zostało spełnione ostatnie świadczenie częściowe.

nowe przepisy i zarządzenia

REALIZACJA NPSG NA 1980 R.

W nr. 16 Monitora Polskiego opublikowana została pełna uchwała Sejmu z dnia 23 czerwca 1980 r. o zadaniach dotyczących realizacji narodowego planu społeczno-gospodarczego na 1980 r., niektórych w nim zmianach i potrzebie zwiększenia efektywności gospodarowania (poz. 74). Uchwała uznaje m.in. za niezbędne podjęcie przez wszystkie jednostki gospodarcze, administracyjne, organizacje społeczne i samorządowe aktywnych działań w celu rozwiązywania występujących trudności i eliminowania wpływu niekorzystnych warunków na rozwój gospodarki. W szczególności uchwała zaleca:

- 1) dążenie do uzyskania lepszej — od założonej w planie — efektywności gospodarowania, zwłaszcza przez: obniżenie kosztów produkcji, lepsze wykorzystanie czasu pracy, poprawę organizacji pracy oraz jakości wyrobów i usług, obniżenie materiałochłonności i importochłonności, wreszcie przez szersze wykorzystanie surowców wtórnych i odpadów;
- 2) uzyskanie dodatniego salda handlowego w sposób wskazany w uchwale;
- 3) wzmocnienie dyscypliny realizacji planu;
- 4) poprawę harmonizacji działalności gospodarczej.

W teście uchwały Sejm uznał za celowe dostosowanie — do aktualnych warunków — zadań i środków NPSG na 1980 r. dla poszczególnych dziedzin gospodarki i udzielił w tym zakresie odpowiednie upoważnienia dla Rady Ministrów.

Opracowała:
STANISŁAWA ZIELIŃSKA

O METODZIE EKONOMII POLITYCZNEJ SOCJALIZMU

SEWERYN ŻURAWICKI

Z AGADNIENIA metodologiczne poczynają we współczesnych rozważaniach ekonomicznych odgrywać coraz większą rolę, co jest w pełni zrozumiałe, jeśli uważać, że potrzeba wyartykułowania nowych kategorii i praw ekonomicznych odzwierciedlających zjawiska społeczno-gospodarcze doby współczesnej staje się coraz bardziej odczuwalną, nie wystarczającą już bowiem skądinąd słuszną stwierdzeniem, że w stare formy wlewa się nową treść, konieczne staje się zarówno dla celów teoretycznych, jak i dla praktycznych potrzeb sterowania gospodarką określenie związków i zależności tych pojęć, które mają orientować w rozważaniach i działaniach ekonomicznych.

Instytut Ekonomii Akademii Nauk ZSRR temu zadaniu wyszedł na przeciw, przygotowując kolektywnie pracę poświęconą metodzie ekonomii politycznej socjalizmu. Wychodząc z założenia, że ekonomia polityczna socjalizmu stanowi integralną część społeczną i historyczną nauki, jaką jest postulowana jeszcze przez Engelsa „ekonomia polityczna w szerokim tego słowa znaczeniu”, autorzy omawianej pracy spojrzeli na ekonomiczną problematykę socjalizmu retrospektywno-perspektywnie, na ekonomii polityczną socjalizmu patrząc więc, jak na nowy rozdział nie zamkniętej się nigdy księgi życia, w której rzeczywistość dopisuje stale nowe strony. Traktując rozwój gospodarczy jako nieustanny proces, niezależnie od znamionujących ten proces zygmatów, autorzy sygnalizowali procesy pokazujące i to, co stanowi kontynuację „starego”, i to, co stanowi kłótki „nowego”. W tym kontekście polemizują też z tymi pisarzami radzieckimi, którzy skłonni są uważać istnienie ekonomii politycznej z istnieniem stosunków towarowo-pieniężnych i skłonni są twierdzić, że wraz z obumarciem takowych zniknie zasadność ekonomii politycznej jako odrębnej nauki. Wbrew takim twierdzeniom, w omawianej pracy argumentuje się, że nawet zmniejszenie rudymetów towaru i pieniądza nie może spowodować zaniku dociekań na temat prawidłowości stosunków między ludzkich w procesie produkcji i realizacji potrzebujących ludzkich potrzeb. Zwraca się tu również uwagę na ważną z teoretycznego punktu widzenia okoliczność, że socjalizm jest tylko pierwszą fazą komunistycznej formacji społeczno-gospodarczej, kategorii i prawa ekonomiczne, które staramy się dziś wyartykułować w złączkowej lub rozwiniętej postaci, charakteryzować muszą nie tylko dzisiejszy historyczny odcinek rozwoju, ale odzwierciedlać również i kształtujące się jutro. Nie jest to na pewno sprawa łatwa w warunkach ścierania się „starego” i „nowego”, tym większa zastęga autorów, że

problem kategorii i praw ekonomicznych ujmują dynamicznie, a nie statycznie, a więc prospektywnie.

Zwraca się tu uwagę na konieczność podchodzenia do zjawisk ekonomicznych w warunkach budujących się rozwiniętego socjalizmu w sposób globalny, a więc kątem widzenia ogólnonarodowego interesu. Z tego wyciągają słuszny wniosek, że kategorie ekonomiczne socjalizmu muszą odzwierciedlać stosunki bezpośrednio społeczne. Dotyczy to oczywiście i kategorii wyjściowej, która jak w soczewce skupiałyby wszystkie komponenty kolektywne gospodarki socjalizmu. Byłaby to kategoria, która jak pojęcie „towaru” dla formacji kapitalistycznej ogniskowałaby w sobie kwintesencję stosunków społeczno-gospodarczych. Jakkolwiek autorzy nie wypowiadają się expressis verbis, jaką właśnie kategorię należałoby w socjalizmie uważać za wyjściową, to jednak uważają, że próby przyjęcia za taką kategorię własności socjalistycznej czy też planowania noszą jednostronny charakter i że należy szukać bardziej wszechobjęmej kategorii, która spełniałaby podstawowy warunek wyrażania tego co najbardziej wspólne dla całej formacji komunistycznej, a nie tylko dla jej pierwszej fazy — socjalizmu, która wyrażałaby w sposób wszechstronny kolektywistyczny charakter więzi społeczno-gospodarczych i która by w złączkowej postaci eksponowała to wszystko, co cechuje dynamikę rozwoju kolektywnej formy współdziałania w warunkach decentralizacji.

Podkreślono bardzo silnie konieczność symbolizacji analizy jakościowej i ilościowej w rozważaniach dotyczących problematyki ekonomicznej socjalizmu, wskazując, że kwantyfikacja zjawisk ekonomicznych nie oparta na solidnej znajomości jakościowych aspektów życia gospodarczego musi zawieść w próżnię. Wielką wagę przywiązuje się tu również do badania dynamiki rozwoju poprzez analizę kształtowania się nieantagonistycznych sprzeczności gospodarki socjalistycznej, jako decydujących czynników gospodarczej dynamiki. Społeczny kontekst gospodarowania jest tu stale silnie eksponowany. Warto też podkreślić nieszaoblonowe podejście autorów w ujmowaniu wzajemnych relacji między obiektywnymi i subiektywnymi czynnikami w działalności gospodarczej w warunkach rozwiniętego socjalizmu, w których przeciwieństwem stosunek polityki i ekonomii odgrywa tak wielką historyczną rolę. Jakkolwiek w omawianej książce rola świadomości społecznej nie jest odrębnie omawiana, to jednak autorzy przywiązują dużą wagę do analizy ludzkich zachowań i motywacji w działalności ekonomicznej w warunkach socjalistycznych, zwracając uwagę na

rolę potrzeb i interesów i ich koordynacji.

Bardzo dużo miejsca w omawianej książce zajęły omówienia sposobów stosowania dialektycznej logiki w dociekania ekonomicznych nad gospodarką socjalistyczną. Idąc konsekwentnie tropami klasyków marksizmu, podkreśla się tu, że procesy rozwojowe nie noszą liniowego charakteru, że i w warunkach rozwiniętego socjalizmu trzeba badać tendencje i przeciw tendencje i ich wzajemne ścieranie się, że tylko genetyczne spojrzenie na zjawiska ekonomiczne może prowadzić do właściwej analizy i syntezy badanych zjawisk, dostarczyć poprawnej diagnozy i umożliwić prognozę wskazującą obiektywne możliwości działania.

Książka przypomina, że sposób dociekań i sposób prezentacji wyników tych dociekań nie muszą być identyczne, ale droga wiedząca od oglądu do abstrakcji i od abstrakcji do konkretnu musi w prezentacji wyników znaleźć pełne odzwierciedlenie logiczne.

Wiele miejsca poświęcono też omówieniu sposobów wykorzystania matematyki i statystyki w badaniach ekonomicznych, przy czym potraktowano metody matematyczne i statystyczne jako „interdyscyplinarne”. Rozważano też możliwość stosowania w dociekania ekonomicznych dotyczących gospodarki socjalistycznej analiz strukturalnych, przy czym autorzy wychodzą z założenia, że gospodarkę socjalistyczną należy rozpatrywać równocześnie w trzech płaszczyznach — technicznej, społecznej i planistyczno-organizacyjnej. W pierwszej płaszczyźnie należy uchwycić zmienną dla etapu socjalizmu stosunek człowieka do przyrody, w drugiej nieprawidłowości zmienną socjalistyczne stosunki między ludzkimi w procesie produkcji, podziału, wymiany i konsumpcji, w trzeciej zaś ustalić powiązania o charakterze instytucjonalnym, o ile te powiązania mają związek z zarządzaniem gospodarką. Te trzy płaszczyzny nie powinny jednak być traktowane niezależnie od siebie, lecz przeciwnie — w ścisłym powiązaniu ze sobą.

Osobne miejsce autorzy poświęcili matematycznemu modelowaniu, które jest możliwością wykorzystania cybernetyki w rozważaniach ekonomicznych dotyczących gospodarki socjalistycznej przyciągającą uwagę w omawianych rozważaniach. Pomiędzy rozważaniami o charakterze epistemologicznym i metodologicznym a rozważaniami dotyczącymi konkretnych metod i technik badawczych zarysowała się w omawianej pracy spora dysproporcja, bowiem technikom badawczym i ich zwartościowaniu poświęcono znacznie mniej uwagi, a szkoda, bo właśnie tu zaczyna się szereg kontrowersyjnych proble-

mów. Nie ma oczywiście powodu protestować przeciwko stosowaniu w rozważaniach ekonomicznych, ściśle makroekonomicznych, matematycznych — nawet skomplikowanych — algorytmów, bezsensu byłoby nie uznawać wagi statystyki czy nawet cybernetyki w dociekania ekonomicznych, ale już dyskusyjna staje się sprawa, gdy wchodzimy na teren matematycznego modelowania zjawisk i procesów ekonomicznych w socjalizmie (autorzy odnoszą się do tych prób pozytywnie). Wydaje się, że ta część wywodów wymagałaby szerszego uargumentowania.

Na marginesie tej niewątpliwie nader zapadającej pracy nasuwają się rozliczne refleksje. Jedne z czynników, które będą niewątpliwie determinowały, również w sferze gospodarczej, zachowanie się ludzi, to zagrożenie ekologiczne i walka o pokój. W tej sytuacji czynniki biogenne, psychogenne i socjogenne będą coraz bardziej wpływać na działalność gospodarczą; w jakim stopniu jesteśmy przygotowani — jako ekonomiści — do prawidłowej odpowiedzi na to wyzwanie? Na drodze do decentralizacji i do pełnej humanizacji stosunków między ludzkimi, komunizm nie sposób ominąć, czy się to komuś podoba, czy też nie.

Marks wskazywał, że „Komunizm nie jest dla nas stanem, który ma być wprowadzony, nie idealem, którym rzeczywistość będzie musiała się kierować. My nazywamy komunizmem ten ruch realny, który znosi stan dzisiejszy. Warunki tego ruchu wynikają z obecnie istniejącego założenia” (Karol Marks, Fryderyk Engels: Wybrane pisma filozoficzne, 1844—1846, Warszawa 1949 — s. 67). I ta ocena pozostaje w pełni słuszna, ale Marks nie był prorokiem i nie podejmował się myśleć za nas, jakie możliwości otwierają się przed nami w dobie współczesnej, i to jak te możliwości wykorzystywać, rozstrzygnąć musimy sami.

Nie jest to jednak możliwe bez rozwinięcia teorii, bo bez teorii praktyka jest ślepa (jak i bez praktyki teoria staje się jałową). Książka, którą omawiamy toruje drogę rozwoju ekonomii politycznej socjalizmu i w tym oczywista jej wyrazna wartość. Jak każda jednak praca mająca ambicję wytyczenia nowych szlaków nie ogarnia ona wszystkich nurtujących nas dzisiaj problemów natury zarówno poznawczej, jak i metodologicznej (o czym autorzy lojalnie sami we wstępie powiadomili). Wydaje się więc, że w tym kontekście może warto zwrócić uwagę polskiego czytelnika tej książki (a do przeczytania gorąco zachęcam!) na kilka zagadnień metodologicznych, które umknęły z pola widzenia autorów „Metody ekonomii politycznej socjalizmu”. Niewątpliwie oni indywidualizm metodologiczny, ani holizm jako podejście do analizy zjawisk ekonomicznych w warunkach socjalizmu nie mogą stanowić podstawy rozważań, jedynym narzędziem właściwym jest tu metoda dialektyczno-historyczna, ale metoda dialektyczna to ujęcie grosso modo, jak ją ukonkretnić (autorzy sami podkreślają taką potrzebę), to problem otwarty, trudno byłoby podjąć ten ważki temat na marginesie omawiania tej interesującej pracy, konieczne jest jednak jego zasygnalizowanie.

Wydaje się też, że wyraźnie rozgraniczenie metod dociekań oraz techniki

nik badawczych, a więc odgraniczenie ars inveniendi od ars operandi, pozwoliłoby uniknąć autorom omawianej pracy wewnętrznej antynomii, która ujawnia się przy czytaniu tej pracy, a która polega na tym, że, z jednej strony, autorzy słusznie podkreślają, iż metoda dociekań musi pozostawać w ścisłej symbiozie z przedmiotem dociekań, a jednocześnie propagują stosowanie metod interdyscyplinarnych, potraktowanie tych ostatnich jak technik (ars operandi) zniosłoby tę antynomię, która ma nie tylko semantyczny wyźwięk, chociażby z tej racji, że w literaturze zachodniej zarówno metody, jak i techniki badawcze traktuje się często instrumentalnie. Sądząc też, że w dociekania ekonomicznych socjalizmu o charakterze metodologicznym konieczne jest przeprowadzenie dogłębnej krytyki współczesnych metod badawczych proponowanych przez metodologów orientacji niemarksiowskiej, jeśli chcemy zapobiec temu, by twórcy marksizm nie spełnił na pozycje eklektyczne. Tym bardziej, że nie wystarczy co w zakresie metod dociekań powiedział Crnapp, Popper, Lakatos czy Feyerabend jest czystym narsensem, dorównać Marksowi czy Leninowi jako genialnym myślicielom nie jest nam wyszczególnionym łatwem, ale opierając się na dyrektywach metodologicznych klasyków powinniśmy, a co ważniejsze możemy właśnie w krytycznej konfrontacji z współczesnymi niemarksiowskimi metodologami, posunąć zarówno nasze ars inveniendi, jak i ars operandi naprzód. Jeśli prawda jest, że myśl ekonomiczna na Zachodzie przeżywa głęboki kryzys, to nie zapominajmy również, że i my drepniemy w zakresie dociekań ekonomicznych w miejscu, żyjemy się życiowymi sokami myśli Marksa, Engelsa, czy Lenina, ale sami nie urosłymi zbyt wiele nowego. Nie jest więc przypadkiem, że problematyka metodologiczna wysuwa się coraz bardziej na czoło w dobie współczesnej, od rozwiniętych metodologicznych zależeć będzie przecież w dużym stopniu, jak szybko pójdzie naprzód rozwój ekonomii socjalizmu. Współczesna literatura ekonomiczna reprezentuje bogate zrzepce faktograficzne, doświadczenia budującego się i rozwiniętego socjalizmu są dziś bogate, idzie jednak o to, by w oparciu o ten materiał, w oparciu o prawidłową metodę dociekań i technikę badań istniejących zasób wiedzy o gospodarce socjalistycznej przekształcić w teorię ekonomiczną formacji komunistycznej, teorię tej miary jaką dla kapitalizmu zostawił Karol Marks. Ekonomia, jako nauka staje w obliczu szeregu nowych zadań, jeśli ekonomia socjalizmu nie ma przedsięwziąć się w czysto prakseologiczną teorię gospodarowania czy też w jakąś inżynierię socjalną, lecz pozostać nauką o stosunkach między ludzkich, socjologią życia gospodarczego, badającą prawa rozwoju, to nie może ona stać w miejscu, lecz musi rozwijać się. Autorzy omawianej książki dotykają tych problemów, ale nie rozwijają ich w dostatecznej mierze, zastępując ich jednakże pozostaniem, że problematyka teoretyczna ożywiła tak bardzo zainteresowanie w literaturze radzieckiej lat dwudziestych i trzydziestych.

* „Metod politycznej ekonomii socjalizmu”. Red. W.N. Czerkaszew i A.A. Siegiejew, Moskwa 1980, Nauka, s. 374.

szko dwukrotnie wyższego udziału w światowej produkcji przemysłowej. Natomiast prawdą trudną do podważenia jest, że wiedza o naszym potencjale i możliwościach produkcyjnych wciąż jest w świecie mizerna, niepełna, fragmentaryczna. Toteż retelnej informacji, służącej wzbogaceniu naszego wyobrażenia o oczach zagranicy i sprzyjającej współpracy gospodarczej i handlowej Polski z innymi krajami, nie będzie za dużo. Takich informacji, dokładnych, rzeczowych, konkretnych dostarcza „Leksykon” i w tym tkwi jego główny walor.

(L)

* „Leksykon polskiej produkcji eksportowej”. Wydawca: Polska Izba Handlu Zagranicznego. Leksykon będzie sprzedawany w księgarniach „Domu Książki” w kraju po 600 zł. „Ars Polona” będzie prowadził sprzedaż zagranicą tego wydawnictwa.

VADEMECUM PRODUKCJI EKSPORTOWEJ

LEKSYKON

polskiej produkcji eksportowej

SPRAVOCNIK
польской экспортной продукции
DIREKTORY
Polska Izba Handlu Zagranicznego
ПОЛЬСКАЯ ВНЕШНЕТОРГОВАЯ ПАЛАТА
POLISH CHAMBER OF FOREIGN TRADE

P O raz pierwszy w naszym kraju ukazał się „Leksykon polskiej produkcji eksportowej”. Zawiera on dane o 3,5 tysiącu krajowych jednostek gospodarczych biorących udział w obrocie międzynarodowym, ich nazwy, adresy, telefony, zakres oferowanych towarów lub usług, informacje o przedsiębiorstwach handlu zagranicznego zajmujących się eksportem.

Bardzo starannie przygotowany i wydany przez Polską Izbę Handlu Zagranicznego „Leksykon” stanowi potrzebny przewodnik po polskiej gospodarce, przeznaczony przede wszystkim dla naszych partnerów z zagranicy, którzy często uskarżają się na brak informacji z kim, gdzie i kiedy rozmawiać, od kogo co zależeć, kto czy czym zajmuje, kto co produkuje, a kto tym produk-

tem handluje itd. Wydaje się, że „Leksykon”, dający dość wyczerpujący zestaw danych, w języku polskim, rosyjskim i angielskim, okaże się pomocny w wypełnianiu tej luki informacyjnej. Zawiera on także obszerny dział zapoznający z polskimi przedsiębiorstwami oferującymi usługi z dziedziny projektowania, budownictwa, transportu, ochrony prawnej, reklamy itp.

Inserty polskich przedsiębiorstw przemysłowych uszeregowane są według Brukselskiej Nomenklatury Towarowej, co powinno ułatwiać partnerom zagranicznym korzystanie z tego wydawnictwa.

Choć przygotowany głównie z myślą o kontrahentach obcych, „Lek-

sykon” może stanowić cenne źródło informacji również dla naszych producentów i handlowców. Może być choćby wykorzystany przez służby zaopatrzenia przemysłu krajowego, a także przy poszukiwaniu potencjalnych producentów towarów dotąd u nas nie wytwarzanych, a na które jest zapotrzebowanie w kraju bądź za granicą.

Jak pisał w przedmowie wydawcy, przygotowanie „Leksykonu” „zrodziło się z świadomości, iż istnieje wyraźna dysproporcja między znacznym już udziałem polskiej gospodarki w światowej produkcji i jej udziałem w światowej produkcji”. Teza o znacznym udziale gospodarki polskiej w międzynarodowym podziale pracy wydaje się mocno wątpliwą, zważywszy, że nasz udział w światowym eksporcie wynosi zaledwie 1,04 proc. wobec prze-

nowości wydawnicze

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO EKONOMICZNE

„POZNANSKIE ROCZNIKI EKONOMICZNE”. T. 29. Za lata 1977—1978, s. 284, 2 tabl., zł 66.—

Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Wydział Historii i Nauk Społecznych.

WYDAWNICTWO MORSKIE

ANDRZEJ STRABURZYŃSKI — „U-PAWNIENIA PAŃSTW NADBRZEŻNYCH W DZIEDZINIE EKSPLOATACJI ZASOBÓW MORZA”. s. 232, il., zł 40.—

Autor przedstawia funkcjonalne i neofunkcjonalne ujęcie uprawnień państw nadbrzeżnych w zakresie jego eksploatacji. W or 2 omawia kształtowanie się nowej koncepcji strefy ekonomicznej oraz uprawnień w zakresie połowów w granicach strefy ekonomicznej i poza nią.

„KSIĄŻKA I WIEDZA”

KAZIMIERZ KOSSORUDZKI — „INFORMACJA W ZAKŁADZIE PRACY”. s. 71, zł 8.— Seria ze sternikiem.

Publikacja jest próbą metodycznego wyjaśnienia i ujęcia wybranych problemów związanych z działalnością informacyjną w zakładzie pracy. Adresowana jest przede wszystkim do aktywnie społeczno-gospodarczo przedsiębiorstw. Służyć ma wyrażeniu świadomości o sobie problemów związanych z informacją wewnątrzzakładową przed tymi wszystkimi, którzy kierują całokształtem życia społeczno-gospodarczego socjalistycznego zakładu pracy.

OSSOLINEUM

„PRAWO MIĘDZYNARODOWE A PRAWO WNEĘTRZNE W ŚWIELE DOŚWIADCZEŃ PAŃSTW SOCJALISTYCZNYCH”. Materiały naukowej konferencji międzynarodowej w Warszawie, w październiku 1977 roku, s. 196, zł 36.— PAN. Inst. Państwa i Prawa

Książka zawiera 12 prac naukowych — prawników z Polski, ZSRR, Bułgarii, NRD, Rumunii i Czechosłowacji, których celem było przede wszystkim porównawcze skonfrontowanie praktyki i doktryny w poszczególnych krajach RWPG w kwestii miejsca norm międzynarodowych w wewnętrznych przypadkach prawnych.

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA

WŁODZIMIERZ ULICKI — „PARTIA A SEJM W PRL”. s. 192, zł 25.— Fakty, Opinie, Komentarze

Praca stanowi próbę ukazania mechanizmu wpływu ZPPR na działalność Sejmu PRL na szerszym tle systemu realizacji idei przewodniej roli partii. Omówiono rolę ZPPR w stworzeniu podstawowego „szkieletu” w tym modelu najwyższego organu przedstawicielskiego, sposób odzwierciedlenia tego modelu w konstytucji oraz wpływ partii na kształtowanie pozycji i roli polityczno-ustrojowej Sejmu.

INSTYTUT WYDAWNICZY CRZZ

DANUTA DOBROWOLSKA — „PRACA W ZYCIE CZŁOWIEKA”. s. 232, zł 32.— Celem pracy jest charakterystyka różnych aspektów roli, jaką praca odgrywa w życiu człowieka. Autor zajmują się głównie zjawiskiem pracy z systemami wartości, działań i stosunków społecznych człowieka oraz z jego położeniem

materialnym, pozycją społeczną, kulturalną i system życia.

MARIA GRAJA TROTZKI — „PROBLEMY MORALNE PRAWA DO PRACY”. s. 166, zł 25.—

Autor rozważa problem wzajemnych zależności między prawem do pracy a moralnym obowiązkiem pracy w rozwiniętym społeczeństwie socjalistycznym. Ukazuje niektóre kierunki polityki państwa, zmierzające do kształtowania poczucia osobistej odpowiedzialności obywatela za wykonywaną pracę.

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

ZYGMUNT BRONIAK — „OD KIS-SINGHIA DO BRZEZIŃSKIEGO”. s. 392, zł 40.—

Książka znanego dziennikarza i publicysty, wieloletniego korespondenta w USA przedstawia główne osobistości polityczne Stanów Zjednoczonych i ukazuje ich wpływ na kształt polityki zagranicznej w ostatnich dziesięcioleciach. Temat ten — „Zmiana w sferze kształtowania stosunków międzynarodowych. Interakcja form, bogata w fakty, ubarwiona anegdotą i osobistymi wspomnieniami.

WYDAWNICTWA KOMUNIKACJI I ŁĄCZNOŚCI

WITOLD RYCHTER — „DOSWIADCZENIE KIEROWCA RADZI”. Wyd. 3, s. 520, il., zł 80.— Biblioteka Kierowcy A-matora.

Autor wykorzystując swoje 60-letnie doświadczenia udziału cennych wskazówek i rad początkującym i zaawansowanym kierowcom. Dotyczy one zagadnień związanych z prowadzeniem samochodu i kulturą jazdy, obejmują sprawy proste, jak jazda po prostej poza miastem i sprawy trudniejsze, jak prowadzenie samochodu w warunkach specjalnych.

FRANCISZEK STAWISZYŃSKI — „NIEODMAĞANIA SAMOCHODOWY”. Wyd. 7, s. 480, il., zł 110.—

Podstawowe wiadomości o typowych niedomaganiach w działaniu zespołów i mechanizmów samochodów. Omówienie przyczyn i okoliczności eksploatacyjnych i przedowych, które prowadzą do najczęściej występujących usterek poszczególnych mechanizmów i wyposażenia samochodu. Wskazówki do wykrywania powodów nieprawidłowości i zalecenia dotyczące sposobów usuwania niedomag.

LICZĄ NA WŁASNĄ ZARADNOŚĆ

ALEKSANDER JĘDRZEJCZAK

O efektywności mówi się dziś na Węgrzech nie mniej niż u nas. Znaczną jej poprawę uchwala XII Zjazd WSPR wskazując jako główne zadanie w dziedzinie gospodarki, a przedtem już podjęto decyzje wymuszające wyraźny zwrot w tym kierunku.

W ZECZ jasna, efektywność nie pojawiła się w węgierskim powszechnym słowniku gospodarczym w dnach zjazdu. Pojęcie to nie było działaczom obce ani w okresie pierwszego planu pięcioletniego, kiedy to zamierzano przekształcić Węgry w kraj żelaza i stali, ani w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, kiedy zaczęto, najpierw w rolnictwie, zastępować nakazy regulatorami ekonomicznymi, ani dziesięć lat później, kiedy wprowadzono reformę w całej już gospodarce. Chętnie się nim też posługiwano w tak zwanym „złotym okresie” gospodarczego rozwoju, przerwanym eksplozją cen na rynkach światowych w roku 1973.

I, oczywiście, byłoby rzeczą ciekawą prześledzić zmienne koleje rangi, jaką w ciągu lat trzydziestu przyznawano efektywności w gospodarce bratniego kraju. Niestety, w niniejszej relacji muszę się zadowolić czymś nieporównanie skromniejszym. Korzystając z okazji, jaką grupie polskich dziennikarzy stworzyło zaproszenie węgierskiego MSZ, mogę co najwyżej naszkicować grubą kreską parę przedsięwzięć związanych z poprawą efektywności, stwierdzenia zawarte w oficjalnych dokumentach przytaczając bardziej osobistej oceny i poglądami działaczy gospodarczych.

Trochę późno — lecz skutecznie

Do roku 1973 gospodarka Węgier nie miała poważniejszych problemów. Reforma z roku 1968 uchwalała szybki rozwój, ceny na rynkach światowych układały się pomyślnie, towary eksportowane do krajów niesocialistycznych drożały szybciej niż sprowadzane surowce — te lata właśnie nazywa się „złotym okresem”. Dodatni bilans handlowy, także w obrotach z krajami kapitalistycznymi, wskazuje że nie było to określenie przesadne. Perspektywy na lata następne też rysowały się jak najlepiej.

W 1973 sytuacja zaczęła się zmieniać, niekorzystnie a szybko. Gwałtowny wzrost cen na ropę naftową, inne surowce odwrócił korzystne dotąd terms of trade. W kraju, który połowę swojego dochodu narodowego realizuje przez międzynarodową wymianę towarową, a na dodatek nie posiada zbyt dużych bogactw naturalnych, odwrócenie się cenowych relacji musiało przynieść szybko niekorzystne zmiany. Obszernych, wyzerujących udokumentowanych publikacji na ten temat, także u nas, ogłoszono już wiele. Myślę, że zamiast wielu liczb mogę tu przytoczyć nieszablony opinii jednego z węgierskich działaczy gospodarczych:

„Niekorzystne zmiany zauważyliśmy wcześniej. Wcześniej też zaczęliśmy o nich mówić. Ale, też tylko tyle. Działania mogące poprawić niekorzystnie zmieniającą się sytuację podjęliśmy w połowie lat siedemdziesiątych. Za późno, jakbyśmy zapóźnili trochę. Dlaczego tak? Jest w aparacie gospodarczym, jak w każdym, pewien bezwład, pewne wygodnictwo, przywiązanie do raz wypracowanych zasad i metod. Przesypianiu nasilających się trudności sprzyjała też kiepska teoria, nie wiedzieć z czego wyrosłe przekonanie, że inflacja postępująca w krajach kapitalistycznych zatrzyma się na węgierskiej granicy. Polityce gospodarczej tych lat jakby się udzielały te nastroje i poglądy. Ufając, że inflacja zatrzyma się na granicy, próbowano wzrost cen krajowych powstrzymać, udostępniając przedsiębiorstwom surowce, także surowce importowane, po cenach starych, starych — rozbudowano system dopłat i dotacji. Skutki takiego postępowania objawiły się szybko. Handel zagraniczny zaczął wykazywać ujemne saldo, a co gorsza wyraźny trend do pogłębiania się deficytu. Zgubiliśmy orientację, co z danych surowców oplać się wytworzyć, a co nie. W 1975 tempo wzrostu ujemnego salda płatniczego znacznie się przyspieszyło, deficyt sięgnął 35 miliardów forintów (ok. 1,2 mld dolarów), odsetki od kredytów zaczęły pochłaniać coraz większą część dochodu narodowego”.

Wtedy też uznano: dalej tak nie można. Postanowiono: — nie zwracać przedsiębiorstwom wszystkich strat z tytułu wzrostu kosztów, zwłaszcza surowcowych, tj. obniżyć dotacje; — przejść z układu cen opartych na krajowych kosztach produkcji na ceny odpowiadające relacjom na rynku światowym.

W praktyce, wtedy jeszcze nie wygładało to ani tak twardo, ani tak prosto jak to mogą sugerować sprowadzone do dwóch punktów zasady. Obok przemysłu i rolnictwa, którym kazano się potykać z konkurencją na rynku światowym, zachowano pewne strefy chronione, obejmujące głównie niektóre rodzaje usług. Dotacje przykrócono, ale nie zlikwidowano ich zupełnie. Ekonomiczne regulatory gospodarki węgierskiej zmieniały się dość często, nie mogąc poświęcić zbyt wiele miejsca obowiązującym przed paroma laty. Sensowniej będzie nieco szerzej omówić wprowadzane w ostatnim czasie.

Tymczasem, powiedzmy — pociągając oparte na streszczonych wyżej zasadach przyniosły szybko liczące się rezultaty. Na rok 1979 przewidywano ujemne saldo handlu zagranicznego w wysokości 600 milionów dolarów. Takie samo, jakie przewidywano na rok 1978. O ile jednak w 1973 planowaną wielkość deficytu przekroczone o połowę, to w roku 1979 bilans płatniczy zamknięto niedoborem 360 milionów dolarów. A był to przecież rok suszy, rok nieurodzaju. Zbiory dużo mniejsze niż normalnie spowodowały ograniczenie eksportu żywności o 30 procent w stosunku do lat poprzednich. Zmniejszenie z tego tytułu wpływy szacuje się na 200 milionów dolarów. Gdyby w roku 1979 eksport żywności było można utrzymać na normalnym poziomie, ujemne saldo nie wyniosłoby więcej niż 150 milionów dolarów. W roku 1975 handlowy deficyt wynosił miliard dwieście milionów dolarów.

Szkic nowych zasad i pociągnięć praktycznych

Kierunki zmian w koncepcji rozwoju gospodarczego wytyczył XI Zjazd WSPR w roku 1975. Do prac nad przygotowaniem konkretnego projektu wciągnięto szerokie grono specjalistów. Jedną z podstawowych wytycznych było znalezienie dla gospodarki węgierskiej właściwego miejsca w międzynarodowym podziale pracy. Przygotowany w ten sposób projekt zmian został uchwalony przez plenum Komitetu Centralnego WSPR w październiku 1977 roku. Szeroko pojmowana efektywność przyjęta została w tej uchwale za podstawowy miernik działalności gospodarczej. Uwzględniając rolę powiązania z rynkiem światowym, uznano w tej uchwale, że efektywności gospodarczej nie można mierzyć nie uwzględniając konkurencyjności produktów węgierskiego przemysłu i rolnictwa na rynku międzynarodowym. Cały program zresztą oparty został na syntezie wymagań rynku światowego i możliwości rodzimej gospodarki.

I znów ciekawe by było prześledzić, jaką rangę w kolejnych dokumentach przyznaje się poszczególным zasadom nowej koncepcji rozwoju. Wymagałoby to jednak traktatu przerażającego długości tygodnika. Przytoczę więc tylko dwa, dotyczące tych spraw fragmenty uchwały XII Zjazdu WSPR:

„Nasza polityka gospodarcza bierze pod uwagę zarówno prawidłowości budownictwa socjalistycznego, jak też i warunki kraju. Bazując na społecznej własności środków produkcji i socjalistycznej gospodarce planowej liczy się również z tym, że stosunki towarowe, pieniężne i ryn-

kowe są organiczną częścią socjalistycznego życia gospodarczego. Wychodząc z tego założenia rozwijać będziemy sprawdzony już system sterowania gospodarczego, metod planowania i regulowania oraz organizację instytucji kierowania gospodarczego i jednostek produkcyjnych. Podstawowym zadaniem jest jednocześnie umacnianie zarówno kierownictwa centralnego, jak też samodzielności i inicjatywności przedsiębiorstw i spółdzielni”.

(...)

„Ważnym warunkiem rozwoju gospodarczego jest to, by system cen dopiingował do racjonalnego gospodarowania, podejmowania słusznych decyzji oraz uzasadnionego spożycia. Ceny produkcyjne powinny lepiej odzwierciedlać zmiany cen na rynkach światowych, inspirować do zwiększania efektywności, rozwoju technicznego, poprawy jakości i oszczędności. Ruch cen produkcyjnych będzie także i w przyszłości wywierał wpływ na kształtowanie się cen detalicznych, gdyż nie mogą być one na dłuższą metę od siebie niezależne. Ceny podstawowych artykułów konsumpcyjnych i usług powinny być w dalszym ciągu regulowane centralnie, odpowiednio do kształtowania się polityki podnoszenia stopy życiowej. Przez poprawę kontroli państwowej i społecznej należy zapobiegać nieuzasadnionym podwyżkom cen oraz jakiegokolwiek działaniom na szkodę konsumenta”.

A oto próbka praktycznej wykładni zasad zawartych w uchwale XII Zjazdu WSPR (oparta na opracowaniu L. Horvátha „Regulatory ekonomiczne w 1980 roku”):

Od początku bieżącego roku organizacje gospodarcze pracują na podstawie nowego systemu regulatorów ekonomicznych, wprowadzających większe, bardziej istotne niż zazwyczaj zmiany w zakresie dotyczącym przedsiębiorstw. Za najważniejszy wymóg regulacji możemy uznać normatywność. Doświadczenia wskazują, że uchybienie tej zasadzie przemienia elastyczny, pośredni system zarządzania w utajoną formę systemu zarządzania bezpośredniego. Jednakże zasada normatywności nie może sama w sobie być zbyt satysfakcjonująca, nie może być zbyt surowa, nie może zakładać, że ten sam przepis jest jednakowo dobry w odniesieniu do energetyki, przedsiębiorstw komunalnych, przemysłu przetwórczego i rolnictwa. Tak więc normatywność musi uznać te różnice, które wynikają ze specyfiki branż — ale też tylko te.

Na podstawie tych założeń zasadę normatywności można opisać następująco: — zainteresowanie wiąże się z zyskiem, — opiera się ono na systemie cen, właściwie odzwierciedlającym organiczne powiązanie cen krajowych z cenami na rynkach zagranicznych oraz ich stałe zmiany, — przepisy dotyczące regulacji dochodów, wynagrodzeń, finansowania rozwoju itp. obowiązują organizacje gospodarcze jednolicie i stosunkowo trwale, — uwzględniając specyfikę działalności, z góry ustalamy, w których dziedzinach chcemy wprowadzić zainteresowanie zyskiem w formie innej niż dotychczas,

— określamy i ustalamy — w zakresie znacznie większym niż dotych-

Korespondencja własna

czas — te dziedziny działalności gospodarczej, w których nie można stosować zainteresowania zyskiem.

Powyższy opis nie jest dokładną definicją, ale daje dostatecznie jasne informacje przydatne w gospodarczej praktyce. Należy zaznaczyć, że normatywność musi być realizowana przede wszystkim w systemie cen — jest to warunek niezbędny, aby i pozostałe elementy regulacyjne były także normatywnymi.

Komunikat o modyfikacji systemu regulatorów ekonomicznych ukazał się już we wrześniu 1979, konkretnie zarządzenia wykonawcze w listopadzie. Główną myśl koncepcji na lata osiemdziesiąte stanowiła zmiana systemu cen i mechanizmu cen. Zmiany poprzedzone zostały gruntownymi pracami przygotowawczymi komisji roboczej powołanej przez KC WSPR. Komisja zaproponowała wprowadzenie elastycznego systemu cen, rozumiejąc przez to także bardziej elastyczne kształtowanie cen detalicznych w powiązaniu z ruchami cen produkcyjnych. Wśród propozycji zgłoszonych konieczność zbliżenia relacji cen krajowych do cen na rynku międzynarodowym. Komisja zaproponowała dwupoziomowy system cen polegający na tym, że pomiędzy cenami produkcyjnymi i detalicznymi wbudowany zostaje podatek obrotowy, a ceny produkcyjne uwalnia się od takich elementów jak podatek od zaangażowania środków i podatek od wynagrodzeń.

Wprowadzony w roku 1980 system cen i przeprowadzona w połowie roku 1979 regulacja cen detalicznych opierały się już głównie na tych zasadach, chociaż w praktyce wystąpiły pewne odchylenia. Ceny np. nośników energii i surowców wzrosły szybciej niż przewidywano i odpowiednio do tego ceny produkcyjne ukształtowały się na poziomie wyższym. Szybciej i w większej mierze, niż proponowała komisja, proporcje cen krajowych zbliżyły się do relacji cen na rynku światowym — zmusiła do tego sytuacja w zakresie równowagi gospodarczej.

Najważniejszą zmianą nastąpiła w tak zwanej sferze kompetetywnej. Ceny około 70 proc. przemysłu przetwórczego zostały dostosowane do cen eksportowych, które można osiągać na rynkach światowych. W przypadku osiągnięcia takich cen, zysk realizowany w sprzedaży sygnalizuje, w jakiej mierze efektywność zbliżona jest do efektywności osiągniętej przez konkurentów. Ponieważ w wielu przypadkach faktycznie osiągnięte ceny są niższe, przy sztywnym stosowaniu tej zasady znaczna część przedsiębiorstw stałaby się nierentowna. Wprowadzono więc pewną korektę, pewien przejściowy kompromis, stwarzający organizacjom gospodarczym okres tolerancji — muszą one jednak tak zmienić strukturę produkcji, działalność marketingową i tak zmniejszyć swoje koszty, aby w okresie 4—5 lat sprostać nowym wymaganiom, wypracować zyski i tworzyć swoje fundusze zainteresowania.

Ceny surowców są cenami wolnymi i zmieniają się odpowiednio do zmian cen na rynku światowym. Z tym tylko, że „odfiltrowuje” się skutki krótkoterminowych skoków cen powodowanych głównie spekulacją.

W sferze niekompetetywnej ceny można tworzyć proporcjonalnie do nakładów, z tym jednak zastrzeże-

niem, że nie mogą one uwzględniać kosztów powstających z powodu mało efektywnej działalności przedsiębiorstwa — muszą być dostosowane do poziomu cen organizacji dobrze pracujących w danej branży.

Ceny detaliczne zostały dostosowane do zmian cen produkcyjnych; ze względu na interes społeczny w dalszym ciągu wspiera się dotacjami niektóre towary powszechnego użytku, ale ilość tych towarów znacznie zmalała.

Na wszelki wypadek raz jeszcze zaznaczam, że przedstawiłem tu skróty tylko jedną próbkę aktualnych regulatorów ekonomicznych, wybraną według osobistych zainteresowań. Inne przedsięwzięcia w nieco innym kontekście.

Najważniejsze: zrównoważyć bilans

Według oceny powtarzanej zgodnie na wszystkich szczeblach zarządzania, węgierskim problemem gospodarczym numer jeden jest ujemne saldo handlu zagranicznego. Spłaty długów i odsetki od kredytów pochłaniają rocznie prawie miliard dolarów. Podstawowym założeniem planu na następny pięcioletnie ma więc być uzyskanie równowagi w handlu zagranicznym. Osiągnięciu tego celu ma służyć zarówno wzrost produkcji, jak i kształtowanie konsumpcji.

W zbliżeniu, możliwym dziś, kiedy plan jeszcze nie jest opracowany ostatecznie, najogólniejsze jego założenia przedstawiają się tak: prawie zerowy wzrost nakładów inwestycyjnych. W bieżącej pięcioletce na inwestycje przeznaczono 980 miliardów forintów, na następną przewiduje się bilion — praktycznie wzrost zerowy. Ale wykorzystanie tych funduszy musi być bardziej efektywne, większa niż w tej pięcioletce część na maszyny i urządzenia, znacznie mniej na nowe mury.

W obecnej sytuacji nie można założyć bardziej odczuwalnego wzrostu spożycia indywidualnego. Tempo wzrostu spożycia przewiduje się mniejsze niż tempo wzrostu dochodu narodowego. Przeważającą część środków na wzrost spożycia trzeba będzie przeznaczyć na poprawę sytuacji grup o najniższych dochodach. Problem polega na tym, że nie można wszystkim obiecać, że za pracę taką samą, jak w tej pięcioletce, w następnej dostaną to samo. Trzeba będzie więcej i lepiej robić za tę samą pracę.

Nie ma powodu ukrywać, że i tym, dość przezroczystym programem, regularnie towarzyszą zastrzeżenia: „Jeśli nie wynikną nowe, nieprzewidziane perturbacje” i „Jeśli rzeczywiście w ciągu najbliższych lat osiągniemy, znaczną poprawę efektywności”.

Na co liczą? Liczą przede wszystkim na własną zaradność i przedsiębiorczość, wspomaganą wypróbowanym już w praktyce systemem zarządzania. W dyskusjach poprzedzających zmianę koncepcji rozwoju słyszało się też głosy proponujące powrót do metod dyrektywnych. W kręgu działaczy, których miałem okazję poznać, żadna rozmowa nie obeszła się bez uwag w rodzaju: „Reformę z 68 roku XII Zjazd uznał za słuszną, jest i będzie nadal stosowana”, „Samodzielność przedsiębiorstw zjazd polecił pogłębić”, „O tym, że regulatory ekonomiczne lepiej się sprawdzają w praktyce niż dyrektywy, najlepiej świadczy fakt — nawet w trudnych warunkach bieżącego roku plany wykonywane są lepiej niż przewidywano”.

Zmiany wprowadzane w systemie stawiają wyraźnie na gospodarstwo, przedsiębiorczość, ale i rozwagę gospodarzy przedsiębiorstw. Wspominałem już — regulatory ekonomiczne zmieniają się dość często. Jednak zasada, że połowa funduszy inwestycyjnych pozostaje w gestii organizacji gospodarczych, utrzymuje się niezmiennie od roku 1968.

Od tego też roku 40 procent wygospodarowanych zysków zostaje w przedsiębiorstwach, a swobodę dysponowania tymi pieniędzmi nawet zwiększono. Przez wiele lat swoją część zysku przedsiębiorstwa musiały dzielić przeznaczając pięć ósmych na fundusz rozwoju, a trzy ósme na premie. Zrezygnowano i z tej dyrektywy — gospodarzowie swoją część chcą, rozliczać was będziemy z efektów.

Zlikwidowano system branżowy w placach, a także zrezygnowano z regulowania średniej płacy, zastępując ją gospodarowaniem funduszem plac. Według niej przedsiębiorstwo określa wysokość zarobków, jeśli znajdzie sposób, aby zadania wykonać mniejszą ilością zatrudnionych, 60 procent zaoszczędzonych sum pozostaje w zakładzie.

Sporo jest podobnych rozwiązań wspomagających gospodarność „na dole”, ale też świadczących o zaułaniu „góry” do ludzi działających w przedsiębiorstwach.

Może dlatego pytań o ewentualne bariery społeczne realizacji założeń planu na lata najbliższe nie uważa się tu za drażliwe. Ilekroć rozmowa schodzi na te tory, słyszy się: „Ludzie znają zasady gospodarowania, rozumieją, że najbardziej szkoda oświeconych ich pracy na procenty od zagranicznych długów. Rozumieją też, że gdy państwo musi drożej płać za import, to nie może sprzedawać towarów po takich samych cenach, jak dawniej. Najważniejsze jest jednak to, żeby wiedzieli i wierzyli, że podwyższanie cen krajowych nie jest jedynym sposobem przezwyciężania obecnych trudności, że równolegle z tym eksportuje się też korzystnie i od wszystkich wymaga, by gospodarowali racjonalnie.

z krajów socjalistycznych

POLITYKA KREDYTOWA WĘGIER

W celu zmniejszenia deficytu w bilansie handlu zagranicznego Węgry stawiają przede wszystkim na wzrost eksportu, rozwijając te gałęzie przemysłu, których wyroby mogą konkurować z powodzeniem na wszystkich rynkach zagranicznych. Na ich rozwój przeznaczają się w obecnej pięcioletce kredyty w wysokości 55 mld ft. Produkcję eksportową wspierają również fundusze z uzyskanych kredytów zagranicznych, głównie w krajach kapitalistycznych, w dwóch bankach RWPG i od największego partnera gospodarczego WRL — Związku Radzieckiego. Kredyty wykorzystywane są na zakup najnowocześniejszych maszyn i urządzeń. Wartość importu maszyn w latach 1974—1979 wyniosła 3,4 mld dolarów. Polityka gospodarcza zmierzająca do utrzymania równowagi w handlu zagranicznym, kontynuowana będzie w latach osiemdziesiątych. Kredyty mają służyć poprawie efektywności produkcji i handlu oraz dalszemu unowocześnianiu struktury produkcji. Ponieważ utrzymanie równowagi wymaga większej dyscypliny w dziedzinie inwestycji, plan przewiduje mniejsze kwoty na ten cel niż w poprzednich latach. Kredyty inwestycyjne będą mogły otrzymać przede wszystkim te przedsiębiorstwa, których wyroby mogą konkurować na wszystkich rynkach. Dużą wagę przywiązuje się do działalności produkcyjno-usługowej węgierskich przedsiębiorstw za granicą. Nowa charakterystyczna cechą polityki kredytowej jest zapewnienie większych pożyczek dla szybkiego upowszechnienia osiągniętych badań i wynalazków. Przedsiębiorstwa i instytucje badawcze zajmujące się wdrażaniem myśli technicznej, wynalazków i innowacji lub organizujące zbyt tej myśli za granicę mogą uzyskać tzw. kredyty innowacyjne.

REKONSTRUKCJA WĘGERSKICH KOLEI

Modernizacja węgierskich kolei odbywać się będzie w tym roku ze środków kredytowych Międzynarodowego Banku Inwestycyjnego. Nastąpi wymiana parku wagonowego, zrekonstruowane zostaną stacje graniczne, wprowadzona będzie elektroniczna technika obliczeniowa. Kredyty dla węgierskich kolei, które odgrywają dużą rolę w ruchu międzynarodowym RWPG, sięgają 12,8 mld rubli przeliczeniowych. Z kredytów MBI korzystali Węgry także przy budowie trakcji elektrycznej oraz rozbudowie węgierskiego przemysłu motoryzacyjnego. Rozbudowano zakłady „Ikarus”, które w tym roku dostarczą 11 000 nowoczesnych autobusów do krajów socjalistycznych. Z pomocą MBI zmodernizowano również przemysł aluminiowy i zakład lekkich stopów w Szekesfehervarze.

MOTOCYKLE Z SUHL

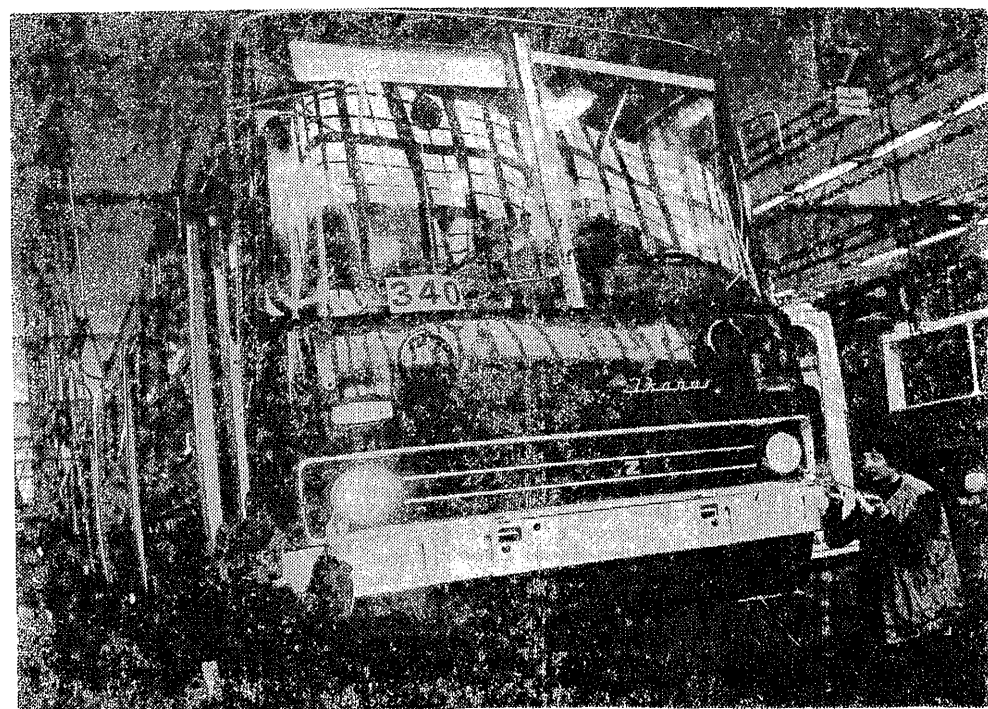
Zakłady im. Ernsta Thälmana przystąpiły do seryjnej produkcji nowego typu motocykla „C-51”. Maszyny tej serii schodzą z taśm produkcyjnych ze znakomną jakością. Ich przebieg bez kapitalnego remontu, w porównaniu z poprzednimi modelami, jest dłuższy i liczy 40 tys. km. Już od 25 lat powstają w Suhl motocykle; dotychczas wyprodukowano ponad 3 mln maszyn różnych typów. Zakłady przeszły ostatnio modernizację, wprowadzono nową technologię, która pozwala na zwiększenie wydajności pracy i zwiększenie produkcji. Do końca roku kolektory zakładu zobowiązali się dać dodatkową produkcję wartości dwóch dni roboczych.

WSPÓŁPRACA Z 90 KRAJAMI

Kraje członkowskie RWFG pomagają w dziedzinie gospodarki oraz nauki i techniki 90 krajom rozwijającym się; 39 z nich zawarło ponad 100 wieloletnich porozumień o współpracy gospodarczej i technicznej z krajami RWFG. Udział krajów RWFG w rozwoju ekonomicznym państw tzw. Trzeciego Świata wyraża się również w budowie 4,5 tys. obiektów przemysłowych, z czego ponad 3 tys. oddano już do użytku. Wyższe uczelnie i szkoły średnie państw naszej wspólnoty przygotowały do tej pory 43 tys. fachowców — obywateli krajów rozwijających się.

MASZYNY Z „TECHNOPOLU”

Czechosłowackie przedsiębiorstwo handlu zagranicznego „Technopol” zajmuje się eksportem i importem maszyn i urządzeń technologicznych dla przemysłu spożywczego, chemicznego, dla przemysłu papierniczego-celulozowego i techniki opakowań. Głównymi partnerami „Technopolu” są firmy z ZSRR, NRD i Polski. W najbliższym pięcioletciu, oprócz dostaw maszyn do pakowania oraz maszyn dla przemysłu młynarsko-piekarniczego, „Technopol” przewiduje znaczne zwiększenie eksportu dla krajów socjalistycznych różnego rodzaju zespołów dla przemysłu spożywczego, maszyn do wyrobu pasz o wydajności 20 ton na godz., stółowych silników zbożowych o pojemności 25 i 50 tys. ton oraz młynów zbożowych o zdolności przerobowej 500 ton dziennie.



W przeważającej części przemysłów przetwórczych stosuje się ceny odpowiadające relacjom na rynku światowym. Fot. CAF

ze świata nauki i techniki

SAMOCHOŁ ELEKTRYCZNY

Nowe technologie w zakresie projektowania i konstruowania samochodów elektrycznych urealniali masową produkcję samochodów elektrycznych. Prace nad konstrukcją samochodu elektrycznego prowadzi się w USA już od lat. Głównym problemem był ciężar i wydajność akumulatorów. Ostatnie osiągnięcia w tej dziedzinie określa się jako przełom. Amerykański koncern samochodowy General Motors planuje serię produkcji samochodów elektrycznych na 1983 r., a być może nawet rok wcześniej. (NIT)

TLEN DLA ZIEMI

W ciągu swojej historii człowiek zużywa przy spalaniu ok. 373 mld ton tlenu — wytwarzając jednocześnie 322 mld ton dwutlenku węgla — z tego 90 proc. w ciągu ostatnich 100 lat. Jeżeli tak dalej pójdzie to ilość tlenu w atmosferze może spaść do krytycznej granicy zagrożającej istnieniu życia. Dla ratowania naszej atmosfery trzeba szukać innych źródeł energii niż spalanie. Innym rozwiązaniem będzie sztuczne wzbogacanie atmosfery w tlen. Najbardziej opłacalne są — jak twierdzą klimatolodzy — wszelkie działania, zmierzające do ochrony roślinności wytwarzającej ogromne ilości tlenu. (PAP)

DOMY Z KRUSZYWA

Zakłady produkcji prefabrykatów budowlanych w woj. kieleckim przygotowują się do wytwarzania elementów dla budownictwa mieszkaniowego z drobnej kruszywa według technologii opracowanej przez naukowców Politechniki Świętokrzyskiej. Drobne kruszywo — to odpady kamienne, zalegające na hałdach w pobliżu czynnych w Górach Świętokrzyskich zakładów produkcji kruszywa, które wytwarzają 3,5 mln ton kruszywa dla budownictwa rocznie. (PAP)

GORĄCE BULECZKI

Z myślą o mieszkańcach północnych rejonów opracowano w USA podgrzewane opakowania, które stosuje się do pieczywa, napojów, a także gotowych dań. Opakowanie wyposażone jest w nitkę, którą w celu ogrzania posiłku należy wyciągnąć. Następnie wtedy hermetyzowanie pojemnika, powietrze wnika między podwójne ścianki folii i reaguje ze znajdującą się tam substancją. W ciągu minuty bułeczka opakowana w folię staje się gorąca i smakuje jak wyjęta prosto z pieca. (PAP)

SZMARAGDY Z KOMPUTERA

W Instytucie Krystalografii Akademii Nauk ZSRR zastosowano maszynę cyfrową do obróbki sztucznych kamieni szlachetnych. Odpowiedni program uwzględnił zmianę parametrów, które decydują o różnicach między kamieniami (m. in. skład chemiczny, kształt, ciężar). Dzięki zastosowaniu komputera poprawiła się znacznie jakość obrabianych szmaragdów. (Interpress)

NADZIEJA DLA ASTMATYKÓW

Odkrycie dokonane ostatnio przez dwóch brytyjskich uczonych zapowiada przełom w leczeniu astmy. Biochemikowie Howardowi Morrisowi i farmakologowi Priscilli Piperowi z Britain Royal College of Surgeons udało się odkryć budowę molekularną struktury enzymu, tworzącej się w płucach astmatyków. Określenie jej budowy molekularnej otwiera drogę badaniom nad opracowaniem środków albo zapobiegających powstawaniu tej substancji, albo neutralizujących skutki jej działania. (PAP)

KWASOWY DESZCZ

W naturalny obieg wody w atmosferze włączyła się cywilizacja, ekspansywnie rozwijający przemysł, motoryzacja, energetyka. Ułatwiająco do atmosfery związki siarki i azotu, niesione wiatrem i mieszające się z parą wodną tworzą rozżarzone kwasów, które później spadają w postaci deszczu lub czasami śniegu. Skutki takich spadów mogą być poważne. Oszacowano już, że w Ameryce tylko Stanach Zjednoczonych wartość szkód wyrządzonych budowlom rocznie przez „kwas lejący z nieba” wynosi około 2 mld dolarów. (PAP)

USZCZELNIANIE WYROBISK

Oryginalną metodę uszczelniania wyrobisk w kopalniach soli opracowali naukowcy z Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Znanie i stosowanie dotychczas zabezpieczenia z cementu lub polimerów są nieodporne na działanie wody, na skutek tego setki kopalń na całym świecie wyłączono z eksploatacji z powodu zalania. Polskie rozwiązanie doprowadza do krytycznej zawiesiny zawartej w przeciekach, dzięki czemu szczelina sama zarasta solą. (PAP)

UNIWEKSYTECKI PATRONAT

Liceum ogólnokształcące im. Mikołaja Kopernika w Lublinie — jako pierwsza w Legnickim placówka dydaktyczna — nawiązała stałą współpracę z Uniwersytetem im. Bolesława Bierut w Wrocławiu. W dwóch pierwszych klasach realizuje się poszerzony program nauczania chemii według perspektywicznych założeń „dziesięcioletniej”. Zgodnie z koncepcją dziekana wydziału matematyki, fizyki i chemii — prof. Stanisława Wajdy, program ten został dodatkowo wzbogacony o elementy kursu uniwersyteckiego. (PAP)

OSIĄGNIĘCIE WĘGERSKIE

Jesienią 1978 r. pracownicy budapeszteńskiego Centralnego Instytutu Badań Fizycznych uruchomili kompleksowy komputerowy system sterowania doświadczalnym reaktorem. Udoskonalona odmiana tego systemu będzie zamontowana w reaktorze doświadczalnym budowanym przez Związek Radziecki w L-11. System ten został skonstruowany wspólnie przez Centralny Instytut Badań Fizycznych, Węgierskie Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego Artykułami Elektrycznymi „Translektro”, Przedsiębiorstwo Projektowania Budowy Maszyn Przemysłu Chemicznego „Chemimas” oraz Zakłady Radiowe i Telewizyjne „Videoton”. (PAP)

konjunktura na świecie

na rynkach pieniężnych

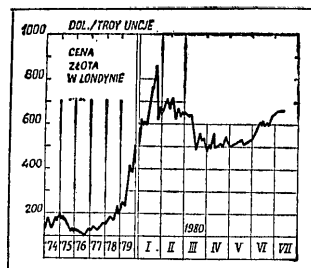
CENA ZŁOTA

(w dolarach za troy uncję*)

	4.VII.	7.VII.	9.VII.	11.VII.
Londyn	666,5	667,5	671,0	667,0
Zurych	666,5	669,5	671,5	668,5
Paryż	657,8	664,5	681,2	660,6

* 1 troy uncja = 31,1 grama.

W minionym tygodniu cena złota wykazywała dość znaczne wahania. W pierwszych dniach utrzymywała się tendencja wzrostowa, później nastąpiło pewne załamanie. Np. w środę 9 lipca na porannym fixingu w Londynie cena wyniosła 678 dol. za uncję, a cena zamknięcia ukształtowała się na poziomie 662—665 (w tabeli 1 podane są ceny z popołudniowych fixingu w Londynie i Paryżu oraz cena zamknięcia w Zurychu). Dzień wcześniej ce-



na zamknięcia wyniosła 682,5 dol. za uncję. W sumie na głównych giełdach cena złota w ciągu tygodnia nieznacznie wzrosła, o 1—2 dolary na uncję.

Zaniepokojona ostatnimi poważnymi wahaniami cen złota Republika Północy Afryki postanowiła wyraźniej powiązać swoje przyszłe dostawy tego kruszcu z sytuacją na rynku. Nowa polityka oznacza, że rząd RPA — największy światowy handlarz złotem — nie będzie sprzedawać natychmiast wydobycia pochodzącego z 35 krajowych kopalni. Zamiast tego bank centralny RPA będzie wstrzy-

mywać dostawy wówczas, gdy cena złota spada. Taką informację podała z Johannesburga agencja Associated Press przypominając, że dotychczas dzienna produkcja południowoafrykańskich kopalń trafiała od razu na giełdę w Zurychu i Londynie, a nowa polityka posłuży stabilizacji cen złotego kruszcu.

Na rynkach walutowych kurs dolara spadł nieco w stosunku do wszystkich głównych walut. Nie bez wpływu na taki obrót rzeczy pozostają spekulacje o dalszym spadku amerykańskiej stopy procentowej oraz utrzymywaniu się w USA silna inflacja. Podano do wiadomości, że ceny hurtowe w Stanach Zjednoczonych wzrosły w czerwcu o 0,8 proc., bardziej niż w maju i kwietniu, i bardziej niż oczekiwano. Prędzej czy później ruchy cen hurtowych znajdą swe odbicie w cenach detalicznych. Ceny żywności poszły w górę o 0,7 proc., podczas gdy w maju niemal nie drgnęły.

W ramach Europejskiego Systemu Walutowego silną pozycję utrzymał frank francuski, mimo rosnącej w tym kraju inflacji i pogorszenia bilansu płatniczego tego kraju.

KURSY WALUT

Tabela 2

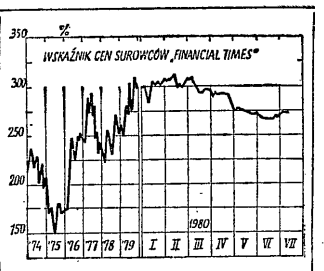
	4.VII.	7.VII.	9.VII.	11.VII.
Funt szterling (w dol. za funt)	2,356	2,376	2,375	2,377
Gulden holenderski (w gulda. za dol.)	1,919	1,907	1,903	1,904
Frank belgijski (we frank. za dol.)	28,04	27,95	27,81	27,95
Marka RFN (w mk. za dol.)	1,752	1,743	1,738	1,741
Lir włoski (w lirach za dol.)	838,3	834,1	828,9	830,8
Frank francuski (we fr. za dol.)	4,065	4,047	4,038	4,044
Frank szwajcarski (we fr. za dol.)	1,607	1,588	1,590	1,598
Jen japoński (w jenach za dol.)	219,0	218,4	218,4	217,8
Peseta hiszpańska (w pesetach za dol.)	70,23	70,28	70,41	70,84
Szyling austriacki (w szyl. za dol.)	12,44	12,38	12,34	12,38
Korona szwedzka (w kor. za dol.)	4,140	4,124	4,113	4,124
Korona norweska (w kor. za dol.)	4,828	4,818	4,801	4,806
Ecu (w dol. za ecu)	1,425	1,440	1,448	1,443

na rynkach towarowych

WSKAZNIK CEN SUROWCÓW („Financial Times”)

(I.IV.1952 = 100)

	Wskaźniki
4.VII.	272,5
7.VII.	272,6
10.VII.	270,1
Przed miesiącem	264,75
Przed rokiem	294,72



		10.VII.	Przed tygodniem	Przed rokiem
ZBOŻA I PASZE				
pszenica	centy/busz.	398,25	414,0	440,0
kukurydza		289,25	286,0	301,0
jęczmień	dol./tona	145,0	149,0	103,7
INNA ŻYWNOSĆ				
kawa	f. szt./tona	1401,0	1476,5	1837,0
kakao		1077,0	1104,0	1549,5
kukier	centy/lb	26,41	30,2	8,96
WŁÓKNA I SKÓRY				
bawełna	centy/lb	79,25	77,8	67,5
włna	pensy/kg	286,0	286,0	265,0
skóry ciężkie (krowie)	centy/lb	42,0	45,0	76,0
METALE				
złom stali	dol./tona	74,17	71,2	97,5
miedź elektr.				
(wire bars)	f. szt./tona	913,5	898,0	805,5
cyna		7195,0	7302,5	6905,0
cynk		300,0	310,0	333,0
ołw		341,5	348,0	616,0
srebro	pensy/troy uncja	694,0	704,5	408,2
INNE				
kaučuk	pensy/kg	58,75	60,4	62,5

Miejsce notowania: Chicago — pszenica, kukurydza, skóry ciężkie; Winnipeg — jęczmień; Nowy Jork — kukurydza, skóry ciężkie; Bradford — bawełna; Londyn — kawa, kakao, miedź elektrolityczna (wire bars), cyna, cynk, ołów, kaučuk, srebro.

Jednostki przeliczeniowe: 1 buszel pszenicy = 27,2 kg; buszel kukurydzy = 25,4 kg; 1 lb (funt) = 0,454 kg.

nego” poziomu sprzed recesji. Jeśli natomiast zwiększy się skłonność do oszczędzania, spotęguje to jeszcze czynniki osłabiające tempo wzrostu gospodarczego. Sporo wątpliwości łączy się także z poziomem plac. Jak dotąd nie zanotowano eksplozji płacowej, jak to miało miejsce po szoku naftowym 1973 roku. Jeśli to umiarkowanie w żądaniach płacowych zmniejszy, wówczas — ostrzegła OECD — odbije się to na stopie zysku, co w konsekwencji przyhamuje inwestycje.

Prognoza przewiduje, że w drugim półroczu GNP Stanów Zjednoczonych w wyrażeniu realnym spadnie o 4 proc. w skali rocznej. W sumie amerykański produkt narodowy brutto ma być w 1980 roku o 1 proc. mniejszy niż w roku ubiegłym. Zakłada się, że ceny detaliczne wzrosną w br. o 11 proc., a do czerwca przyszłego roku o 9 proc. w skali rocznej.

Stopa wzrostu GNP w Japonii ma spaść z 6 proc. odnotowanych w pierwszym półroczu do 3,5 proc. w drugim i utrzymać się na tym samym poziomie w pierwszej połowie

1981 roku. Przewiduje się, że ceny detaliczne wzrosną o 7,5 proc. w roku bieżącym, a do czerwca 1981 tempo to wyniesie 6,25 proc.

Prognoza dla RFN mówi o 2-proc. wzroście GNP w tym roku i o 1-proc. w pierwszej połowie przyszłego. Jednocześnie przewiduje się, że wskaźnik wzrostu cen detalicznych spadnie z 5 proc. w br. do 3,5 proc. do czerwca przyszłego roku. Sądzi się powszechnie, że silna gospodarka zachodniomiejscowa lepiej niż inne za-mortyzuje wyższy rachunek za ropę.

W przypadku Francji oczekuje się 2-proc. stopy wzrostu GNP (wobec 3,2 proc. w roku ubiegłym) w br. i zaledwie 0,5 proc. w skali rocznej do czerwca 1981. Ceny detaliczne w tym roku mają się zwiększyć o 13,25 proc. a w pierwszej połowie przyszłego, wyborczego roku o 11 proc.

Prognoza OECD zakłada, że W. Brytania będzie rok przyniesie spadek GNP o 2,25 proc. w wyrażeniu realnym, a spadek ten, tyle że w tempie dwukrotnie niższym, utrzyma się również w pierwszej połowie roku przyszłego. Oczekuje się dość wyraź-

nego przyhamowania stopy wzrostu cen detalicznych — z 18,75 proc. w tym roku do 14,25 proc. w I półroczu 1981.

Zdaniem autorów raportu, należy się spodziewać dalszego spadku zysków w przemyśle przetwórczym, co pociągnie za sobą wyraźny spadek inwestycji w tej dziedzinie.

Jeśli chodzi o sferę finansów międzynarodowych, OECD przewiduje, że wszystkie kraje członkowskie tej organizacji, z wyjątkiem Norwegii, zamkną w br. bilans obrotów bieżących deficytem. Dla całego OECD (24 kraje) wyniesie on w sumie 81 mld dolarów, z czego dużo więcej niż połowa przypadnie na 7 największych krajów. Deficyt Japonii wyniesie 17,25 mld, RFN — 16 mld, a USA — tylko 2,5 mld dolarów ze względu na niski stopień aktywności gospodarczej w tym kraju. Ogólnie, zdaniem ekspertów OECD deficyty te rozłożą się bardziej równomiernie niż po pierwszym szoku naftowym, co powinno ułatwić ich finansowanie. W roku 1974 łączny deficyt 24 krajów OECD wyniósł 26

mld dol., z czego aż 14,6 mld przypadło na USA i RFN.

Obecny jednak układ bilansów — zauważa raport — może okazać się przejściowy, zwłaszcza że — spadek kursu jena, w stosunku do sytuacji sprzed półtora roku, może doprowadzić do szybkiego wzrostu japońskiego eksportu i rychłej poprawy bilansu płatniczego tego kraju.

Oczekuje się również zmniejszenia deficytu RFN oraz Szwajcarii (w tym roku 750 mln dol.) — niska stopa inflacji w tych krajach wzmocni bowiem konkurencyjność ich towarów. Prognoza przewiduje, że deficyt nienaftowych krajów rozwijających się wzrośnie do 49,5 mld dol., z 34,5 mld w roku 1979 i 25,5 mld w 1978 roku. Zakłada ponadto, że w pierwszej połowie 1981 roku deficyt ten wyniesie w skali rocznej 60 mld dolarów.

Nadwyżka krajów naftowych ma osiągnąć tego roku poziom 114 mld dol., co podniesie wysokość ich skumulowanej nadwyżki do 345 mld dol.

SZALEŃSTWA RYNKU TOWARÓW RZADKICH



Z „Desy” najszybciej znikają wyroby ze srebra...

Fot. T. MÜLLER

W prasie światowej — nie wyłączając naszej — pisze się o szaleństwie, jakie opanowało rynek sztuki i antyków. Jest to część rynku towarów, o wartości których decyduje wyłącznie rzadkość ich występowania. Obecnie mają one jednak znaczny udział w rynku towarów konsumpcyjnych i dlatego zainteresowanie tym specyficznym towarem wzrasta.

Problemami tymi zajmuje się już wielu ekonomistów na świecie.

Ci, którzy nadal uważają, że w ekonomii marksistowskiej nie ma miejsca na rozważanie nad rynkiem sztuki — mylą się; na pierwszej stronie „Kapitału” K. Marks pisze: „Towar jest nasamprzód (zunächst) przedmiotem zewnętrznym, rzeczą którą dzięki swoim właściwościom zaspokaja potrzeby ludzi. Charakter tych potrzeb, to czy np. pochodzą one z żółdka czy też z wyobraźni — nie odgrywa większej roli”.

Przedmioty sztuki możemy traktować jako towary szczególnego rodzaju, zaspokajające potrzeby wy-

szego rzędu. Obecnie jednak odnosi się wrażenie, że cenione są bardziej ze względu na swą rzadkość. Ekonomia ma skłonność do pomijania potrzeb duchowych, lansując takie np. hasła reklamowe „Sztuka walutą całego świata”. Kładzie ono nacisk na traktowanie towarów rzadkich jako aktywów finansowych lub formy lokaty kapitału. Z powodu rosnącej inflacji na świecie i kryzysów walutowych, wielu ludzi ulega dyskretnemu czarowi dzieł sztuki i antyków.

Polska nauka również zauważyła problem. Antoni Rajkiewicz w „Problemach stosunków własnościowych w PRL” pisze: „Pojawiać się zaczyna coraz wyraźniej w Polsce problem własności osobistej dzieł sztuki, które po: mieszkaniu, domkach letnich i samochodach zajmują wartościowo znaczące miejsce”.

Towary rzadkie były przedmiotem pożądania ludzi bogatych od wielu tysięcy lat. Ceny ich już dawno były szalone, za niektóre płacono po kilkanaście kilogramów złota. Temat nie jest więc nowy. Nowością jest natomiast ilość rozpraw, jakie ukazują się na ten temat. Można je podzielić na dwie grupy. Pierwsza — to opinie zachęcające do „lokowania” oszczędności w towary rzadkie, w tym dzieła sztuki i antyki, ponieważ ich cena, według zapewnień ekspertów, zawsze rośnie (20-30 proc. rocznie).

Druga — to rzetelne analizy, do których — wykorzystuje się — skompli-

kowane wzory matematyczne. Z badań tych wynika, że towary rzadkie nie zawsze są najlepszą lokatą kapitału. Zdarza się, że inwestycje takie przynoszą straty. Problemem bywa często odsprzedaż nabytych przedmiotów sztuki, ponieważ wyspecjalizowanym na tym specyficznym rynku firmy (antykwarci) i domy aukcyjne prowadzą skomplikowaną politykę — nastawioną na obronę swych interesów. Rynek ten, działający jakby na marginesie gospodarki, rządzi się bowiem własnymi prawami.

Należy pamiętać, że pierwsza grupa piszących spełnia rolę usługową wobec instytucji działających na tym rynku. Zanimują się oni kreowaniem popytu na towary rzadkie, jakie mają do sprzedania znaczące antykwarci. Gust większości konsumentów dzieł sztuki może być dowolnie kształtowany przez masowe środki przekazu. Zwiększa klasę średnią, która jest głównym nabywcą tych towarów, służących przez całe wieki nobilitacji.

Druga grupa ekspertów zachowuje pewną niezależność, co pozwala mieć większe zaufanie do prezentowanych przez nich poglądów. Probują oni szukać prawdziwości działań na tym dziwnym, skomplikowanym rynku, na którym szaleństwa zdarzają się często.

NA WSTECZNYM BIEGU

ANDRZEJ LUBOWSKI

JESLI przypadkiem kiejko sypia dyrektor Ryszard Dziopak, to na pewno z całkiem innych powodów niż Lee Iacocca, Giovanni Agnelli czy Jean-Paul Parayre. Czego by bowiem nie mówić o kłopotach menedżerów naszej motoryzacji to w przeciwieństwie do szefów Chryslera, Fiata czy Peugeota nie boli ich głowa, czy znajdą nabywców na swój towar.

Recesja na Zachodzie daje się mocno we znaki producentom samochodów. Półki co najbardziej dotknięci kryzysem są potentaci amerykańscy. Czerwiec przyniósł najgorsze wyniki od 22 lat. Sprzedano o 43 proc. mniej pojazdów rodzimego pochodzenia, niż dwa lata wcześniej. Wskaźnik bezrobocia w przemyśle samochodowym jest przeszło dwukrotnie wyższy od średniej krajowej. Pracę straciło 300 tysięcy ludzi zatrudnionych przy taśmie w General Motors, u Forda i Chryslera. Ale to nie wszystko. Kiedy Detroit, centrum amerykańskiego autobiznesu, popada w tarapaty, czuje to boleśnie cała gospodarka Stanów. Co szóste stanowisko pracy w USA związane jest bowiem z samochodem. Stal i gumy, szkło i metale kolorowe — zalamanie w zbycie samochodów kosztowało pracę blisko 600 tysięcy kooperantów. Czy są widoki na rychłą poprawę? Szef United Auto Workers, czyli związku zawodowego przemysłu samochodowego, grupującego 1,4 mln członków, D. Fraser jest daleki od optymizmu. „Jeśli widzieliście światło na końcu tunelu, to jest to zapewne nadziejający się ciąg towarowy”.

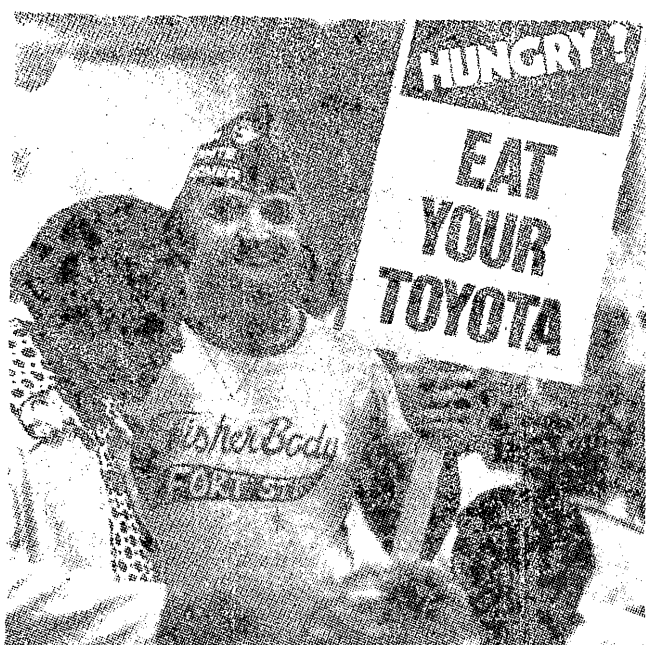
Peugeot-Citroen ogranicza produkcję, zamyka na 7 dni w lipcu i sierpniu dwie ze swych największych fabryk. I choć Renault radzi sobie lepiej, a niektóre modele, zwłaszcza R-5 idą jak woda, to w sumie we Francji sprzedano w pierwszym półroczu mniej niż w zeszłym roku.

Toni Schmucker, szef Volkswagena trzyma fason, ale i u niego krzywa sprzedaży poszła ostatnie w dół.

Brytyjczycy kupili od stycznia do lipca 870 tysięcy nowych samochodów, podczas gdy w tym samym okresie ubiegłego roku 1081 tys. Fiat na rynku angielskim robi bokami od tego stopnia, że mimo kłopotów finansowych obniżył o 8 proc., do 3999 funtów cenę modelu 128, a prezes Agnelli zapowiada, że jego firma do grudnia musi zmniejszyć produkcję o dalsze 130 tys. wozów.

I jak tu dziwić się zazdrości, niechęci czy wręcz nieskrywanej a rosnącej wrogości wobec Tokio. Bo japoński przemysł motoryzacyjny wjeżdża w lata osiemdziesiąte na najwyższym biegu, na pozór niewiele sobie robiąc z recesji. W pierwszym półroczu Japończycy wyprodukowali niemal 5,5 mln. samochodów więcej niż Amerykanie. Toyota i Nissan uplasowały się na drugim i trzecim miejscu listy światowych producentów, ustępując tylko General Motors.

Tempo japońskiej ekspansji na obce rynki oszalało — w końcu lat pięćdziesiątych wyeksportowali parę tysięcy wozów, w zeszłym roku ponad 3 mln, z czego 2,05 mln do USA. Wprawdzie nieprędko z pejsu Stanów Zjednoczonych znikną krajoznicy szos, ale z serc wielu



„Jesteś głodny? Zjedz swoją Toyotę” — bezrobotni z amerykańskich fabryk samochodowych protestują przeciwko zakupowi wozów japońskich. Fot. „NEWSWEEK”

Amerikanów cacka rodzimej produkcji zostali wyparte przez małe japońskie lub zachodnioeuropejskie wozy o przednim napędzie. Wśród zagranicznych samochodów w zeszłym roku w USA najlepiej szły Toyota-Corolla 1800 i Datsun-210. Dziś co czwarty pojazd sprzedawany w Stanach pochodzi z Japonii.

W tej sytuacji Detroit wiesza psy na Japończykach, naciska na administrację, aby postawiła tamy załadowi importu. Spór Waszyngton-Tokio na tle samochodów może przybrać rozmiary, przy których wszystkie dotychczasowe niesnaski handlowe przypominać będą niewinne przekomarzenia. W chwili, gdy protekcjonizm podnosi grzeźnie łeb, Japończycy próbują uspokajać zdenerwowanych partnerów, zwłaszcza od chwili, gdy po Stanach rozszalała się plotka, że zamierzają do 1985 roku rozszerzyć produkcję o dalsze 2 mln samochodów, z myślą o ulokowaniu większości z nich na rynku amerykańskim. Była o tym nawet mowa w czasie szczytu w Wenecji. 7 lipca MITI, czyli japońskie Ministerstwo Handlu Międzynarodowego i Przemysłu zapewniło oficjalnie Waszyngton, że to nieprawda. Tokio zdaje sobie sprawę, że gdy wyścisną do fotela prezydenta zbiega się w czasie z recesją, w sztabie Cartera wzrasta się pokusa zastosowania antyimportowych barier. Dotychczas Biały Dom powstrzymywał się przed ich użyciem, aby nie podsycać inflacji. Wyższe cła na Toyoty, Datsuny czy Hondy, podnosząc ich cenę, skłoniłyby Amerykanów do powrotu do wielkich, pożerających masę benzyny modeli krajowych. Ale nie można wykluczyć, że Carter sięgnie po administracyjne środki ochrony własnego przemysłu, zwłaszcza gdy Reagan zacznie mu niebezpiecznie deptać po piętach.

Prezydent USA przy okazji pogrzebu Masayoshi Ohiry miał dać do zrozumienia Japończykom, że żarty się skończyły. Tuż przed odlotem do Tokio spotkał się na lotnisku w Detroit z szefami autobiznesu, obiecał im pomoc finansową, subsydia i ewentualne ulgi podatkowe, które miałyby ułatwić szybsze przedstawie-

nie fabryk na mniejsze modele i skuteczniejszą rywalizację z Japończykami. Carter przewiduje, że Detroit będzie w stanie wypuścić na rynek w 1983 roku 7,5 mln małych wozów, pięciokrotnie więcej niż w tym roku.

Amerykani przygotowują się pilnie, aby rzucić wyzwanie Japończykom i nadrobić stracony czas. Przewiduje się, że na opracowanie nowych modeli wielka trójka, czyli General Motors, Ford i Chrysler wydać łącznie w najbliższych pięciu latach blisko 70 miliardów dolarów, czyli dwukrotnie więcej niż rząd USA wydał na program „Apollo”. A wtedy, gdy Amerykanie wejdą ła- na rynek z nowoczesnymi samochodami średnio- i małolitrażowymi konkurencja jeszcze bardziej się zaostrzy.

General Motors wydaje się być najlepiej przygotowany do stawienia czoła Japończykom. Już parę lat temu, po naftowym embargo, firma ta podjęła produkcję małego, jak na amerykańskie stosunki wozu — Chevrolet-Chevette. Zeszły rok to początek serii „X” — standardowych pojazdów o przednim napędzie, które mają być wytwarzane w różnych wersjach. Pierwszym był Chevrolet Citation. Ma on jednak pojemność 2500 cm sześć, podczas gdy Japończycy okupują kategorię od 1400 do 2000 ccm. Ale już w przyszłym roku General Motors rusza z mniejszymi i oszczędniejszymi. „Uważamy, że największym błędem byłoby bierność wycieczkiwanie” — mówi Thomas Murphy, prezes GM.

Ford jest znacznie słabszy, poniósł duże straty na własnym podwórku, lepiej prosperują jego filie zagraniczne. Duże nadzieje wiąże z przygotowywanymi nowymi, małymi modelami, zwłaszcza z „Erią”, która ma wejść na rynek jesienią.

Chrysler, jak powszechnie wiadomo, utopił setki milionów w chybionych pomysłach, niedawno zamknął zakłady Lynch Plant w Detroit, dopiero dwa lata temu zmodernizowane, nastawione na produkcję dużych pojazdów, i znalazł się na krawędzi bankructwa. Pomoc kredytowa rządu w wysokości 1,5 mld

dolarów uratowała mu żywot, a prezes Chryslera, Lee Iacocca powiada: „W 1984 roku wszystkie nasze wozy będą miały przedni napęd, niemal wszystkie będą miały oszczędne, czterocylindrowe silniki”.

Najmniejsza z amerykańskich firm samochodowych American Motors Corporation radzi sobie całkiem nieźle, głównie dlatego, że wcześniej przestawiła się na małe pojazdy, z francuskim Renault i wcale tego nie żałuje.

Japończykom nie pozostaje nic innego, jak ucieczka do przodu. Są świadomi, że dzisiejsze opóźnienia technologiczne konkurent z Detroit jest w stanie nadrobić w krótkim czasie. Główną się zatem nad dalszym zmniejszeniem ciężaru nadwozia, przez zastosowanie lekkich tworzyw, pracując nad silnikami wysokoprężnymi, upowszechniając w swych samochodach urządzenia elektroniczne. W zeszłym roku Nissan wprowadził na rynek model „Cedric-Gloria”, w którym mały komputer reguluje niemal wszystko, poczynając od optymalizacji zużycia paliwa aż po kontrolę klimatyzacji. Co jeszcze można wymyślić? Zdaniem większości fachowców pojazdy, które zjadą z taśm fabrycznych za 10 lat niewiele różnić się będą od dzisiejszych, a benzyna pozostanie praktycznie jedynym źródłem energii w silnikach samochodowych. Wygląda na to, że w perspektywie bieżącej dekad trudno liczyć na wyraźne przesunięcie granicy innowacji technicznych.

Czy Japończycy zatem skazani są na to, że jeżeli nie za 3 lata, to za 5-6 rywali ich dopadną? Toyota, Nissan i inni mniej więcej w swą sprawność, wierzą, że jeżeli nawet będą robić to samo, to zrobią to lepiej i taniej. Ale gdy są tańsi, grozi im zarzuty o dumping, nieuczciwą konkurencję itp.

Amerykańscy związkowcy, producenci, niektórzy politycy naciskają, aby Japończycy wybudowali swe zakłady w Stanach Zjednoczonych, tak jak uczynił to Volkswagen. Honda, piątą co do wielkości producent japoński, już się zdecydowała na ten krok natychmiastowo-dyplomatycznie. Ogłosiła, że w przyszłym roku przystąpi, kosztów 200 mln dolarów do budowy fabryki w stanie Ohio, która da pracę 6 tys. Amerykanom.

Toyota i Nissan nie bardzo się kwapią, aby pójść w ślady Hondy. Wstrzeźliwość bierze się z obawy, że robotnik amerykański jest mniej zdyscyplinowany, skory do zatargów z pracodawcą, że podniesie to koszty wytwarzania, obniży konkurencyjność i to właśnie wtedy, gdy z taśm w Detroit zaczęły schodzić

nowe modele GM, Forda i Chryslera. Toyota i Nissan boją się także, że nie da rady przenieść na grunt amerykański wszystkiego tego, co przesądziło o ich sukcesie. Na przykład setek drobnych kooperantów, niezawodnych, precyzyjnych, tanich, elastycznych, dostarczających elementy na każde żądanie, co znakomicie zmniejsza koszty magazynowania. Nie mówiąc już o tym, że robić samochody za granicą, to znaczy odebrać pracę Japończykom. A mimo wszystko rząd w Tokio namawia, aby na znak dobrej woli założyć choćby symboliczne zakłady w USA. I jeśli tak się w końcu stanie, co jest bardzo prawdopodobne, (Nissan już obiecuje, że będzie robić w Stanach małe ciężarówki) to ze względów taktyczno-politycznych, a nie ekonomicznych.

Coraz bardziej pożądlivé spoglądają Japończycy na rynek europejski, który obecnie wchłania piątą część ich samochodowego eksportu. W zeszłym roku co czternasty pojazd kupowany w zachodniej Europie był „made in Japan” (patrz tabela). Apeity Tokio są znacznie większe. Szkopuł w tym, że rynek ten, zwłaszcza EWG, jest mniej dostępny niż Ameryka, surowiej chroniony barierami celnymi. Niektóre kraje ustalają ponadto ograniczenia ilościowe na import japońskich samochodów. Aby się jednak lepiej usadowić w Europie, Japończycy szukają bocznych furtek. Prym w tego rodzaju działaniach bierze Honda — ostatnio dogadała się z Leylandem, który od przyszłego roku będzie montował w W. Brytanii przeszło 80 tys. sztuk japońskich wozów rocznie. Nissan (producent Datsuna) wybrał inną drogę — wykupił 36 proc. akcji Massey-Fergusona w hiszpańskiej Motor Iberica.

Europejczycy z niepokojem przyglądają się inwazji skośnookich rywali. Przed paru miesiącami British Leyland, Fiat, Peugeot-Citroen, Renault, Volkswagen i Volvo podpisali wieloletnią umowę o wspólnych pracach nad nowymi materiałami, aerodynamiką, spalaniem. Podpisano ją nie po to, by zaniechać konkurencji między Europejczykami, lecz głównie po to, aby nie dublować wysiłków badawczych i w lepszej kondycji stawiać czoła japońskiemu wyzwaniu. „Eurofinance” — organizacja badawcza z siedzibą w Paryżu, opublikowała ostatnio raport, w którym przewiduje, że już w 1983 roku Europa może stać się importem netto samochodów. Brzmi to dla wielu firm naszego kontynentu jak ponure ostrzeżenie, choć nie wszyscy drżą przed żółtym niebezpieczeństwem. Wiadomo, że Toyota czy Nissan przed wejściem na rynek Fiatowi czy Peugeotowi niż Mercedesowi, BMW czy Volvo. Po prostu walka toczy się o całkiem inną kieszę.

Europejscy potentaci także rozglądają się za nowymi rynkami zbytu.

Chcą podjąć rękawicę jeszcze przed bramą własnego podwórka, tak jak choćby Volkswagen w Ameryce Południowej czy Peugeot w Afryce Północnej. A czasem nawet pod nosem najgroźniejszego rywala, jak Citroen, który negocjuje z Chińczykami w sprawie budowy dwóch fabryk w okolicach Szanghaju i Kantonu.

Dość skromny potencjał wytwórczy i bardzo chłonne rynki wewnętrzne sprawiają, że producenci samochodów z krajów socjalistycznych nie angażują się zbyt ostro w walkę konkurencyjną. Ale ci, którzy mają do dyspozycji towary do sprzedania, sprzedają go coraz więcej. Przykładem Łada — w zeszłym roku do Europy Zachodniej trafiło ponad 100 tysięcy tych pojazdów. Blisko 10 tysięcy kupuje Kanada, przewiduje się, że w przyszłym roku kupi dwukrotnie więcej. „Ludzie, zanim zaczęli myśleć o polityce, myślą o swoich portfelach, co wyraźnie podnosi szanse Łady” — pisze amerykańska agencja AP w związku z tym, że radziecki kuzyn naszego dużego Fiata jest w Kanadzie najtańszym samochodem w swej klasie i kosztuje 4631 dolarów USA. Niedawno Porsche potwierdził informację, że podpisał umowę na opracowanie nowego modelu Łady z napędem na przednie koła. Pierwsze egzemplarze mają zejść z taśm w Togliatti w 1983 roku. Jeszcze wcześniej Satra Corporation zamierza wejść z Ładą 1600 i Niwą na rynek Stanów Zjednoczonych. W tym roku mają ruszyć prace przy budowie w Savannah, w stanie Georgia, ośrodka, który będzie przyjmował i przygotowywał te samochody do sprzedaży, przystosowywał je do surowych amerykańskich przepisów bezpieczeństwa i regulujących dopuszczalną emisję spalin.

Skoro tyle o Ładzie, to bardziej gwołi ścisłości, niż ku pokrzepieniu serca trzeba powiedzieć, że nie wiele się sprzedają za granicą i nasze samochody, zwłaszcza „maluchy”. Ale jak nam zbyt dobrze wiadomo, w tym przypadku i bez eksportu producentowi nie groziłoby przepiętnie fabrycznych magazynów. Dlatego też dziś, gdy światowy przemysł samochodowy jedzie na wstępnym biegu, zmartwienia dyrektora Dziopaka tak bardzo różnią się od kłopotów szefów Chryslera, Fiata czy Peugeota.

Sprzedż na rynku zachodnioeuropejskim w 1979 roku (w proc.)

Peugeot — Citroen — Talbot	17,3
Renault	13,1
Fiat	12,6
Volkswagen — Audi	12,1
Ford (Europa)	11,9
General Motors (Europa)	9,4
Firmy japońskie	7,1
British Leyland	4,1
inni	12,4

*) EWG, Austria, Finlandia, Hiszpania, Norwegia, Portugalia, Szwajcaria, Szwecja.



Fot. „NEW YORK TIMES MAGAZINE”

Nawet centrale związków zawodowych nie są wolne od tego szaleństwa, także one nierzadko lokują swoje pieniądze w dziełach sztuki i antykach.

W warunkach normalnej koniunktury na zakup towarów rzadkich przeznacza się tylko nadmiar kapitału, który nie może znaleźć produkcyjnego zastosowania. Jest to więc rodzaj wentyla bezpieczeństwa w gospodarce kapitalistycznej. Wolne kapitały kształtują ceny towarów rzadkich przy danej podaży. W czasie spadku koniunktury (połączonego z inflacją), jak to się dzieje obecnie, popyt i ceny gwałtownie rosną. Jeśli bowiem akcje i obligacje nie przyniosą „godziwego” dochodu (procent stały z obligacji i zmienna dywidenda z akcji), to kapitał kieruje się w stronę towarów rzadkich, które jako towar szczególnie mają chronić przed stratami. Wszyscy pożądamy gorączkowo dzieł sztuki bynajmniej nie ze względu na przeżyta duchowe, których mogą one dostarczyć. Gwałtowny popyt powoduje wzrost cen, ponieważ dzieł nie przybywa. Stanowią one „magazyn stały”. Dlatego to kraży opinia, że towary rzadkie są najpewniejszym zabezpieczeniem.

A jak mają się sprawy u nas? Gospodarka polska od dziesięciu lat jest bardziej niż kiedyś powiązana z rynkiem światowym i pewne procesy tam zachodzące (negaty-

wne i pozytywne) wywierają na nią widoczny wpływ. Szaleństwo na polskim rynku sztuki i antyków było zauważalne pod koniec 1979 roku i na początku 1980 roku. Z salonów „Desy” zniknęły najszybciej wyroby ze srebra, którego cena rosła w podobnym tempie, jak złota i platyny na rynkach światowych. Cena oficjalna srebra w Polsce nie nadążała za czarnorynkową. Wszyscy wyobrażali sobie, że będzie rosła dalej i popyt rósł. Tymczasem ceny złota, srebra i platyny na rynku światowym spadły. Cena srebra spadła „dzięki” znanym spekulacjom amerykańskiego milionera Hunta, który na zakup tego kruszcza wydał swoje miliony i aby nie dopuścić do spadku cen — musiał dalej kupować na kredyt. Z chwilą, gdy nieufne banki odmówiły mu kredytu, cena runęła w dół, bowiem Hunt zaczął sprzedawać srebro na giełdzie, aby spłacić dług. Już ten przykład wskazuje, że cenę towarów rzadkich kreują ludzie bogaci. Ale z obserwacji potocznej wynika, że ludzi bogatych przybywa.

Gwałtowny urodzaj na milionerów amerykańskich w początku naszego wieku spowodował kompletne spustoszenie na antykarskim rynku europejskim. Ceny dzieł sztuki i antyków rosły wtedy w postępie geometrycznym.

Na polskim rynku rolę szczególną towaru — fetysza pełni nadal złoto.

Jest to związane z tradycją historyczną i naszymi doświadczeniami. Wytworzył się nawet charakterystyczny polski model tezauryzacji tego metalu ucieleśniony w obrazku: pusty niemal pokój, centralne miejsce zajmuje w nim masywny dębowy stół z toczonymi nogami. Jedna noga precyzyjnie wydrążona i nafaszerowana „swinkami”. „W razie czego — wystarczy nogę...”.

Niektóre czynniki, wpływające na ceny wynikają się z pola percepcji ekonomistów. Przewidywanie cen staje się zajęciem dla politologów i psychologów. Można śmiało zaryzykować hipotezę, że ceny wszystkich „dóbr lokacyjnych” — złota, srebra, platyny, brylantów i towarów rzadkich są barometrem sytuacji politycznej na świecie.

Ilość dzieł sztuki na rynku światowym jest ograniczona, pieniądze w obiegu przybywa, wobec czego ceny dzieł sztuki i antyków idą w górę. Wraz z tym wzrasta się skłonność do lokowania w nich kapitału. Ale czy zawsze się tak dzieje? Nie zawsze. W czasie wielkiego kryzysu w latach 1929-1933, kiedy brakowało kapitału, ceny dzieł sztuki spadły w takim samym tempie, w jakim rosły na początku dwudziestego wieku. Wyjątek stanowiły antyki klasy muzealnej i dzieła malarzy pierwszej wielkości.

W czasie II wojny światowej, największym popytem cieszyły się brylanty. W warunkach wojennych przedmioty małe obiętościowo są wyżej cenione niż przedmioty duże tej samej klasy.

Rynek towarów rzadkich w czasie wojny to najbardziej specyficzny rynek; jest on mało zbadany i okryty mgłą tajemnicy. Świadczy o tym proces Mentena trwający wiele lat.

W okresie powojennym ceny towarów rzadkich rosły umiarkowanie — średnio o 10 proc. rocznie. Świat zajmował się produkcją masową, a biznesmeni inwestowali w dalszy rozwój produkcji. Tylko najbogatsi, jak Paul Getty, mogli bawić się antykami.

Od czasu kryzysu energetycznego, kiedy równowaga gospodarki światowej została zachwiana, a inflacja pożera oszczędności złożone w banku, wzrosło zainteresowanie korzystniejszymi lokatami. Towary rzadkie znów są w cenie. Najwięcej zamieszania czyni klasa średnia, ponieważ zawsze kupuje rzeczy „modne”. A moda, która ma zasadniczy wpływ na cenę tych specyficznych towarów, jest zmienna i kapryśna. Przedmioty, nabyte przez wielu drobnych ciułaczy przestają być rzadkością i część z nich zaczyna sprzedawać swe zbioru. Wzrasta podaż na rynku i cena spada.

Rosnące popyt na inne przedmioty. Nie można więc wierzyć pochopnym twierdzeniom, że ceny towarów rzadkich mogą iść tylko w górę. W długim okresie czasu wykres cen może być złożony, składający się z antyków, przypomina kardiogram chorego serca.

Dzieło sztuki — oryginał różni się od kopii lub reprodukcji specyficzną aurą — twierdzi Walter Benjamin, autor dzieła „Twórca jako wytwórca”, „Superaura” odznaczają się dziełami dzieła, za które zapłacono miliony. Przy takich obrazach w muzeach zbierają się tłumy. Ale fascynacja cenami może też powodować głębsze zainteresowanie sztuką. Warto jednak zauważyć, że taka sama „aura” otaczała tulipany sprzedawane w osiemnastym wieku do Holandii, pogrążając cały kraj w gorączkę tulipanowej. Pożądamo głównie tulipanów z nieregularnymi prążkami. Ponieważ pożądamy wszyscy, cena tulipanów rosła zawrotnie. Musiał jednak nastąpić moment odwrócenia tendencji, nastąpiło to wtedy, gdy praktyczne tulipany stały się całkiem zwykłymi tulipanami.

Nadmierzny dopływ kapitału na rynek towarów rzadkich powoduje wzrost cen tych towarów. Szefowie największych domów aukcyjnych zacieraają ręce, zagrzewają nabywców

do walki i robią wspaniałe interesy, a o to przecież chodzi. Fascynacja cenami wymaga tylko rzeczywisty czy pozorny czar tych przedmiotów. Handel dziełami sztuki i antykami staje się wiedzą tajemną, niedostępną dla ogółu.

Centrum handlu towarami rzadkimi stał się Londyn. Dwa największe domy aukcyjne: Sotheby i Christie's, mające swoje filie na całym świecie, zdominowały rynek sztuki dawnej. Opomawiały nawet rynek amerykański. Eksperti tych domów aukcyjnych zbierają się na międzynarodowych sesjach. Starają się o osobiste kontakty z arystokracją, które mają im ułatwić penetrację niedostępnych dla zwykłych śmiertelników zamków i pałaców. Kuszą podatki milionami. Aukcje organizowane są w modnych kurortach w atmosferze pompy i tajemniczości.

Coś w tej atmosferze można zaobserwować i w Polsce. Niewiele w gruncie rzeczy wiadomo na temat polskiego rynku dzieł sztuki dawnej. Dziennikarskie informacje są niesprawdzone i często błędne. Problemy te nie były przedmiotem zainteresowania nauki, zbadać ruchów cen jest niezwykle pracochłonne. W dodatku jest to u nas też „wiedza tajemna”, dostępna dla niewielu.

ANDRZEJ E. SEROCZYŃSKI

W „Trybunie Ludu” z 15 lipca br. ukazał się artykuł Ireny Dryll pt. „Porządkując gospodarkę — W zmieniających warunkach”. Autorka omawia główne problemy społeczno-ekonomiczne bieżącego roku i wysuwa zasadnicze sprawy, które rzutować będą na przyszłość. Zgadza się z większością stwierdzeń Ireny Dryll — w jednym miejscu muszę jednak wysunąć pewne wątpliwości.

Dotyczy one stopnia deficytowości poszczególnych czynników produkcji. Piszemy zresztą o tej sprawie w bieżącym numerze na str. 2. Chcę więc tutaj tylko dodać, że postawienie na jednym poziomie deficytowości surowców i zasobów pracy nie jest chyba słusne. Deficyt zasobów pracy — choć na niektórych terenach rzeczywiście ostry — jest w moim przekonaniu niewspółmiernie mniejszy niż deficyt surowców i materiałów. Popatrzmy bowiem na konkretne liczby. W bieżącym pięcioletnim przysrost zasobów pracy netto wynosi od 220 do 250 tys. osób w poszczególnych latach. W okresie 1976—1978 potencjalne zasoby pracy zwiększyły się o 850 tys. osób, a zatrudnienie w całej gospodarce narodowej o 461 tys. osób. Jeszcze ostrzej ta relacja między przysrotem zasobów a wzrostem zatrudnienia zarysowała się w roku 1979. Można zapytać co się stało z około 400 tys. ludzi? Otóż nie występują oni na rynku pracy (liczba poszukujących pracy waha się w granicach 9—10 tys. osób), gdyż nastąpił proces dezaktywizacji zawodowej pewnych grup ludności, wywołany świadomą polityką państwa. W części wiąże się to z określonymi rozwiązaniami socjalnymi — np. ilość kobiet korzystających z bezpłatnego urlopu na wychowanie dziecka wzrosła z 219 tys. w roku 1975 do 420 tys. w 1978. W części jednak z polityki hamowania wzrostu zatrudnienia, wywołanej obawą przed nadmiernym wzrostem funduszu pracy. Nie wchodząc w tej chwili w zasadność tych obaw trzeba stwierdzić, że trudno mówić o istotnym deficycie zasobów pracy, kiedy w skali pięcioletnia nie zaaktywizujemy zawodowo kilkuset tysięcy osób, które by — przy spełnianiu oczywiście wielu warunków — można było zaaktywizować. Powstaje natomiast inne pytanie — czy jest to nam potrzebne?

Otóż pewne zmiany w polityce zatrudnienia są chyba w najbliższym okresie niezbędne. Rzeczywista bariera wzrostu produkcji jest zaopatrzenie materiałowe. Z ekonomicznego punktu widzenia jest to praca uprzedmiotowiona. Jej substytutem w pewnych granicach może być praca żywa. Inaczej mówiąc, chodzi o lepsze wykorzystanie posiadanych surowców, o sięganie po materiały zastępcze, wtórne, których przerób wymaga większych nakładów pracy. Jeżeli zaś limituje się zaopatrzenie surowcowe (przez jego fizyczny niedostatek) i zatrudnienie (przez formalne zakazy) trudno wymagać działań substytucyjnych od przedsiębiorstwa.

Powstaje tu jednak następny problem. Wzrost zatrudnienia — to istotne źródło wzrostu dochodów ludności, a stan równowagi rynkowej jest ogólnie znany. Czy możemy sobie w tej sytuacji pozwolić na wzrost pracochłonności produkcji?

Otóż możemy sobie pozwolić na taki wzrost w tych wszystkich przedsiębiorstwach, w których relacja między wielkością produkcji a przeznaczoną na rynek a funduszem płac jest większa od jedności. Generalnie od takich działań należałby przemysł rolny-spożywczy, (w 1978 roku — 8,5 zł produkcji rynkowej na 1 złotówkę funduszu płac) lekki, drzewny, niektóre branże przemysłu chemicznego i elektromaszynowego. Tam wszędzie zwiększenie zatrudnienia, zapewniające lepsze wykorzystanie surowców przez pogłębienie przetwórstwa, poprawę jakości czy też stwarzające możliwości wykorzystania surowców zastępczych — wpływa na równowagę rynkową pozytywnie, a nie negatywnie. Doraźnie jest to chyba jedna z ważniejszych, a nie zawsze dostrzeganych rezerw wzrostu produkcji rynkowej. Uwagi te odnoszą się zresztą w pełni i do produkcji eksportowej, której wpływu na równowagę zewnętrzną i wewnętrzną nie trzeba szerzej uzasadniać.

Odrębnym problemem są warunki, jakie trzeba spełnić, aby potencjalnie, a nie w pełni zaaktywizowane zawodowo zasoby pracy, skierować do tych właśnie działań. Jest to jednak bardzo szerokie zagadnienie, nie mieszczące się w ramach krótkiego przeglądu prasy.

S.C.

KIEDY CZŁOWIEK JEST SŁONIEM

MOJA znajoma jest przekonana, że z wszystkich formularzy, które wystawiono przy okazji wykonania dla niej drobnej usługi, można by wyprodukować zeszyciela do uczącego się abecadła dziecięcia. To skandal — krzyknęła, po czym uzbrowiła mnie w fakty.

Otóż przed paroma tygodniami oddała do zakładu introligatorskiego jedną z naszych spółdzielni wydawniczo-oświatowych, kilkadziesiąt stron maszynopisu, żeby oprowaiono je, jak na poważny maszynopis przystało. Już wtedy wypełniono — jej zdaniem — o parę druków za dużo, a kiedy przyszła odebrać maszynopis, wręczono jej jeszcze dwa spore rachunki, to znaczy spore w centymetrach kwadratowych, bo w złotychkach chodziło ledwie o siedemdziesiąt złotych. Teraz zaś spółdzielnia przysłała jej kopertę, niebieską uprządkowaną, ale ze znaczkiem za sześć złotych, a w niej trzy duże formularze, na których nie było jacy funkcjonariusze spółdzielni, bo kierownik zakładu, główny księgowy i sam prezes własnoręcznie podpisanymi potwierdzili, że ona faktycznie siedemdziesiąt złotych wpłaciła. Ta przesyłka spółdzielni przebrała miarę. Zirykowały ją te podpisy, „nie mają widocznie nic lepszego do roboty, tylko podpisywać takie bzdury”, zymała się, zirykował ją znaczek za 6 zł („widocznie

za dużo mają forsy”) i oczywiście to, że druków było aż trzy, jeden większy od drugiego.

Przekonywałam ją, że od publicznego krzykowania spółdzielni za marnowanie papieru nie tylko go nie przybędzie, ale wręcz przeciwnie, bo jeszcze ja będę pisać, potem sążniste wyjaśnienie przysłał mi spółdzielnia, także wysłał do swoich władz zwierzchnich, a te, nie daj Boże, opracują wytyczne w sprawie gospodowania papierem, odbiją je w tysiącach egzemplarzy i wysła podległym jednostkom w kopercie A-4 ze znaczkiem za 10 zł. Znajoma nie dała się jednak przekonać, wręczyła mi gazetę, w której było napisane, że papier stał się surowcem strategicznym (brzmi groźnie), że administracja zużywa go aż 30 tys. ton i połowę z tego trzeba jej zabrać. Wcisnęła mi też ową przesyłkę i powiedziała: „Pójdiesz po nitce do kłębka, czyli do źródła marnotrawstwa. Wszak to spółdzielnia wydawniczo-oświatowa i na pewno na te wnioski cele papieru im już nie starczą”.

I rzeczywiście. Jak się potem dowiedziałem, spółdzielnia wydaje książeczki dla przedszkolaków i najmłodszych uczniów i żeby wydawać je choćby tylko w średnich nakładach, powinna mieć 400 ton papieru, dostawała zaś tych ton tylko 160, a w tym

roku dostanie jeszcze o 20 mniej. Wstąpiłem więc do spółdzielni w wulgarnej chwili i mówię: „No, proszę, tu wam brakuje, a tu marnujecie”.

Prezes wziął ode mnie kopertę z formularzami, dał sprawę do wyjaśnienia i z przemyśleniami na podpisaniu różnych dokumentów powiedział szczerze: „Panie kolego, ja też jestem przeciwko tym wszystkim papierzyśkom”. I opowiedział, jak próbował walczyć z nimi. Pracował przedtem w instytucji, której pensji zmniejszono, żeby zniósł różnicę zaświadczek, nawet takich, że są żonaci, że mają dzieci itp. Jednym słowem, jak się wyraził prezes, człowiek musiał za pomocą wielu pismek udowodnić, że „nie jest słoniem”. Prezes zarządził więc, aby w takich sytuacjach spisywano tylko z dowodu, i dano ludziom święty spokój. Ale przyszli kontrolerzy i teraz to prezes musiał im udowodnić, że nie jest słoniem, a sumiennym urzędnikiem. Z reformy nic więc nie wyszło, bo kontrolerzy baczą, żeby mieli co kontrolować. Tutaj prezes jest dopiero od niedawna, jeszcze nie całkiem się rozejrzał, ale także nie rozumie, po co np. angażuje pisze się razy pięć, choć wystarczyłoby raz dwa. Próbował już nawet wyeliminować jeden z dokumentów, ale niektóre komórki podniosły krzyk, że im potrzebny. „Wie pan, musieliby przyjść nowi

ludzie, bo starzy się przyzwyczajają, że każdy dokument muszą mieć osobście, na swoim biurku”.

Prezes dorzucił jeszcze, że co tam formularze i druk, po czym zaczął wyjmować z biurka różne powielane analizy i wytyczne. „Ile to ważny?” — zapytał dając mi do ręki jedną analizę. — Z ćwierć kilo — mówię, a prezes na to, że takich dokumentów przychodzi do spółdzielni tyle, że gdyby chciał je czytać, to nie mógłby całą dobę robić nic przyjemniejszego. Czy można więc krytykować ich, nie wskazując palcem bardziej winnych?

Niespodziewanie zjawili się kierownik introligatorski, skąd przecież cała rzecz wynika i stwierdził, że papierów jest faktycznie dużo. „Ale — powiada — inaczej być nie może, bo kiedy przedtem było ich mniej, to mój poprzednik pozwalał sobie na różne kombinacje. Była nawet sprawa w sądzie, a jakże. Teraz i ja jestem spokojny, i nikt nie może podlegać”. Spróbowałem zrozumieć ten argument. Wyobraziłem sobie więc kierownika, który bez tytułu do dziś papierów, chodziłby nerwowo z rozbieganymi oczami, patrząc na ręce swoim ludziom i sam być może zmagając się z wodzą go potęgą marnotrawstwa. Wyobraziłem sobie urzędnika, który bez tytułu papierów na swoich biurkach i w szafach czu-

liby się wobec petentów jak bez ubrania, kontrolerów, którzy musieliby kontrolować działalność instytucji, a nie tylko dokumenty. Gdyby odebrać administracji naprawdę połowę papieru, byłoby to spory wstrząs dla jej ludzi i kto wie, czy warto to zrobić w imię satysfakcji paru literatów. Satysfakcji zresztą wątpliwej, bo gdyby na wydawanie ich dzieł przeznaczyć więcej papieru, nie mogliby się chwalić, że znikają one z księgarni błyskawicznie i zaczęliby pewnie utyskiwać na reklamę.

Próbowałem jeszcze z kierownikiem nieśmiało dyskutować, mówiąc, że jak doświadczenie uczy, o marnotrawstwie łatwiej tam, gdzie dużo druków i formularzy, bo one odpowiednio poprawione skryją każdą nieuczciwość, ale raptem weszła uszczęśliwiona księgownia, oświadczyła, że nie ma sprawy, nie ma żadnego marnotrawstwa, bo mojej znajomej rachunki wysłało przez pomyłkę. Ostatnio zaginęło im kilkanaście takich dokumentów, a dzięki mojej wizycie już wiedzą, że zawiniła pani Jasia, która zamiast do skoroszytów, wkłada dokumenty do kopert. „Jeden kłopot mamy więc z głową, dzięki, że pan to nam odniósł” — powiedziała księgownia i wszyscy odetchnęli z ulgą, bo doskonale przeczuili, że pani Jasia krytykować nie będzie. Cóż, samotnie wychowuje dziecko, mogło się więc jej zdarzyć. Ale jeszcze będą z niej ludzie — zapewniają.

(sław)

żwocik gospodarczy

● Paszport zagraniczny i zawarte w nim okupione długimi kolejkami wizy — to cenny dokument, którego



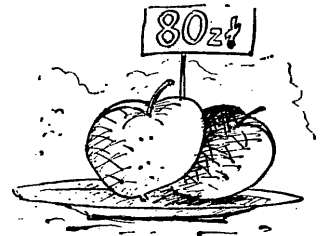
trzeba pilnie strzec, aby go nie utracić. Wykorzystał te uzasadnione obawy polskiego globtrotera gdańskiego kalendarz z ulicy Węglarskiej i dał do prasy następujący insert: „Wyjeżdżasz za granicę? Ważne dokumenty noś na piersiach w naszym etui. Skóra bucat. 220 zł”. Dziennikarz „Głosu Wybrzeża” oczyma wyobraźni widzi taką scenę. „Your pass? — pytały polskiego wojażera na jakiejś

granicy. A on: „One moment please” — odpowiada i rozpinając koszulę odsłania ukryte na piersiach etui ze skóry bucat za 220 zł, wyciągając z niego dokument. Potem drapie się po podrażnionych skórkach piersi, a zdumione spojrzenia urzędnika granicznego i wszystkich obecnych stara się zagasić rozbrajającym uśmiechem. Cenny paszport powraca oczywiście do etui — skóra bucat — na swoje miejsce — na piersi pod koszulą. W wypadku, gdy posiadacz paszportu jest kobieta, należy nieco zmienić detale scenariusza tego epizodu. Ale kaletnik jest ten sam.

● „Milk. Full cream. Product of Poland”. Klient wykazuje wielki entuzjazm, że udało mu się kupić te puszkę mleka skondensowanego. Uważa, że jest to towar eksportowy najprzedniejszego gatunku. Po chwili jego fascynacja nieco przycisła, gdy czyta już w języku rodzimym: „Mleko zgęszczone niskosłodzone”, które „otrzymuje się przez częściowe odparowanie wody ze świeżego mleka krowiego najwyższej jakości”. W następnej chwili o zachwyte nie ma już mowy. Jest osłupienie i wściekłość. Po otwarciu puszek okazuje się bowiem, że mleka w niej nie ma ani śladu, natomiast znajduje się tam sama woda. Widocznie

z tym odparowywaniem jest coś nie tak, mleko wyparowało, a woda została. I to nie częściowo, lecz w najbardziej czystej chemicznie postaci. Nie przypuszczamy, aby tajemnica rozczarowania klienta tkwiła w nowo zakupionej licencji i zmianie technologii produkcji, której wyniki mogą być może korzystne dla producenta — Zakładu Mleczarskiego w Gostyninie — ale są trudne do zaakceptowania dla konsumenta.

● Na straganach Wrocławia (i być może nie tylko Wrocławia) pojawiły

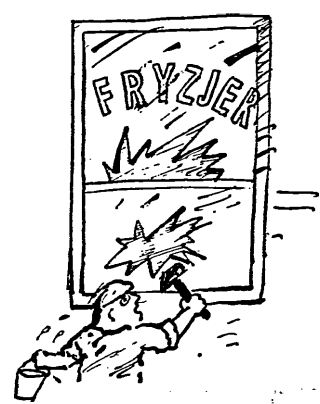


się długo nie widziane jabłka. Piękne i smaczne, ale po 80 zł za kilogram. Cena można powiedzieć słona.

A co na to władze handlowe? Czy o tym nie wiedzą? Owszem, wiedzą. Więc dlaczego to tolerują? Dlatego, że jabłka zostały „zdjęte z cennika”, jak fachowym językiem tłumaczą w Państwowym Inspektoracie Handlowym, to znaczy nie podlegają kontroli cen. A rezultatem tego jest właśnie cwa 80 złotych. Stworzone więc zostały idealne warunki dla spekulanta, który korzystając z koniunktury przetrzymując jabłko do czasu „zdejścia” ich z cennika, a później, hulać duszą, windując ceny do niebotycznych szczytów. Należałoby więc ulokować znów w cenniku to, co zostało z niego, „zdjęte”, albo — najlepiej — zmienić przepisy tak, aby nie przynosiły szkody konsumentom.

● Na budowach myje się szyby młotkiem. Trudno w to uwierzyć, a jednak tak jest. We Wrocławiu, w dzielnicy Polanka przy ul. Obornickiej powstaje zespół punktów handlowo-usługowych. Między innymi będzie się tu mieścić również zakład fryzjerski. Do tej przyszłej placówki Przedsiębiorstwo Budownictwa Uprzemysłowanego przystało ekipę do mycia szyb w witrynach. Gdy szyba była gruba, solidna i dawata się wyjąć, to ją wyjmowano i odkładano na bok w celu dokładnego wyczyszczenia. Gorzej było z szybą cieńszą i słabszą. Uważano, że nie warto jej myć

— po prostu więc tłuczono ją uderzeniem młotka, aby uprawić nową szybę, czystą. W pomieszczeniu obok stały nowe szyby przygotowane do



wstawiania na miejsce skazanej na pójście pod młotek. Chyba Przedsiębiorstwo Budownictwa Uprzemysłowanego posunęło się za daleko w swej pasji uprzemysławiania.

Rys. A. PIWONSKI

giełda samochodowa

Cena giełdowa nowego Fiata 126p w wysokości 177—180 tys. złotych zaczyna utrzymywać się jako kolejny „pulap” zapłaty za ten samochód. Nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe. Niespełna przed rokiem zdawało się, że 150 tys. zł za „malucha” stanowił szczyt rozpaczy sprzedających, tymczasem rzeczywistość zapłaciła sobie na całego z „fachowców” (w tym również niżej podpisanego) przewidywań. Przy tym jest to cena, od której za fabrycznie nowy egzemplarz 650 S raczej nie odstępuje się. Obserwowałem w niedzielę na giełdzie scenę, w której trwał zażarty targ o „malucha” wycenionego na 183 tys. zł. I do transakcji nie doszło. Liczy się już nie tylko ilość zapłaconych dewiz, bo te przeliczniki uwzględnia się przede wszystkim skrupulatnie w rachunku, ale również to, że trzeba było swoje „wycierpieć” w kolejkę w „Polmozbycie” zanim odebrało się swój samochód.

Notowano (ceny wywoławcze):

FIAT 126p z 1978 roku, po 1900 km — 149 tys. zł; z 1977 roku — 132 tys. zł; z 1976 roku — 115 tys. zł; z 1975 roku — 100 tys. zł; z 1974 roku — 85 tys. zł.

FIAT 125p (1500), nowy — 370 tys. zł; z 1980 roku — 330 tys. zł; z 1979 roku, po 9 tys. km — 320 tys. zł; z sierpnia 1979 roku — 305 tys. zł; z 1972 roku — 130 tys. zł; z 1971 roku — 110 tys. zł.

FIAT 128 — 3p z 1978 roku, po 29 tys. km — 440 tys. zł;

ŁADA 1500 s, nowa — 470 tys. zł, model 1500 z 1977 roku, po 29 tys. km — 282 tys. zł;

POLONEZ 1500 z 1980 roku, wersja RFN — 450 tys. zł; inny egzemplarz, z 1980 roku — 420 tys. zł;

ZASTAWA 1100 P z 1980 roku 330 tys. zł; z 1979 roku — 285 tys. zł;

WARTBURG 353 W z 1978 roku — 260 tys. zł;

SYRENA 105 L, fabrycznie nowa — 143 tys. zł;

WOLGA z 1973 roku, blacharka z 1979 roku — 335 tys. zł;

ZAPOROŻEC z 1977 roku, po 38 tys. km — 159 tys. zł;

TRABANT 601 z 1976 roku — 140 tys. zł; z 1975 roku — 120 tys. zł;

SKODA 105 S z 1978 roku — 270 tys. zł; z 1977 roku — 250 tys. zł;

CITROËN GS z 1972 roku, po 94 tys. km — 250 tys. zł;

TOYOTA CAROLLA, nowa — 680 tys. zł;

MAZDA 323, nowa — 690 tys. zł;

PORSCHE 914 (1700) z 1972 roku — 320 tys. zł;

BMW-2002 z 1973 roku — 230 tys. zł;

MERCEDES 220 D z 1969, po remoncie — 520 tys. zł;

PONTIAC z 1976 roku (DIESEL), po 16 tys. mil — 580 tys. zł;

CITROËN CX Pallas z 1978 roku, po 35 tys. km — 850 tys. zł.

(jod)

SS One z 1933 roku

